

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHOR

POWELL

NORA ROBERTS

SIOSTRY CALHOUN

Catherine & Amanda

PROLOG

Bar Harbor, Maine, 12 czerwca 1912

Zobaczyłam go, gdy stał na urwisku nad Zatoką Francuza. Był wysoki, ciemny i młody.

Skulony, jakby się przed kimś bronił, w jednym ręku niczym szablę trzymał pędzel, a w drugim paletę – tarczę. Zdawało mi się, że nie maluje, lecz walczy z płótnem. Oddany zupełnie swej pracy, gwałtownymi ruchami atakował sztalugi, jakby od tego zależało jego życie.

Może tak zresztą było.

Wydawało mi się to dziwne, a nawet zabawne. Zawsze wyobrażałam sobie artystów jako ludzi o wrażliwych duszach, którzy kontemplują i przenikają nieodgadnione w swej nieskończoności tajemnice istnienia, a ich pracę uważałam za chwalebne posłannictwo, mające zwykłym zjadaczom chleba ukazać i objaśnić to, co zazwyczaj jest dla nich niewidoczne i niepojęte.

Dlatego widok malarza, który traktował płótno jak nienawistnego wroga, a nie jak świętą kartę, służącą temu, by umieścić na niej ślad nadzmysłowych wizji, przeczył moim najgłębszym przekonaniom o zadaniach sztuki... zarazem jednak, przyznać muszę, porywał

niezwykłą ekspresją.

Zaintrygowana, z małym Ethanem uwieszonym u mojej ręki szłam w jego stronę, lecz nim jeszcze odwrócił się i spojrzał na mnie, byłam pewna, że nie ujrzę łagodnej twarzy.

Pomyślałam, że sam wyglądał jak dzieło artysty... Jakby jakiś rzeźbiarz niecierpliwymi i skąpo dozowanymi ciosami dłuta wyrzeźbił go z dębowego pnia, lekko tylko zaznaczając wysokie czoło, ciemne, głęboko osadzone oczy, długi, prosty nos i pełne usta. Nawet jego włosy przypominały hebanowe wióry.

Jak on na mnie patrzył! Jeszcze teraz na to wspomnienie czuję gorąco na twarzy, dłonie mi wilgotnieją, a duszę mą ogarnia trudne do nazwania pomieszanie. Wilgotny wiatr targał

jego włosy i szarpał luźną koszulą, poplamioną farbami, a za plecami miał dzikie skały i bezkresne niebo. Na jego twarzy malowały się duma i gniew, jakby był panem tego skrawka lądu albo nawet całej wyspy... lub też, o zgrozo, całego Wszechświata!... gdy zaś ja, nędzny intruz, ośmielałam się zakłócać jego posępną, twórczą samotność.

Stał nieruchomo przez chwilę, która zdała mi się całą wiecznością. Jego spojrzenie było tak intensywne i gwałtowne, że z największym tylko trudem zdołałam zapanować nad swoimi myślami, które nieomal popadły już w zgubny chaos, szczęśliwie jednak Ethan zaczął coś mówić i ciągnął mnie za rękę. Wtedy gniewny błysk w oczach artysty zniknął, a jego spojrzenie zmiękło. Uśmiechnął się, a w moim sercu zawitał lęk pomieszany z niepojętą błogością.

Wyjąkałam coś niepewnie, przepraszając za tak brutalne wtargnięcie w krainę jego twórczej samotności, i wzięłam Ethana na rękę, zanim ciekawski malec zdążył pobiec w stronę urwiska.

On jednak powiedział:

– Zaczekaj.

Wziął do ręki ołówek i zaczął szybko coś szkicować. Stałam skamieniała, drżąc na całym ciele. Ethan też znieruchomiał i tylko uśmiechnął się w dziwnym uniesieniu, równie zahipnotyzowany jak ja. Czułam słońce na piecach, wiatr na twarzy, zapach wody i dzikich róż.

– Rozpuść włosy – rzekł niespodziewanie. Odłożył ołówek i zbliżył się do mnie. –

Wszystkie zachody słońca, które kiedyś uwieczniałem na płótnie, nie były tak porażająco malownicze, jak ten dziki i zarazem delikatny płomień, bijący od ciebie.

Wyciągnął rękę i dotknął rudej główki Ethana.

– Pani i braciszek macie taki sam kolor włosów.

– Syn – sprostowałam, nie mając pojęcia, dlaczego naraz zabrakło mi tchu. – To mój syn. Jestem żoną Fergus Calhouna.

– Aha, mieszka pani w Towers – skinął głową, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

Po chwili obrócił głowę i spojrzał ponad moim ramieniem na wieżyczki i mansardy letniej rezydencji stojącej na urwisku. – Podziwiałem pani dom.

Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, Ethan ze Śmiechem wyciągnął do niego ręce, a mężczyzna porwał go w ramiona i wysoko podniósł. Patrzyłam bez słowa, jak stał tyłem do wiatru, trzymając mojego synka.

– Ładny chłopiec.

– I bardzo energiczny. Zabrałam go na spacer, aby jego opiekunka mogła trochę odpocząć. Ethan bardziej ją absorbuje niż dwoje moich pozostałych dzieci razem wziętych.

– Ma pani jeszcze inne dzieci?

– Tak, starszą o rok dziewczynkę oraz maluszka. Wczoraj przyjechaliśmy tu na wakacje.

Czy pan mieszka na wyspie?

– Na razie. Pani Calhoun, czy nie zechciałaby mi pani pozować?

Zaczerwieniłam się. Ta propozycja sprawiła mi wielką przyjemność, wiedziałam jednak, że dla kobiety z moją pozycją byłoby to wielce niewłaściwe, a poza tym znałam wybuchowy temperament Fergus, musiałam więc odmówić. Mam nadzieję, że udało mi się zrobić to uprzejmie, a on nie nalegał i ze wstydem wyznaję, że byłam z tego powodu odrobinę rozczarowana. Gdy oddawał mi Ethana, znów spojrzał na mnie z niezwykłą intensywnością.

Jego oczy były ciemnoszare i zdawały się widzieć więcej, niż dane to było zwykłym śmiertelnikom. Miałam wrażenie, jakby przejrzał mnie na wylot i zrozumiał wszystkie me myśli i uczucia, jak jeszcze nikt przed nim. Pożegnaliśmy się i wróciłam do Towers, do mego domu i obowiązków.

Nie odwracałam się, ale byłam zupełnie pewna, że patrzył za mną, dopóki nie zniknęłam za skałami. Długo nie mogłam uspokoić mojego serca...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bar Harbor 1991

Trenton St. James III był w kiepskim nastroju. Należał do tego typu mężczyzn, którzy uważają, że gdy tylko zastukają do jakichś drzwi, te powinny się natychmiast otworzyć, a gdy wykręcą dowolny numer, zawsze ktoś powinien odebrać telefon. Tym razem jednak rzeczywistość spłatała mu złośliwego figla, bowiem jego auto zepsuło się na wąskiej dwupasmówce piętnaście kilometrów przed celem podróży. Na szczęście udało mu się dodzwonić do pomocy drogowej, lecz mimo to gdy wjeżdżał do Bar Harbor w kabinie samochodu pogotowia technicznego, nie był w najlepszym nastroju. Ostry rock wylewał się z głośników, a kierowca śpiewał razem z wokalistą, w przerwach pożerając olbrzymią kanapkę z szynką.

– Mów do mnie po prostu Hank – powiedział i pociągnął solidny łyk oranżady. – CC.

naprawi wóz w try miga, bo to najlepszy mechanik w całym Maine, każdy ci to powie.

Trent musiał mu uwierzyć na słowo. Kierowca podrzucił go do centrum miasteczka, wręczył wizytówkę warsztatu oraz powiedział, jak tam dojechać, i ciężarówka zniknęła za rogiem.

Trent zastanowił się przez chwilę, a potem lekko się uśmiechnął. No cóż, stara prawda głosiła, że z każdej sytuacji można wyciągnąć jakiś pożytek. Zaprowadził ledwie pyrkający samochód pod wydrukowany na wizytówce adres, po czym kilkoma telefonami do biura w Bostonie wprawił w popłoch całe stado sekretarek, asystentów i młodszych wiceprezesów. Ta niewinna rozrywka sprawiła, że od razu poczuł się lepiej.

Lunch zjadł na tarasie małej restauracji, jednak od znakomitej sałatki z homara dużo bardziej absorbowowała go sterta wyciągniętych z walizki papierów. Co chwilę spoglądał na zegarek i jak zwykle wypił za dużo kawy. W końcu westchnął ze zniecierpliwieniem, wyprostował się na krześle i zapatrzył na ulicę.

Dwie kelnerki, które przycupnęły w kącie sali, rozmawiały o nim przez dłuższą chwilę.

Był początek kwietnia i sezon miał się zacząć dopiero za kilka tygodni, więc w restauracji prawie nie było klientów. Dziewczyny zgodnie stwierdziły, że ich gość to typowy przystojniak, od czubka jasnej głowy do wypastowanych włoskich butów. Uznały, że na pewno zajmuje się biznesem, i to dużym, miał bowiem skórzaną teczkę, szykowny szary garnitur i krawat, a także złote spinki przy mankietach koszuli.

Ciągnęły temat, zawijając sztucce w serwetki dla następnej zmiany. Ponieważ obiekt ich

zainteresowania ledwie dobiegał trzydziestki, doszły do wniosku, że jest za młody jak na poważnego biznesmena. Po kolei podchodziły do jego stolika, by dolać kawy i przyjrzeć mu się lepiej. Miał ładne, regularne rysy twarzy i mógłby uchodzić za lalusia, gdyby nie przenikliwy, niecierpliwy i posępny wzrok. Kelnerki zaczęły się zastanawiać, czy czeka tu na jakąś kobietę, która wystawiła go do wiatru, odrzuciły jednak ten pomysł, zgodnie uznawszy, że nawet najgłupsza dziewczyna nie jest aż tak durna, by zdecydować się na podobny krok.

Zupełnie nie zwracał na nie uwagi, jako że zwykle nie dostrzegał tych, którzy wykonywali płatne usługi. Nie wynikało to ze snobizmu czy arogancji, ale z tego, że Trent przez całe życie obsługiwany był przez całe zastępy sprawnych i dyskretnych służących, dzięki czemu jego życie stawało się o wiele prostsze. Płacił im wszystkim dobrze, a jeśli nie okazywał tego, że docenia ich wysiłki, ani nie nawiązywał osobistych więzi, to tylko dlatego, że nigdy mu to nie przyszło do głowy.

Dziewczyny były nieco rozczarowane, ale suty napiwek znacznie poprawił im humory.

Zatrzasnął walizkę i przygotował się na krótki spacer do warsztatu. Myślał o kontrakcie, który miał podpisać pod koniec tygodnia. Działał w branży hotelarskiej i zajmował się luksusowymi hotelami w modnych miejscowościach wypoczynkowych. Poprzedniego lata jego ojciec, który spędzał urlop, pływając jachtem po Zatoce Francuza w towarzystwie czwartej żony, wypatrzył tu pewną posiadłość. Instynkt Trentona St. Jamesa II, choć często zawodny w stosunku do kobiet, był jednak nieomylny w interesach.

Jego uwagę przyciągnął wielki kamienny dom stojący na urwisku nad zatoką. Trenton St. James II natychmiast rozpoczął negocjacje w sprawie kupna posiadłości, lecz właściciele stawiali opór, który trudno było zrozumieć, zważywszy, jakim obciążeniem dla prywatnych osób musiała być ta rezydencja. Jednak ojciec Trenta jak zwykle potrafił przeprowadzić swoją wolę i interes był już prawie ubity, choć z powodu zawikłanego rozwodu seniora rodu jego dokończenie spadło na młodszego St. Jamesa.

Nawiasem mówiąc, żona numer cztery nosiła ten dumny tytuł przez osiemnaście miesięcy, czyli o całe dwa miesiące dłużej niż jej poprzedniczka, natomiast Trent z fatalistycznym spokojem oczekiwał, że już wkrótce na horyzoncie pojawi się następna kandydatka na jego macochę. Trudno się temu zresztą dziwić, ponieważ Trenton St. James II równie nałogowo kolekcjonował żony, jak interesujące nieruchomości.

Trent zamierzał kupić dom wcześniej, zanim ojciec zakończy formalności związane z rozwodem i teraz właśnie przyjechał tu, by obejrzeć budynek.

Powoli szedł przez miasto w stronę warsztatu. Ponieważ sezon jeszcze się nie zaczął, wiele sklepów było zamkniętych, jednak Trent wprawnym okiem dostrzegł potencjalne możliwości tego miejsca. Wiedział, że w sezonie ulice Bar Harbor zatłoczone są zamożnymi turystami, którzy, jak wiadomo, potrzebowali hoteli. Miał w teczce wszystkie statystyki i był

zdania, że jeśli nie popełni się poważniejszego błędu, Towers zacznie przynosić niezłe zyski jeszcze przed upływem pierwszych piętnastu miesięcy. Musiał tylko ostatecznie przekonać cztery sentymentalne kobiety i ich ciotkę, by zechciały wziąć pieniądze i wynieść się stąd choćby na koniec

świata.

Skręcając w uliczkę prowadzącą do warsztatu, po raz kolejny spojrzął na zegarek. Dał

mechanikowi dwie godziny na naprawienie wozu i uważał, że powinno to w zupełności wystarczyć. Mógł przylecieć z Bostonu firmowym samolotem, co byłoby dużo praktyczniejsze, ale wybrał się samochodem, potrzebował bowiem kilku godzin samotności.

Interesy wprawdzie kwitły, ale życie osobiste Trenta legło w gruzach. Kto by pomyślał, że Marla nagle postawi mu ultimatum: ślub albo rozstanie? Nadal nie potrafił otrząsnąć się ze zdumienia. Przecież od samego początku trwania ich związku wiedziała, że małżeństwo nie wchodzi w grę! Trent nie miał ochoty wsiadać do diabelskiego młyna, na którym jego ojciec z masochistycznym upodobaniem jeździł przez całe życie.

Owszem, bardzo lubił Marłę. Była piękna, dobrze wychowana, inteligentna i odnosiła sukcesy jako projektanta mody. Sama zawsze wyglądała jak z okładki żurnala, co Trent w pełni doceniał. Podziwiał również jej praktyczny i trzeźwy stosunek do życia, tym bardziej więc nie rozumiał, co w nią nagle wstąpiło. Wcześniej twierdziła, że nie chce małżeństwa, dzieci ani obietnic o dozgonnej miłości, które spełniają się tylko w bajkach, gdy nagle dokonała radykalnej wolty w poglądach. Trent odebrał to niemal jak zdradę i wprost nie posiadał się z oburzenia, a ponieważ nie mógł jej dać tego, czego żądała, więc doszło do zerwania.

Nastąpiło to zaledwie przed dwoma tygodniami, w sztywnej i chłodnej atmosferze, jakby żegnali się ludzie, których nigdy nic nie łączyło. Marla zdążyła się już zaręczyć z profesjonalnym graczem w golfa, co dla Trenta było wprawdzie bolesne, lecz z drugiej strony ostatecznie potwierdziło jego opinię o kobietach jako istotach absolutnie niegodnych zaufania, jak również o małżeństwie, które po prostu było samobójstwem rozłożonym na lata.

Bogu dzięki, Marla go nie kochała. Po prostu pragnęła „stabilizacji i większej odpowiedzialności za przyszłość”, jak to ujęła, zaś Trenton skomentował chłodno, że małżeństwo, co potwierdzają liczne przykłady, nie gwarantuje ani jednego, ani drugiego.

Ponieważ jednak nie lubił zbyt długo roztrząsać porażek, szybko wyrzucił Marłę z myśli i postanowił zrobić sobie urlop od kobiet.

Zatrzymał się przed białym murowanym budynkiem, na którego dziedzińcu stało kilka samochodów. Szyld nad wejściem reklamował całodobową pomoc techniczną i kompletne naprawy wszelkich typów samochodów, a także bezpłatne wyceny. Ze środka dobiegał ostry rock. Trenton ciężko westchnął i przestąpił próg.

Spod jego BMW wystawała para nóg w brudnych buciorach, które postukiwały w rytm muzyki. Trent zmarszczył czoło i rozejrzał się. Wokół czuć było zapach smaru i glicynii. Co za nedorzeczna kombinacja, pomyślał. W warsztacie panował bałagan.

Wszędzie poniewierały się narzędzia i części zamienne. Coś, co ledwie przypominało zderzak samochodowy, sąsiadowało z brudnym, zapuszczonym ekspresem do kawy. Na ścianie wisiała

tabliczka z napisem: „Nawet od ciebie nie przyjmujemy czeków” oraz kilka cenników. Trent przypuszczał, że ceny są tu umiarkowane, ale nie miał żadnej skali porównawczej, jako że tego typu sprawy zawsze załatwiali za niego jego pracownicy. Przy ścianie stały dwa automaty, jeden z napojami, drugi ze słodyczami. Obok był słoik z monetami. Klienci mogli wrzucać do niego drobne albo odbierać sobie resztę, zależnie od uznania. Ciekawy pomysł, uznał Trent.

– Przepraszam – odezwał się, ale buty wystające spod samochodu nie przestawały się poruszać w rytm rocka. – Przepraszam – powtórzył głośniejszym głosem. Muzyka i buciory przyśpieszyły tempo, więc Trent lekko kopnął w lewą podeszwę przygłuchego mechanika.

– Co tam? – zapytał niewyraźny głos spod samochodu.

Chciałem zapytać o mój samochód.

– Kolejka! – usłyszał, a potem do jego uszu dobiegł brzęk narzędzi i stłumione przekleństwo.

Uniósł brwi w sposób, który zwykle sprawiał, że jego podwładni zaczęli drżeć jak liście osiki.

– Zdaje się, że jestem pierwszy w kolejce!

– Musi pan poczekać, aż skończę z miską olejową tego idioty. Niech mnie Bóg broni od bogatych kretynów, którzy kupują takie cacuszki, a nie wiedzą nawet, czym się różni chłodnica od felgi. Proszę chwilę poczekać albo pogadać z Hankiem. Powinien gdzieś tu być.

Trent przez chwilę rozważał sens dwóch określeń, czyli „idioty” i „bogatego kretyna,” a potem zapytał:

– Gdzie jest właściciel?

– Chwilowo zajęty. Hank! – zawołał mechanik. – A niech to. Hank! Gdzie on się, do diabła, podziewa?

– Nie mam pojęcia – mruknął Trent, podszedł do radia i wyłączył muzykę. – Czy to byłoby zbyt wiele, gdybym cię poprosił, żebyś stamtąd wyszedł i powiedział mi, w jakim stanie jest mój samochód?

– Zaraz – mruknęła CC. Leżąc płasko pod samochodem, widziała tylko włoskie buty klienta, co natychmiast wzbudziło w niej niechęć. – W tej chwili naprawdę nie mam czasu.

Skoro tak się panu śpieszy, może pan mi pomóc albo pojechać do McDermita w Northeast Harbor.

– Jak mam tam pojechać, skoro leżysz pod moim samochodem? – zdenerwował się Trent.

– To pański? – zdziwiła się CC. No tak, pomyślała, bostoński akcent idealnie pasował

do tych snobistycznych butów. – Kiedy robił pan ostatni przegląd? Kiedy zmieniane były filtry i olej?

– Ja nie...

– Przecież widzę, że nie – odrzekła z zimną satysfakcją, która bardzo nie spodobała się Trentowi. – Niech mnie pan dobrze posłucha, bo nie od każdego pan to usłyszysz. Kiedy kupuje się samochód, to się bierze odpowiedzialność za jego stan. Większość ludzi przez cały rok nie zarabia tyle, ile kosztował ten wózek i gdybyś pan traktował go przyzwoicie, jeszcze pańskie wnuki mogłyby nim jeździć. Samochody to nie są jednorazowe chusteczki, choć niektórzy tak je traktują, bo są albo zbyt głupi, albo za leniwi, by zadbać o podstawowe sprawy. Ten olej trzeba było wymienić już pół roku temu.

Trent niecierpliwie zabębnił palcami o bok eleganckiej aktówki.

– Młodzińcze, płacę ci za to, abyś się zajął moim samochodem, a nie za to, żebyś wygłaszał mi kazania o moich obowiązkach. – Odruchowo zerknął na zegarek. – A teraz chciałbym się dowiedzieć, kiedy samochód będzie wreszcie gotowy, bo mam kilka ważnych spotkań.

– Kazanie było za darmo – mruknęła CC i wysunęła się spod samochodu. – I nie jestem młodzińcem.

To w każdym razie było oczywiste. Wprawdzie twarz mechanika była czarna od smaru, a ciemne włosy krótko obcięte, lecz kształty wypełniające roboczy kombinezon mówiły same za siebie. Trent rzadko zapominał języka w gębie, ale teraz jednak zaniemówił. Stał więc i patrzył na CC, która podniosła się z posadzki i powoli podeszła do niego.

Pod warstwą smaru widać było jasną cerę, kontrastującą z czarnymi włosami, a spod kosmyków potarganej grzywki spoglądały przymrużone zielone oczy. Pełne usta bez śladu szminki były wydęte w sposób, który w innych okolicznościach wydawałby mu się bardzo podniecający. Dziewczyna była wysoka i zbudowana jak bogini. Trent uświadomił sobie, że to ona pachniała smarem i glicynią.

– Ma pan jakiś problem? – zapytała zaczepnie, gdy wzrok Trenta przesunął się po jej całej postaci.

Choć przywykła już do tego, wcale jej się to nie podobało.

Trent dopiero teraz uświadomił sobie, że niski, gardłowy głos, który wcześniej dobiegał spod samochodu, należał do kobiety.

– To pani jest mechanikiem? – wykrztusił.

– Nie, dekoratorem wnętrza – odrzekła ironicznie.

Jeszcze raz krytycznie rozejrzał się po otoczeniu i nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Ma pani bardzo interesującą pracę.

CC. sapnęła gniewnie i rzuciła klucz na ławkę.

– Trzeba było wymienić filtry oleju i powietrza oraz popracować nad chłodnicą. Muszę jeszcze

wszystko przesmarować i przepłukać chłodnicę.

– Będzie jeździł?

– Będzie, będzie – rzekła CC. Wyciągnęła z kieszeni szmatę i wytarła ręce. Ten facet wyglądał na takiego, który bardziej dba o swoje krawaty niż o samochód. Wzruszyła ramionami i znów wepchnęła szmatę do kieszeni. To w końcu nie była jej sprawa. –

Przejdźmy do biura, tam porozmawiamy.

Poprowadziła go do zagraconego, przeszklonego pomieszczenia. Było tu biurko, na którym panował nieopisany bałagan, grube katalogi części samochodowych, wielki pojemnik z gumą do żucia w kulkach i dwa obrotowe krzesła. CC. usiadła i w wielkiej stercie papierów natychmiast odnalazła właściwy rachunek.

– Gotówka czy karta?

– Karta – rzeki Trent, mechanicznie wyciągając portfel z kieszeni. Zawsze sądził, że nie jest uprzedzony do kobiet. Pedantycznie pilnował, by w jego firmie miały one takie same możliwości awansu i płace jak mężczyźni, a przy zatrudnianiu nowych pracowników nigdy nie kierował się płcią kandydatów. Interesowało go tylko to, by podwładni byli kompetentni, lojalni, odpowiedzialni i pracowici. Im dłużej jednak patrzył na dziewczynę, która siedziała naprzeciw niego i wypisywała rachunek, tym bardziej uważał, że w żadnym wypadku nie powinna być ona mechanikiem samochodowym.

– Od jak dawna pani tu pracuje? – zapytał bez zastanowienia i natychmiast zachnął się w duchu. Osobiste pytania nie były w jego stylu.

– Odkąd skończyłam dwanaście lat, z pewnymi przerwami – powiedziała uprzejmie, prześlizgując się wzrokiem po jego twarzy. – Nie musi się pan martwić, znam się na swojej robocie. Daję gwarancję na wszystkie naprawy wykonywane w moim warsztacie.

– To pani warsztat?

– Mój.

Wykopała spod sterty papierów kalkulator i zaczęła naciskać klawisze długimi i brudnymi, lecz eleganckimi w kształcie paznokciami. Ten mężczyzna ją onieśmiał. To przez jego buty, pomyślała, albo przez krawat, jako że w wiśniowych krawatach było coś aroganckiego.

Obróciła fakturę w jego stronę i zaczęła objaśniać ją punkt po punkcie, on jednak wcale nie słuchał, co też nie było do niego podobne. Zawsze czytał dokładnie wszystkie papiery, jakie trafiały na jego biurko, teraz jednak nie potrafił oderwać zafascynowanego wzroku od twarzy młodej kobiety.

– Ma pan jakieś pytania? – zapytała, podnosząc głowę.

– To pani jest CC?

– We własnej osobie – odrzekła, odchrząkując.

Jej zmieszanie było zupełnie niedorzeczne. Ten facet miał przecież najzwyczajniejsze w świecie spojrzenie, nieco zbyt intensywne, ale naprawdę nie było w nim nic szczególnego.

Nie miała pojęcia, dlaczego czym prędzej odwracała oczy za każdym razem, gdy tylko napotykała jego wzrok. On jednak przez cały czas na nią patrzył. Czowała to, wcale jej się nie wydawało.

– Ma pani smar na policzku – powiedział z łagodnym uśmiechem.

Zmiana w jego zachowaniu była zdumiewająca. Irytujący, zachowujący pogardliwy dystans snob w mgnieniu oka przemienił się w ciepłego i przystępnego faceta. Niecierpliwość znikła z jego wzroku, a usta przybrały łagodniejszy wyraz. CC musiała się uśmiechnąć.

– Tu wszystko jest w smarze. Jest pan z Bostonu, prawda? – zapytała, chcąc mu wynagrodzić poprzednie niegrzeczności.

– Tak. Skąd pani wie?

Wzruszyła ramionami, lekko krzywiąc wargi w uśmiechu.

– Tablice rejestracyjne z Massachusetts oraz pański akcent. Nic trudnego. Wiele osób prowadzi tu interesy z bostończykami. Przyjechał pan wypocząć? Dobry wybór.

– Niestety, nie. – Trent już nie pamiętał, kiedy ostatni raz był na urlopie. Dwa lata temu? Trzy?

CC. przebiegła wzrokiem listę robót na następny dzień.

– Jeśli jutro jeszcze pan tu będzie, to możemy się umówić na wymianę oleju.

– Będę o tym pamiętał. Mieszka pani na wyspie?

– Od urodzenia. – Krzesło zaskrzypiało, gdy uniosła nogi i usiadła po turecku. – Był pan już kiedyś w Bar Harbor?

– Jako mały chłopiec kilka razy przyjechałem tu z mamą na weekend. Może polecą mi pani jakieś restauracje albo ciekawe miejsca? Na pewno będę miał trochę wolnego czasu.

– Powinien pan koniecznie zobaczyć park. – Wyciągnęła czystą kartkę papieru i zaczęła coś pisać. – Tu są najlepsze owoce morza, a o tej porze roku nie ma jeszcze kolejek ani tłumów.

Podawała mu kartkę. Złożył ją i wsunął do kieszeni na piersiach.

– Dziękuję. Jeśli jest pani wolna dziś wieczorem, to proponuję, abyśmy wspólnie sprawdzili tę restaurację. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać o mojej chłodnicy.

CC. z rumieńcem na twarzy wyciągnęła rękę po wizytówkę. Już miała przyjąć zaproszenie, gdy jej

wzrok padł na wydrukowane nazwisko.

– Trenton St. James III – przeczytała na głos.

– Po prostu Trent – uśmiechnął się swobodnie. No tak, pomyślała CC, wszystko doskonale pasuje. Drogi samochód, drogi garnitur, snobistyczne maniery. Powinna była od razu na to wpaść.

Otrząsnęła się z odrazą i szybko wsunęła wizytówkę do notesu.

– Proszę tutaj podpisać.

Trent wyjął cienki złoty długopis i podpisał rachunek. CC. zdjęła jego kluczyki z wieszaka na ścianie i rzuciła w jego kierunku. Gdyby nie wykazał się refleksem i nie zdążył

ich w ostatniej chwili złapać, trafiłyby go w twarz. Catherine stała naprzeciwko niego w wojowniczej pozycji, z rękami opartymi na biodrach i z twarzą pociemniałą z gniewu.

– Wystarczyło powiedzieć: nie – rzekł ze zdziwieniem.

– Mężczyźni tacy jak pan nie rozumieją słowa „nie”! – warknęła. – Gdybym wiedziała, kim pan jest, to wywierciłabym dziurę w pańskim tłumiku!

Trent powoli wsunął kluczyki do kieszeni. Zaciśnął usta i jego spojrzenie stało się lodowate.

– Czy mogłaby mi to pani wyjaśnić?

Podeszła bliżej i stanęła tuż przed nim.

– Jestem Catherine Colleen Calhoun i chcę, żeby pan trzymał ręce z dala od mojego domu.

Przez chwilę nic nie mówił. A więc to była Catherine Calhoun, jedna z czterech sióstr, do których należał To wers, a zarazem ta, która najmocniej sprzeciwiała się sprzedaży. No cóż, i tak musiał z nimi wszystkimi porozmawiać, więc równie dobrze mógł zacząć teraz.

– Bardzo mi miło, pani Calhoun.

– Mnie nie – warknęła, ze złością odrywając rachunek z bloczka. – Niech pan wsiada do swojego wielkiego samochodu i jak najszybciej wraca do Bostonu.

Nie spuszczał z niej wzroku, Trent złożył fakturę i wsunął do kieszeni.

– O ile wiem, nie jest pani jedyną osobą, która decyduje o sprzedaży domu.

– Nie pozwolę zamienić go w ohydny, błyszczący hotel dla znudzonych aktorek–
debiutantek i podrabianej włoskiej arystokracji.

Trent powściągnął uśmiech.

– Mieszkała pani w którymś z naszych hoteli?

– Nie muszę, bo i tak wiem, jak wyglądają. Marmurowe hole, szklane windy, dwudziestometrowe kandelabry i do tego wszędzie fontanny.

– Ma pani coś przeciwko fontanom?

– Nie pozwolę zainstalować marmurowej sikawki w moim salonie. Może przekaże pan pieniądze na rzecz wdów i sierot, a nas zostawi w spokoju?

– Niestety, w tym tygodniu nie zajmuję się dobroczynnością. Pani Calhoun, przyjechałem tutaj na prośbę pani rodziny. Niezależnie od tego, jaki jest pani stosunek do sprzedaży rezydencji, ma ona jeszcze trzy współwłaścicielki. Nie wyjadę stąd, dopóki z nimi nie porozmawiam.

– Może pan sobie gadać do końca świata, ale... jakiej rodziny?

– W tej sprawie napisała do mnie pani Cordelia Calhoun McPike.

CC. odrobinę zmieniła się na twarzy, lecz nie zamierzała się wycofywać.

– Nie wierzę – rzuciła twardo.

Trenton bez słowa postawił teczkę na stercie papierów zaścielających biurko i otworzył

zamek, a potem wyciągnął ze schludnego pliku dokumentów list napisany na grubym papierze w kolorze kości słoniowej. CC, poczuła dławienie w gardle. Wyrwała mu kartkę z ręki i przeczytała:

„Szanowny Panie St. James,

Rodzina Calhounów zdecydowała się rozważyć pańską propozycję dotyczącą kupna To wers. Ponieważ sytuacja jest skomplikowana, sądzę, że byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli omówić ją osobiście.

Jako przedstawicielka rodziny chciałabym zaprosić pana na kilka dni do Towers.

Uważam, że jeśli przyjmie pan zaproszenie, korzyści będą obustronne. Jestem pewna, że zgodzi się pan ze mną, iż bliższe zaznajomienie się z posiadłością, która pana interesuje, jest wskazane.

Jeśli wyrazi pan zgodę, proszę o kontakt.

Szczerze oddana,

Cordelia Calhoun McPike".

CC. przeczytała list dwukrotnie, zgrzytając zębami, i już chciała gniewnie zmiąć go w kulę, lecz Trenton w porę wyrwał kartkę z jej ręki i schował razem z innymi dokumentami.

– Mam wrażenie, że nic pani o tym nie wiedziała?

– Oczywiście, że nie! Ta stara intrygantka... Och, ciociu Coco, chyba będę musiała cię zamordować!

Rozumiem, że pani McPike i ciocia Coco to jedna i ta sama osoba?

– Bywają dni, gdy nie jestem tego całkiem pewna – westchnęła CC – To zresztą nie ma znaczenia, bo i tak będę musiała zamordować je obie.

– Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, wolał bym nie być świadkiem tej rodzinnej tragedii.

CC. wepchnęła rękę do kieszeni kombinezonu i spojrzała na niego ponuro.

– Skoro upiera się pan, by zatrzymać się w Towers, na pewno nie uda się panu tego uniknąć.

Trenton skinął głową.

– No cóż, zaryzykuję.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ciocia Coco zajęta była układaniem róż w dwu ostatnich wazonach z saskiej porcelany, których jeszcze nie sprzedano. Aby różniej jej się pracowało, nuciła pod nosem aktualny przebój rockowy, od czasu do czasu urozmaicając go głośniejszym bum–bum–bum albo ta–

di–da. Podobnie jak wszystkie kobiety w rodzinie Calhounów, była wysoka i zgrabna. W

ciągu ostatnich dziesięciu lat schudła tylko trochę i nadal uważała swoją figurę za królewską.

Na tę okazję ubrała się starannie. Niedawno ufarbowała na czerwono krótkie, puszyste włosy i była niezmiernie zadowolona z efektu. Według Coco próżność nie była wadą ani skazą na charakterze, lecz świętym obowiązkiem kobiety. Jej twarz, zdecydowanie młodsza od metryki dzięki liftingowi przeprowadzonemu sześć lat wcześniej, była starannie umalowana. W uszach Coco miała najlepsze kolczyki z pereł, stanowiące komplet ze sznurem pereł zdobiących szyję. Spojrzała przelotnie w lustro wiszące w holu i uznała, że czarny kostium wygląda elegancko i nadaje jej postaci nutkę dramatyzmu.

Czarne skórzane klapki stukały radośnie o orzechową podłogę. Dzięki wysokim obcasom Coco osiągała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.

W imponujący, wręcz monarszy sposób zlustrowała pokoje, sprawdzając każdy szczegół. Dziewczynki mogą się trochę zdenerwować tym, że nie zostały uprzedzone o zaproszeniu gościa, jednak Coco zamierzała wytłumaczyć się roztargnieniem, co zawsze robiła w kłopotliwych sytuacjach.

Cordelia Calhoun McPike była młodszą siostrą Judsona Calhouna, który ożenił się z Delią Brady i spłodził z nią cztery córki. Judson i Delia, którą Coco kochała jak rodzoną siostrę, zginęli przed

piętnastu laty, gdy ich samolot rozbił się nad Atlantykiem. Od tamtego czasu Coco zastępowała dziewczynkom ojca i matkę. Sama była wdową od dwudziestu lat, niezwykłą kobietą o przewrotnym umyśle i sercu miękkim jak owocowa galaretka. Pragnęła dla dziewczynek wszystkiego, co najlepsze, i z determinacją walczyła, by to dostały, nie bacząc przy tym, czy taka akurat była ich wola. Zainteresowanie Trentona St. Jamesa posiadłością Towers było tą właśnie okazją, na jaką Coco długo czekała. Nie miałyby nic przeciwko temu, by bostoński milioner kupił tę wielką ruinę, ponieważ i tak z całą pewnością nie udałooby im się zbyt długo utrzymać Towers. Podatki, remonty i ogrzewanie sumowały się w bająnskie kwoty. Trenton mógł kupić dom albo nie, w gruncie rzeczy jednak nie o to chodziło. Coco miała jeszcze inny plan.

Była pewna, że gdy już się tu pojawi, zakocha się na zabój w którejś z dziewcząt, nie wiedziała tylko, w której. Próbowwała wróżyć z kryształowej kuli, ale w szkłe nie pojawiło się żadne imię, była jednak tego pewna od chwili, gdy nadszedł pierwszy list. Mocą przeznaczenia ten chłopak po prostu musiał sprawić, by jedna z jej panienek miała słodkie życie, pełne miłości i luksusu. Coco nie zamierzała pozwolić, by którakolwiek z dziewcząt dostała tylko jedną z tych dwóch rzeczy.

Westchnęła, poprawiając świeczkę w świeczniku Lalique. Ona sama mogła im zapewnić wyłącznie miłość. Gdyby Judson i Delia żyli, wszystko wyglądałoby inaczej, bo dzięki przenikliwości Judsona i energii Delii prędzej czy później wydobyliby się z finansowych tarapatów.

Niestety, po ich śmierci kłopoty stawały się coraz większe. Coco z żalem po trochu wyprzedawała rodowe pamiątki, by zachować nad głową przeciekający dach Towers.

A teraz Trenton St. James miał to wszystko zmienić.

Może zakocha się w Suzannie? – pomyślała, otrzepując poduszki na kanapie w salonie.

W tym biedactwie, której bezwartościowy łajdak złamał serce. Coco zacisnęła usta. I pomyśleć, że udało mu się nabrać je wszystkie. Nawet ją! Zrujnował życie jej bratanicy, a potem rozwiódł się z nią, by poślubić jakąś biuściastą seksbombkę.

Coco ciężko westchnęła, zatrzymując wzrok na popękany suficie. Trzeba będzie najpierw sprawdzić, czy Trenton będzie nadawał się na ojca dwojga dzieci Suzanny. A jeśli nie...

To może Lilah, ulubienica Coco? Ta dziewczyna bardzo potrzebowała kogoś, kto doceniłby jej żywy umysł i ekscentryczny sposób bycia oraz zapewnił stabilizację i opiekę, a jednocześnie nie tłumil jej mistycznych inklinacji, bo na to Coco nigdy by nie pozwoliła.

Była jeszcze Amanda. Coco przesunęła firanki, by zasłoniły mysią dziurę. Rozsądna, praktyczna Amanda. To dopiero byłaby para! Dwoje biznesmenów, którzy prześcigaliby się w robieniu świetnych interesów. Oczywiście St. James musiałby również docenić, szanować i hołubić łagodniejszą stronę charakteru Amandy, która, choć może sama o tym nie wiedziała, miała w sobie mnóstwo ukrytego ciepła i delikatności.

Z westchnieniem satysfakcji Coco przeszła do sąsiedniego, mniejszego saloniku, a potem do biblioteki i gabinetu. Tam przyjrzała się ścianie i odrobinę przesunęła obrazek, by zasłonił zacieki na

jedwabnej tapecie.

Pozostawała jeszcze CC. No tak, CC! To dziecko odziedziczyło cały upór Calhounów.

Do czego to podobne, żeby młoda, piękna dziewczyna marnowała życie, dłubiąc w silnikach i gaźnikach! Wciąż wytyłana smarem i w brudnym kombinezonie. Boże drogi, ktoś taki jak Trenton St. James na pewno nie zainteresuje się kobietą, która spędza większą część życia pod samochodami. A poza tym CC była najmłodszą z sióstr i liczyła zaledwie dwadzieścia trzy lata, Coco miała więc jeszcze sporo czasu, by znaleźć jej odpowiedniego męża.

Scena była przygotowana. Akt pierwszy mógł się rozpocząć.

Drzwi wejściowe trzasnęły i Coco skrzywiła się. Wiedziała, że od wibracji przekrzywią się obrazki na ścianach. Szybko przeszła przez labirynt pokoi do wejścia.

– Ciociu!

Coco zaniepokoiła się nie na żarty, rozpoznając dźwięczący furją głos CC, i natychmiast ubrała twarz w uśmiech pełen współczucia. Co takiego mogło się stać?

– Już idę, skarbie. Nie spodziewałam się, że tak wcześnie wrócisz. To taka miła niespo...

– Urwała na widok bratanicy, która stała w holu w podartych džinsach i bawełnianej koszulce. Na jej twarzy i dłoniach, w tej chwili zwiniętych w pięści i opartych na biodrach, wciąż widać było ślady smaru. Za nią stał mężczyzna, w którym Coco natychmiast rozpoznała swego przyszłego ciotecznego zięcia.

– Ależ to pan St. James! Jakże mi miło – zawołała, wyciągając rękę. – Cieszę się, że w końcu mogę pana poznać osobiście. Czy miał pan udaną podróż?

– W każdym razie... interesującą.

– To jeszcze lepiej – uśmiechnęła się Coco, przytrzymując jego dłoń. Podobał jej się równy ton jego głosu i uważne spojrzenie. – Proszę wejść. Ponieważ początek zwiastuje przyszłość, więc najlepiej byłoby, gdyby od razu poczuł się pan tu jak u siebie w domu. Pójdę po herbatę.

– Ciociu Coco... – odezwała się cicho CC.

– Tak, skarbie, wolisz napić się czegoś innego?

– Chcę usłyszeć wyjaśnienie, i to natychmiast.

Serce ciotki zaczęło bić nieco szybciej, ale uśmiech, jakim obdarzyła siostrzenicę, był zupełnie szczery i wyrażał zaciekawienie.

– Jakie wyjaśnienie? Co mam ci wyjaśnić?

– Chcę wiedzieć, co on tutaj, do cholery, robi!

– Catherine, doprawdy! – syknęła ciotka. – Twoje maniery to jedna z moich nielicznych porażek. Proszę, panie St. James... czy też mogę pana nazywać Trenton? Na pewno jest pan trochę zmęczony po podróży. Mówił pan chyba, że przyjechał pan tu samochodem? Może wejdziemy dalej i usiądziemy w salonie? – Pociągnęła go w głąb domu. – Wspaniała pogoda na jazdę, prawda?

CC. jednak szybko zagroziła im drogę.

– Zaraz, zaraz! Nie przejdzie ci to tak gładko.

Chcę wiedzieć, po co go tu zaprosiłaś.

Coco odpowiedziała długim, bolesnym westchnieniem.

– Interesy są znacznie przyjemniejsze i przynoszą więcej korzyści, gdy przeprowadza się osobiście i w swobodnej atmosferze. Czy zgodzisz się ze mną, Trenton?

– Tak – odpowiedział, tłumiąc uśmiech. – Nie sposób temu zaprzeczyć.

No widzisz! – rozpromieniła się Coco. CC szeroko rozłożyła ramiona.

– Nic z tego. Nie zgodziłyśmy się na sprzedaż domu.

– Oczywiście, że nie – rzekła cierpliwie Coco. – Dlatego właśnie Trenton tu przyjechał, żeby omówić wszelkie opcje. CC, myślę, że powinnaś się umyć przed herbatą. Cała jesteś brudna od smaru.

Dziewczyna potarła twarz ręką.

– Dlaczego ja nic nie wiedziałam o tym, że on tu przyjeżdża?

Na twarzy Coco odbiło się szczere zdziwienie.

– Jak to? Przecież ci powiedziałam. Mówiłam wam wszystkim. Moja droga, nie zapraszałabym gości bez uzgodnienia.

CC. nie ustępowała, a twarz miała coraz bardziej zaciętą.

– Nie mówiłaś mi – powtórzyła twardo.

– Ależ, Catherine... – Coco wyduła wargi w sposób wyćwiczony przed lustrem. – Czy aby jesteś tego absolutnie pewna? Przysięgłabym, że uprzedziłam was o wszystkim, gdy dostałam list od pana St. Jamesa!

– Nie – rzekła krótko CC.

Ciotka uniosła dłonie do policzków.

– Och, to okropne! Muszę cię przeprosić. Co za straszne zamieszanie! CC, wybacz mi, proszę, to moja wina. W końcu ten dom należy do ciebie i do twoich sióstr, a ja tylko korzystam z waszej gościnności i dobrego serca. Nigdy świadomie nie odważyłabym się samowolnie zapraszać tu kogokolwiek bez powiadomienia was.

W tonie głosu Catherine zabrzmiało wreszcie poczucie winy.

– Ciociu, to jest twój dom tak samo jak nasz i dobrze o tym wiesz. Nie musisz pytać nas o pozwolenie, gdy chcesz tu kogoś ugościć, tylko myślę, że powinnyśmy...

– Nie, nie, to niewybaczalne – rzekła Coco, mrugając oczami, które po chwili zaczęły niepokojąco błyszczeć. – Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Czuję się okropnie. Widzisz, chciałam tylko pomóc, ale...

Catherine wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni ciotki.

– Nie ma się czym martwić. Po prostu w pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. Posłuchaj, może ja zrobię herbatę, a ty tu posiedzisz... z nim.

– Jak to miło z twojej strony, skarbie.

CC wymruczała pod nosem coś niezrozumiałego i zniknęła w holu.

– Gratuluję – wymruczał Trent, spoglądając na Coco z rozbawieniem. – Znakomicie to pani rozegrała.

Coco rozpromieniła się i wsunęła dłoń pod jego ramię.

– Dziękuję. Może rzeczywiście wejdziemy i porozmawiamy? – Zaprowadziła go do fotela przed kominkiem w salonie. To było najbezpieczniejsze miejsce, jako że sprężyny w kanapie rozsypały się już dawno. – Muszę przeprosić za zachowanie CC. Dziewczyna ma porywczy charakter, ale złote serce.

Trent pochylił głowę.

– Muszę pani uwierzyć na słowo.

– W każdym razie najważniejsze, że jest pan tutaj – rzekła Coco i bardzo z siebie zadowolona usiadła naprzeciw niego. – Wiedziałam, że uzna pan dom i jego historię za ekscytujące.

Trent tylko się uśmiechnął, bowiem na razie zafascynowany był mieszkanekami tego domu.

– To mój dziadek – oświadczyła Coco, wskazując na portret mężczyzny o kwaśnym wyrazie twarzy i mocno zaciśniętych ustach. Obraz wisiał nad ozdobnym, zrobionym z drewna wiśniowego gzymsem kominka. – Zbudował ten dom w 1904 roku.

Trent spojrział w pełne niechęci oczy pod ściągniętymi brwiami.

– Wygląda... imponująco – stwierdził uprzejmie.

Coco zaśmiała się serdecznie.

– Owszem, to prawda. I wyjątkowo bezwzględnie. Podobno zresztą taki był. Ja sama pamiętam Fergusa Calhouna jako starszego człowieka, który kłócił się z cieniami. Wreszcie w 1945 uznano go za niebezpiecznego dla otoczenia szaleńca, ponieważ strzelił do kamerdynera za to, że ten podał mu niedobre porto. Zupełnie zwariował. Oczywiście mówię o dziadku, a nie o kamerdynerze.

– Rozumiem – rzekł Trent ostrożnie.

– Przeżył jeszcze dwanaście lat w zakładzie dla obłąkanych. Zmarł już dobrze po osiemdziesiątce. Calhounowie albo żyją długo, albo umierają w bardzo młodym wieku.

Wiesz, znałam twojego ojca – dodała, krzyżując długie, mocne nogi.

– Mojego ojca? – zdziwił się Trent.

– Tak, choć niezbyt blisko. W młodości czasem spotykaliśmy się na przyjęciach.

Pamiętam, że kiedyś tańczyłam z nim kotyliona w Newport. Był olśniewająco przystojny i czarujący. Wywarł na mnie wielkie wrażenie TM uśmiechnęła się. – Jesteś do niego bardzo podobny.

– Na pewno żałował, że wypuścił panią z rąk.

Na ten komplement w oczach Coco zabłysło czysto kobiece zadowolenie.

– Masz rację – zaśmiała się. – Jak on się miewa?

– Nieźle. Myślę, że gdyby wiedział, z kim ma do czynienia, to nie przekazałby tej sprawy mnie.

Coco uniosła brwi. Z nabożną czcią czytała wszystkie plotki o bogatych ludziach i dobrze wiedziała, że starszy pan St. James właśnie jest w trakcie trudnego rozwodu.

– Ostatnie jego małżeństwo chyba nie trwało długo?

Nie była to żadna tajemnica, jednak Trenton poczuł się niezręcznie.

– Nie. Czy mam przekazać mu pozdrowienia od pani?

Coco uświadomiła sobie, że dotknęła drażliwego punktu, i szybko zmieniła temat.

– Oczywiście. A jak spotkałeś dzisiaj CC?

Bo takie było przeznaczenie, pomyślał Trent, i omal nie powiedział tego na głos.

– Musiałem skorzystać z usług jej warsztatu, czy też raczej mój samochód tego potrzebował. Nie od razu skojarzyłem „CC. Autonaprawy” z Catherine Calhoun.

Coco tylko machnęła ręką.

– Trudno cię za to winić. Mam nadzieję, że CC za bardzo na ciebie nie nakrzyczała.

– W każdym razie jeszcze żyję – uśmiechnął się Trent. – Widzę jednak, że pani siostrzenica nie chce sprzedawać tego domu.

– Zgadza się! – wykrzyknęła CC, wprowadzając do salonu wózek z herbatą. Prowadziła go jak bolid rajdowy i po przebyciu sporego kawałka podłogi ostro zahamowała między dwoma krzesłami. – I nie wystarczą ulizane bostońskie maniery, abym zmieniła zdanie.

– Catherine, niegrzeczność jest grzechem, którego w żaden sposób nie da się usprawiedliwić.

– Wszystko w porządku – wtrącił szybko Trent. – Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić. Czy pozostałe pani siostrzenice również są tak... pełne temperamentu?

– Mów mi Coco. Wszystkie moje dziewczynki są pięknymi kobietami – rzekła dobra ciocia, rzucając CC. ostrzegawcze spojrzenie znad dzbanka z herbatą. – Czy nie musisz wracać do pracy, kochanie?

– To może poczekać.

– Przyniosłaś jednak tylko dwie filiżanki.

– Ja niczego nie chcę – wyjaśniła Catherine. Przysiadła na poręczu kanapy i skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Śmietanka czy cytryna, Trenton?

– Poproszę o cytrynę.

CC. przyglądała im się, machając nogą w wielkim buciorze. Trent i ciotka prowadzili towarzyską, uprzejmą rozmowę o niczym. To był mężczyzna, którego już od pieluch uczono, jak należy odpowiednio siedzieć na kanapie i elegancko konwersować o bzdurach. Na pewno grał w squash, polo, może w golfa. I miał ręce delikatne jak dziecko. A pod tym nieskazitelnym garniturem na pewno miał miękkie, rozlazłe cielsko. Mężczyźni tacy jak on nie pracowali, nie pocili się, niczego nie czuli. Przez cały dzień siedział za biurkiem, kupując i sprzedając, i na pewno ani razu nie pomyślał o ludziach, których marzenia i nadzieje obracały się w ruinę z powodu jego decyzji.

Nie miała jednak zamiaru pozwolić, by zniszczył również i jej życie. Jeśli kupi ten dom, pokryje kochane przez nią spękane tynki płytą kartonową i warstwą śliskiej farby. Nie wolno dopuścić do tego, by zmienił pełną przeciągów salę balową w nocny klub. Ten zarozumiały bubek nie dotknie ani jednej spróchniałej deski w podłodze.

Sytuacja jest dość niezwykła, ocenił Trent. Rozmawiał z Coco, a tymczasem Królowa Amazonek, jak

zaczął w myślach nazywać CC, siedziała na steranej kanapie, machając nogą w wielkim bucie i rzucając mu mordercze spojrzenia. W innej sytuacji Trent przeprosiłby uprzejmie za najście, wrócił do Bostonu i przekazał całą sprawę któremuś ze swych agentów, od dawna jednak nie natrafił na żadne poważniejsze wyzwanie. Może właśnie to było mu teraz najbardziej potrzebne, by zatrzeć niemiłe wspomnienia związane z Marlą i wrócić do pełnej formy.

Dom był naprawdę zdumiewający, a do tego rzeczywiście się rozsypywał. Z zewnątrz wyglądał jak połączenie angielskiej rezydencji ziemiańskiej z zamkiem Draculi. W niebo strzelały wieżyczki i mansardki z szarego kamienia, a gargulce –jeden z odłamaną głową –

uśmiechały się złośliwie, czepiając się kamiennych balustrad. Wszystko to było nałożone na prosty dwupiętrowy dom z granitu ze schludnymi werandami i tarasami. Przy murze od strony oceanu zbudowano pergolę, która skojarzyła się Trentowi z rzymskimi łaźniami.

Trawniki były wielopoziomowe, ułożone tarasowata i porozdzielane granitowymi murkami.

Dom powinien być brzydki, wręcz okropny, a jednak tak nie było, posiadał bowiem przedziwny czar. Szyby w oknach lśniły jak tafla jeziora w letnim słońcu, kwiaty na wiosennych rabatach kiwały głowami, a po granitowych murkach piął się bluszcz. Nawet pragmatycznemu mężczyźnie nietrudno było wyobrazić sobie herbatki i ogrodowe przyjęcia, jakie musiały się tu kiedyś odbywać, dźwięki harfy i skrzypiec oraz przechadzające się po trawnikach kobiety w malowniczych kapeluszach i organdyńowych sukniach.

Był jeszcze widok. Nawet krótki spacer z samochodu do frontowych drzwi wystarczył, by Trentowi zaparło dech w piersiach. Zrozumiał, co jego ojciec zobaczył w tej rezydencji i dlaczego był gotów zainwestować w remont setki tysięcy dolarów.

– Może jeszcze herbaty, Trent? – zapytała Coco.

– Nie, dziękuję –uśmiechnął się do niej szczerze.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym obejrzeć dom. To, co ujrzałem do tej pory, jest naprawdę fascynujące.

CC. ironicznie prychnęła, jednak Coco zignorowała to.

– Oczywiście, z przyjemnością cię oprowadzę – rzekła, wstając z miejsca. Za plecami Trenta ponownie rzuciła swej siostrzenicy ostrzegawcze spojrzenie. – CC, czy nie powinnaś już wrócić do warsztatu?

– Nie. – Dziewczyna również wstała i raptem zmieniła taktykę. – Ciociu Coco, może ja oprowadzę pana St. Jamesa po domu. Dzieci powinny niedługo wrócić.

Ciocia spojrzała na zegar na kominku, który już od paru miesięcy wskazywał dziesiątą trzydzieści pięć.

– Och, rzeczywiście...

– Nie martw się o nic – ciągnęła CC, podchodząc do drzwi i stanowczym gestem nakazując Trentowi iść za sobą. Poprowadziła go przez hol na nadwątlone zębem czasu schody.

– Zaczniemy od góry, dobrze? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, szła coraz wyżej, pewna, że nim dojdą do drugiego piętra, Trenton będzie zadyszany.

Zawiodła się jednak.

Weszli na kolisty podest, z którego prowadziły drzwi do najwyższej wieży. CC.

położyła rękę na klamce i z całej siły pchnęła ciężkie dębowe drzwi. Z głośnym zgrzytem otworzyły się dopiero po drugiej próbie.

– Nawiedzona Wieża – rzekła z godnością i weszła do pomieszczenia pełnego kurzu i pogłosów. Okrągły pokój był pusty, na podłodze stało tylko kilka starych i na szczęście w tej chwili pustych pułapek na myszy.

– Nawiedzona? – podchwycił natychmiast zaciekawiony Trenton.

– To była kryjówka mojej prababci – wyjaśniła CC, podchodząc do łukowego okna. –

Podobno siadywała tutaj na parapecie, patrzyła na morze i tęskniła do swojego kochanka.

– Wspaniały widok – wymruczał Trent. Wieża wznosiła się tuż nad urwiskiem. Od patrzenia w dół na nadpływające i odpływające fale szybko zaczynało się kręcić w głowie.

Bardzo dramatyczny.

–

Och, ten dom jest pełen tragedii. Prababcia nie potrafiła dłużej żyć w kłamstwie i rzuciła się w dół właśnie z tego okna – opowiadała CC. z promiennym uśmiechem. – W spokojne noce można czasem usłyszeć, jak chodzi po podłodze i oplakuje swoją utraconą miłość.

– To byłoby świetne do folderu reklamowego.

CC. wbiła rękę w kieszenie.

– Nie sądzę, żeby historie o duchach sprzyjały interesom.

– Wprost przeciwnie – uśmiechnął się Trent. – Pójdziemy dalej?

CC zacisnęła usta i podeszła do drzwi. Mocno pociągnęła za klamkę, a potem spróbowała wsunąć palec w szparę. Gdy dłoń Trenta przykryła jej rękę, wzdrygnęła się jak porażona prądem.

– Poradzę sobie – warknęła, on jednak stanął za jej plecami i wyciągnął do klamki drugą rękę. Jego ramiona otaczały ją z obu stron i CC. poczuła się nad wyraz nieswojo.

– To robota dla dwóch osób – zauważył i pociągnął. Drzwi uchyliły się. CC. odruchowo cofnęła się o krok i oparła się o niego całym ciałem.

Przez chwilę stali nieruchomo, jak zakochani podziwiający zachód słońca. Trent poczuł zapach jej włosów. Zaraz jednak dziewczyna odskoczyła od niego jak spłoszony królik.

– Te drzwi są wypaczone – powiedziała, starając się kontrolować brzmienie głosu. –

Wszystko w tym domu jest wypaczone, połamane albo w rozsypce. Nie mam pojęcia, dlaczego chcesz go kupić.

Twarz miała bardzo bladą i przez to jej oczy wydawały się jeszcze większe. Trent zauważył w nich paniczne zdenerwowanie.

– Drzwi można naprawić albo wymienić – rzekł, przypatrując się jej uważnie. – Co się z tobą dzieje?

– Nic – odpowiedziała, odsuwając się o krok. Miała wrażenie, że gdyby Trent znów jej dotknął, eksplodowałaby. – Nic – powtórzyła. – Jeśli chcesz zobaczyć coś jeszcze, to musimy pójść na dół.

Powoli wypuściła oddech i znów poprowadziła go po schodach. Czuła się jak podłączona do prądu. To był dodatkowy powód, by jak najszybciej pozbyć się tego faceta z domu.

Oprowadziła go po najwyższym piętrze, przez skrzydło dla służby i pokoje przeznaczone do przechowywania różnych rzeczy. Nie pominęła żadnej okazji, by wskazać popękany tynk, zagrzybione ściany, szkody wyrządzone przez gryzonie. Dłużej zatrzymywała się w miejscach, gdzie powietrze było chłodne, wilgotne i czuć je było pleśnią. W połowie trasy z zadowoleniem stwierdziła, że kurz pokrył drogi garnitur Trenta, a jego eleganckie bury wyraźnie zmatowiały.

Trent zatrzymał się w drzwiach pokoju, który służył jako magazyn starych mebli i potłuczonych naczyń.

– Czy ktoś to kiedyś przeglądał?

– Och, wciąż mamy zamiar zabrać się do tego –

mruknęła CC, obserwując

wielkiego pająka uciekającego w mroczny kąt. – Wiele z tych pokoi nie było otwieranych od pięćdziesięciu lat, czyli od czasu, gdy mój pradziadek zwariował.

– Fergus, tak?

– Tak. My używamy tylko parteru i pierwszego piętra. Naprawiamy to, co konieczne. –

CC. przesunęła palcem po pęknięciu w ścianie. – Skoro nie musimy na to patrzeć, to nie musimy się też o to martwić. Na razie jeszcze dach nie zawalił się nam na głowę.

Trenton zatrzymał wzrok na jej twarzy.

– Czy myślałaś kiedyś, żeby rzucić swoje silniki i zająć się nieruchomościami?

CC. tylko się uśmiechnęła.

– Chodźmy – powiedziała. Szczególnie zależało jej na tym, by mu pokazać pokój, w którym powybijane okna zasłonięte były folią.

Trent ostrożnie przeszedł po kilku nieheblowanych deskach, które zasłaniały dużą dziurę w podłodze. Jego uwagę przyciągnęły wysokie, zakończone łukiem drzwi. Zanim CC.

zdążyła go powstrzymać, sięgnął do klamki.

– Dokąd te drzwi prowadzą?

– Och, nie ma tam nic ciekawego – mruknęła i zaklęła w duchu, gdy mimo wszystko je otworzył. Do korytarza wdarło się świeże powietrze. Trent wyszedł na wąski kamienny taras i spojrzał na granitowe schodki w kształcie półksiężyca.

– Te schody nie są zbyt mocne – rzekła CC ostrzegawczo, lecz on ze zdziwieniem spojrzał na nią przez ramię.

– Na pewno są mocniejsze niż podłoga w środku.

CC. poszła za nim z rezygnacją.

– Fantastyczne – wymruczał, zatrzymując się na szerokiej galeryjce między dwiema wieżyczkami. Naprawdę fantastyczne.

Właśnie dlatego CC. nie chciała, by to zobaczył, i odwróciła się plecami do niego i wbiła ręce w kieszenie, a on wychylił się przez kamienny parapet. Przed nim lśniły niebieskie wody zatoki, po której ślizgały się żagłówki. Dolina, zamglona i tajemnicza, wyglądała jak z bajki. Nad zatoką krążyła mewa, widoczna jedynie w postaci niewielkiej białej plamki.

– Niewiarygodne – mrucał Trent, idąc wzdłuż galeryjki. Wszedł po schodkach na kolejny poziom. Stąd widać już było nie tylko zatokę, ale również ni warty ocean, nieposkromiony, wietrzny, wspaniałe Atlantyki. Z dołu słychać było łoskot fal rozbijających się o skały.

Na galeryjkę wychodziło wiele drzwi, ale w tej chwili nie interesowały go wnętrza pokoi. Ktoś, zapewne jedna z siostr, ustawił tu stoliki, krzesła i rośliny w dużych donicach.

Trent znów spojrzał w dół na dach pergoli i rozciągające się za nim urwisko.

– Niezwykły widok – stwierdził, zwracając się do CC – Czy można na to zobojeźnić?

– Nie, ale można stać się zaborczym – wzruszyła ramionami.

– To zrozumiałe. Dziwię się, że w ogóle przebywacie w środku domu.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, CC zbliżyła się do niego.

– Nie chodzi tylko o widok. Nasza rodzina mieszkała tu od pokoleń. Ten dom przetrwał czas, wiatry i pożary. – Spojrzała w dół i twarz jej złagodniała. – O, dzieci już są.

Przez trawnik przed domem biegły dwie małe figurki. Wiatr niósł odgłos ich śmiechu.

– Alex i Jenny – wyjaśniła CC. – Dzieci mojej siostry Suzanny. One też znalazły tu dom. To wiele znaczy.

– A co ich matka myśli o sprzedaży?

CC. odwróciła wzrok.

– Na pewno sam będziesz miał okazję zapytać ją o to. Lecz jeśli będziesz próbował na nią naciskać – dodała groźnie – to będziesz miał ze mną do czynienia. Nie pozwolę, żeby znów ktoś nią manipulował.

– Nie mam zamiaru nikim manipulować.

CC. zaśmiała się gorzko.

– Mężczyźni tacy jak ty robią kariery wyłącznie dzięki temu, że są gładcy jak aksamit, słodcy i lepcy jak miód, sprytni jak lisy, drapieżni jak wilcy i nienasyceń jak hieny. Jeśli wydaje ci się, że trafiłeś na cztery bezradne kobiety, to przemyśl wszystko jeszcze raz.

Calhounowie potrafią o siebie zadbać.

– Nie wątpię w to, szczególnie jeśli twoje siostry są równie nieznośne i złośliwe jak ty.

CC przymrużyła oczy i zacisnęła dłonie w pięści. Gotowa była ruszyć do ataku z całym impetem, lecz za jej plecami odezwał się jakiś cichy głos.

Za drzwiami wyłoniła się kobieta. Była równie wysoka jak CC, ale szczuplejszej budowy.

Miała w sobie coś kruchego, co natychmiast rozbudziło w Trencie opiekuńcze instynkty.

Jasnobłond włosy opadały jej w falach na ramiona, a oczy, niebieskie jak letnie niebo, początkowo wydawały się spokojne. Dopiero po chwili można było zauważyć w nich głęboki smutek.

Pomimo różnicy w kolorze włosów i oczu kobieta lwia podobna do CC Kształt twarzy oraz osadzenie oczu przekonały Trenta, że ma przed sobą jedną z sióstr Catherine.

– To jest Suzanna – powiedziała CC. i szybko wsunęła się pomiędzy nich, jakby chciała chronić

siostrę przed Trentem. Usta Suzanny zadręgały w lekkim uśmiechu, który wyrażał

jednocześnie rozbawienie i zniecierpliwienie.

– Ciocia Coco prosiła, żebym was znalazła powiedziała, uspokajająco kładąc rękę na ramieniu CC – Ten pan to zapewne Trenton St. James.

– Tak – potwierdził, ujmując wyciągniętą w jego stronę rękę. Ku jego zdziwieniu dłoń Suzanny była twarda i pokryta odciskami.

– Suzanna Calhoun Dumont. Zamierza pan zostać u nas przez kilka dni?

– Tak. Ciotka pani była tak miła i zaproponowała mi gościnę.

– Raczej tak bystra – stwierdziła Suzanna z lekką ironią. – Przypuszczam, że CC

pokazała już panu część naszego domu.

– To była fascynująca wycieczka.

– Z przyjemnością oprowadzę pana dalej. CC, ciocia Coco przydałaby się pomoc w kuchni.

– Już wszystko mu pokazałam – zaprotestowała Catherina – a ty wyglądasz na zmęczoną.

– Nie, wydaje ci się, będę jednak zmęczona, jeśli ciocia Coco każe mi szukać po całym domu porcelanowego półmiska na indyka.

– No dobrze – mruknęła CC. i rzuciła ostatnie spojrzenie na twarz Trenta. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

– Oczywiście – zgodził się z uśmiechem i gdy drzwi zatrzasnęły się za CC, zwrócił się do drugiej kobiety: – Pani siostra ma... niezwykle dynamiczny charakter.

– Jest bardzo wojownicza – zaśmiała się Suzanna. – Wszystkie takie jesteśmy, gdy zmuszą nas do tego okoliczności. To klątwa rodu Calhounów. – Rozejrzała się dokoła, usłyszała bowiem dziecięcy śmiech. – Widzi pan, to nie jest łatwa decyzja. Nie chodzi tylko o pieniądze.

– Zdążyłem już to zauważyć. No cóż, proszę jednak zrozumieć, to są wasze emocje i sentymenty, a mnie obchodzą tylko interesy.

Suzanna dobrze wiedziała, że dla niektórych mężczyzn biznes zawsze stał w życiu na pierwszym miejscu.

– Dojdziemy i do tego – stwierdziła, otwierając drzwi, za którymi wcześniej zniknęła CC. – Może miałby pan ochotę zobaczyć swój pokój?

ROZDZIAŁ TRZECI

- Więc jaki on jest? – zapytała Lilah Calhoun, krzyżując nogi w kostkach. Leżała na kanapie z jedną ręką opartą na poręczy, a drugą podłożoną pod głowę. Na jej przedramieniu dźwięczało pół tuzina cienkich bransoletek. – Skarbie, mówiłam ci, że takie skrzywienie twarzy powoduje tylko zmarszczki i złe wibracje – dodała, patrząc na CC
- Jeśli nie chcesz, żebym się krzywiła, to nie pytaj mnie o niego.
- Dobrze, zapytam Suzanne – zgodziła się Lilah, przenosząc spojrzenie zielonych jak woda morska oczu na drugą z sióstr. – Mów.
- Atrakcyjny, dobrze wychowany i inteligentny. Zupełnie jak cocker spaniel – westchnęła Lilah. – A ja miałam nadzieję, że to będzie buldog. Jak długo mamy go tu trzymać?
- Ciocia Coco niechętnie mówi o szczegółach rzekła Suzanna, patrząc na siostry z rozbawieniem. To znaczy nie chce nic mówić.
- Może Mandy uda się coś z niej wyciągnąć mruknęła Lilah. Poruszyła palcami bosych stóp i przymknęła oczy. Należała do kobiet, które uważają, że jeśli ktoś wyciąga się na kanapie i natychmiast nie usypia, to jest chory. – Suze, czy dzieci przechodziły tędy dzisiaj?
- Nie więcej niż piętnaście razy. A dlaczego pytasz?
- Bo chyba leżę na wozie strażackim.
- Myślę, że powinniśmy się pozbyć Trenta – rzekła CC. Wstała, podeszła do kominka i zaczęła układać drewno.
- Suze mówiła, że już próbowałaś zepchnąć go z galerii.
- Niezupełnie – uściśliła Suzanna – bowiem nadeszłam w samą porę, by ta idea nie zdążyła ostatecznie wykrystalizować się w głowie CC. – Podniosła się nieco i podała siostrze zapalki. – Zgadzam się, że jego pobyt tutaj stwarza dziwną sytuację, bo przecież jeszcze nie podjęliśmy żadnej decyzji, ale właściwie nie ma się nad czym zastanawiać. Możemy tylko dać mu szansę, żeby powiedział swoje, i już.
- Wieczna negocjatorka – mruknęła Lilah sennie, nie zauważając, że Suzanna skrzywiła się boleśnie.
- Na razie najważniejsze jest to, że obejrzał już dom. Moim zdaniem pod byle pretekstem niedługo zniknie stąd i wróci do Bostonu.
- Im szyciej, tym lepiej – stwierdziła CC, wpatrując się w pierwsze płomienie ogarniające szczapy drewna.
- Zbyła mnie niczym – oświadczyła Amanda, wchodząc do salonu, jak zwykle pośpiesznym krokiem. Przesunęła dłonią po jasnobrązowych, sięgających brody włosach i przysiadła na poręczy fotela. Nic nie chce mówić, ale czuję, że coś knuje i nie chodzi jej tylko o sprzedaż Towers.

– Ciocia Coco zawsze spiskuje – zauważyła Suzanna i naląła Amandzie szklanę wody mineralnej. – Jest szczęśliwa tylko wtedy, gdy snuje jakieś intrygi.

To prawda. Dzięki – rzekła Amanda, biorąc od niej szklanę. Naprawdę niepokoję się jednak tylko wtedy, gdy Coco nie chce z nami rozmawiać. Wyciągnęła porcelanę Limoges –

dodała, patrząc na siostry z zamyśleniem.

Lilah uniosła się na łokciu.

– Limoges? Ostatni raz używałyśmy tego na przyjęciu zaręczynowym Suze! – zawołała i poniewczasie ugryzła się w język. – Przepraszam.

Suzanna tylko machnęła ręką.

– Nie mów głupstw. W ciągu ostatnich lat nie prowadziłyśmy zbyt ożywionego życia towarzyskiego. Na pewno już się za tym stęskniła. Wydaje mi się, że gość w domu po prostu sprawia jej radość.

– To nie gość – wtrąciła CC – To pijawka.

– O, pan St. James! – zawołała naraz Suzanna, podnosząc się z miejsca.

– Proszę mi mówić po imieniu – powiedział Trent z uśmiechem. Już od dłuższej chwili stał w progu i, nie zauważony, przyglądał się czterem kobietom. A było na co popatrzeć.

Każdy mężczyzna byłby zachwycony tym obrazem. Wszystkie siostry były wysokie, szczupłe i długonogie.

Suzanna stała przy oknie. Ostatnie promienie wiosennego słońca rozświetlały jej włosy, tworząc aureolę wokół twarzy. Gdyby nie smutek w jej oczach, wyglądałaby na zrelaksowaną.

Natomiast ta druga, leżąca na kanapie, z pewnością była zupełnie rozluźniona. Prawie spała. Ubrana była w długą spódnicę w kwiaty, która sięgała jej niemal do kostek. Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek, odgarniając z czoła masę rudych loków.

Jeszcze jedna siedziała na poręczy fotela, przyczajona, jakby tylko czekała na sygnał do działania. Schludna profesjonalistka, stwierdził Trent na pierwszy rzut oka. Jej wzrok nie był

smutny ani rozmarzony, lecz chłodny i taksujący.

Pozostawała jeszcze CC. Siedziała przy kominku z brodą opartą na rękach, zamyślona jak współczesny Kopciuszek, lecz na widok Trenta natychmiast się podniosła i stanęła sztywno wyprostowana. To nie była kobieta, która czekałaby cierpliwie, aż księżę nałoży pantofelek na jej stopę. Raczej należałoby się spodziewać kopniaka w łydkę lub czegoś jeszcze boleśniejszego.

– Dobry wieczór paniom – uklonił się Trent, nie zdając sobie sprawy z tego, że nie spuszcza wzroku z Catherine.

– To pan Trenton St. James – odezwała się szybko Suzanna. – A to moje siostry, Amanda i Lilah. Może przygotuję panu drinka?

Naraz za plecami Trenta rozległy się wrzaski i głośny tupot. Alex i Jenny wpadli do salonu jak dwie trąby powietrzne, a Trenton akurat znalazł się na linii ognia. Miał wrażenie, że trafiły w niego dwa pociski rakietowe, a w następnej chwili upadł całym ciężarem na leżącą na kanapie Lilah.

– Miło mi cię poznać – roześmiała się dziewczyna.

– Bardzo przepraszam – jęknęła Suzanna, patrząc na niego ze współczuciem. – Nic ci się nie stało?

– Nic – odpowiedział Trent, podnosząc się z kanapy.

– To moje dzieci, Rozpacz i Katastrofa – wyjaśniła Suzanna, mocno je przytrzymując. –

Natychmiast przeproście!

– Przepraszamy – odezwali się Jenny i Alex jednogłośnie, choć bez specjalnej skruchy.

Alex, trochę wyższy od siostry, spod szopy ciemnych włosów podejrzliwie łąpał na Trenta.

– Nie widzieliśmy pana.

– Nie widzieliśmy – zawtórowała mu Jenny z rozbajającym uśmiechem.

Suzanna zdecydowała się odłożyć kazanie na później i bez słowa poprowadziła dzieci do drzwi.

– Idźcie zapytać ciocię Coco, czy kolacja już gotowa. Tylko nie biegnijcie! – dodała stanowczo, choć bez cienia nadziei w głosie.

W tej samej chwili rozległ się głośny, dudniący dźwięk.

– Och, Boże! – krzyknęła Amanda. – Znowu wyciągnęła ten gong!

– To znaczy, że kolacja jest gotowa – ucieszyła się Lilah. Jedzenie było jedyną rzeczą, jaka była w stanie ożywić jej ruchy. Podniosła się, wsunęła rękę pod ramię Trenta i zwróciła się do niego z promiennym uśmiechem: – Pozwól, że cię po prowadzę. Powiedz mi, co myślisz o projekcjach astralnych?

– Hm... – mruknął Trenton. Ponad swoim ramieniem dostrzegł szeroki uśmiech na twarzy CC.

Ciocia Coco przeszła samą siebie. Porcelana lśniła, lśniły również srebra, resztki prezentu ślubnego Bianki i Fergususa Calhounów. Pieczeń jagnięca lśniła pod fantazyjnym światłem z kandelabru Waterforda. Zanim którakolwiek z siostrzenic zdążyła skomentować tę wystawność, ciocia Coco rozpoczęła towarzyską pogawędkę.

– Mam nadzieję, że podoba ci się twój pokój – zwróciła się do Trentona.

– Dziękuję, jest bardzo ładny – odrzekł gość uprzejmie, choć pokój gościnny był wielki jak stodoła, pełen przeciągów i miał w suficie dziurę wielką jak pięść. Łóżko jednak było szerokie i miękkie niczym puch. A poza tym ten widok... Z okna mam widok na wyspy.

– Wyspy Jeża – wtrąciła Lilah, przysuwając mu srebrny koszyk z bułeczkami.

Coco patrzyła na swe siostrzenice wzrokiem wygłodniałego sępa, wypatrując iskry przelatującej między jedną z nich a Trentonem. Lilah wyraźnie z nim flirtowała, ale to nic nie znaczyło, bowiem ona flirtowała ze wszystkimi mężczyznami, a na Trentona nie zwracała większej uwagi niż na chłopca, który w sklepie spożywczym pakował zakupy do toreb. Nie, tutaj nie było żadnej nadziei. Jedno pudło, pomyślała Coco filozoficznie. Pozostały jeszcze trzy strzały.

– Trenton, czy wiesz, że Amanda również pracuje w branży hotelowej? Wszystkie jesteśmy z niej bardzo dumne. To prawdziwa kobieta interesu.

– Jestem asystentką menedżera w Bay Watch wyjaśniła Amanda z chłodnym uśmiechem, jaki zwykle zarezerwowany był dla turystów szturmujących hotelową recepcję. –

To hotel w wiosce, znacznie mniejszy od tych z pańskiej sieci, ale w sezonie zawsze mamy komplety. Słyszałam, że buduje pan podziemne centrum handlowe w hotelu St. James w Atlancie.

Przez chwilę rozmawiali o biznesie. Coco zmarszczyła czoło nad kieliszkiem wina. Nie było tu żadnej iskry, nawet najślabszej. Gdy Trent podał Amandzie galaretkę miętową i ich dłonie otarły się o siebie, żadne z nich nie wstrzymało oddechu ani nie rzuciło dziwnego spojrzenia. Amanda natychmiast odwróciła się do Jenny i wytarła rozlane mleko.

– Ta brukselka jest obrzydliwa – poskarżył się Alex znad swojego talerza. Trent uśmiechnął się do chłopca szeroko.

– Aha! – pomyślała Coco z satysfakcją. A więc ma słabość do dzieci.

– Nie musisz jej jeść – powiedziała Suzanna do syna, który rozgrzebywał widelcem ziemniaki, by się upewnić, że nie kryje się pod nimi nic zielonego.

– Ja sama zawsze uważałam, że brukselka wygląda jak skurczone ludzkie główki.

– Bo tak wygląda! – ucieszył się Alex. Jego matka dobrze wiedziała, w jaki sposób najlepiej go podejść. Wsunął zieloną kulkę do ust i uśmiechnął się szeroko. – Jestem kanibalem, uga bugga!

– Kochany chłopiec – powiedziała Coco słabym głosem. – Suzanna jest cudowną matką.

Ma dar do dzieci, podobnie jak do roślin. Cały nasz ogród to jej dzieło.

– Uga bugga! – zawołał znowu Alex, wrzucając do ust kolejną brukselkę.

– Masz, mały ludożerco. – CC. nałożyła mu trochę ze swojego talerza. – Nowa dostawa misjonarzy.

– Ja też chcę! – upomniała się Jenny i rozpromieniła się, gdy Trent przysunął jej salaterkę.

Coco przyłożyła rękę do piersi. Kto by pomyślał? Mała Catherine, najmłodsza ze wszystkich. Coco nie mogła się mylić. CC. nie brała udziału w rozmowie, ciotka zauważyła jednak spojrzenia, jakimi obrzucał ją Trent. To nie była iskra, to był cały pożar. Catherine wykrzywiła do niego twarz, ale w tych grymasach kryła się głęboka emocja. Trent z kolei rzucał jej ironiczne uśmiechy, miały one jednak bardzo osobiste zabarwienie. Wręcz, można by rzec, emanowały intymnością.

Alex pożerał główki misjonarzy, Lilah i Amanda dyskutowały o możliwości istnienia życia na innych planetach, Coco zaś wsłuchiwała się w myśli Trenta i Catherine.

Arogancki ważniak i bufon.

Niegrzeczna, źle wychowana smarkula. Muchy w nosie, i tyle.

Co on właściwie sobie myśli, za kogo siebie uważa, siedzi tu przy stole, jakby ten dom już należał do niego.

Szkoda, że charakter ma gorszy niż wygląd, ale utrzyć takiej nosa, to dopiero byłoby coś!

Coco obdarzyła ich oboje ciepłym uśmiechem. W jej głowie już rozbrzmiewał marsz weselny. Jak admirał obmyślający strategię bitwy, zaczęła do deseru i dopiero przy kawie rozpoczęła kolejną ofensywę.

– CC, może pokażesz Trentonowi ogród? Catherine ze zdziwieniem podniosła głowę. W

pierwszej chwili nie zrozumiała, zajęta kłótnią z Alekssem o ostatni kawałek ciasta.

– Ogród – powtórzyła ciotka. – Nie ma to jak odrobina świeżego powietrza po posiłku, a kwiaty tak pięknie wyglądają w świetle księżyca.

– Niech Suze go zaprowadzi, jak on się boi, że może zablądzić.

Suzanna właśnie brała na ręce śpiącą Jenny, lecz słysząc słowa siostry, lekko się skrzywiła.

– Przepraszam cię, ale muszę położyć dzieci spać.

– Nie rozumiem, dlaczego zawsze na mnie to spada! – obruszyła się wściekle CC. i natychmiast dosięgło ją mordercze spojrzenie ciotki. –No dobrze mruknęła niechętnie i wstała. – Chodź – prawie warknęła do Trenta i zamaszycie wyszła z jadalni, nie oglądając się za siebie.

– Coco, kolacja była znakomita. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rozpromieniła się ciotka. Oczami wyobraźni widziała już sekretne pocałunki, słyszała czułe szepty... Między CC i Trentem toczyła się wojna, która mogła zakończyć się tylko w jeden sposób. – Mam na dzieję, że spodoba ci się ogród.

Trent wyszedł przez drzwi prowadzące na taras. CC. już na niego czekała, niecierpliwie stukając czubkiem buta w kamienną posadzkę. Czas już, pomyślał, żeby ktoś nauczył tę nieznośną dziewczuchę dobrych manier.

– Ja cię tylko zaprowadzę, ale dalej będziesz musiał radzić sobie sam, bo zupełnie nie znam się na kwiatach – oświadczyła na wstępie.

– Ani na zwykłej uprzejmości – uzupełnił z satysfakcją.

CC. z godnością uniosła głowę.

– Posłuchaj, brachu! Tylko mi tu...

– Nie, to ty posłuchaj! – Chwycił ją za ramię. – Chodźmy gdzieś dalej, Tu mogą usłyszeć nas dzieci, a myślę, że jeszcze nie dorosły do takich rozmów.

Był silniejszy, niż przypuszczała. Pociągnął ją za sobą, ignorując stłumione przekleństwa. Zeszli z tarasu i ruszyli przed siebie jedną z krętych ścieżek, które wiły się wzdłuż murów, gdzie rosły żonkile i hiacynty. CC, zupełnie wyprowadzona z równowagi, w pewnym momencie celnie kopnęła swego prześladowcę w kostkę, ten jednak nie dał jej posmakować satysfakcji, bowiem w zarodku stłumił okrzyk bólu.

Trent zatrzymał się przy pergoli obok krzewu glicynii, który miał rozkwitnąć za miesiąc. CC sama nie wiedziała, czy szum w jej uszach pochodził od fal oceanu, czy też huczało jej w głowie ze złości.

– Nie próbuj robić tego więcej! – syknęła i roztarła miejsca, gdzie jego palce na pewno pozostawiły siniaki. – Możesz w Bostonie rozstawiać po kątach swoich lokajczyków, ale nie tutaj, jasne? Nie mnie i nie moją rodzinę, zrozumiałeś, ty bubku od Armaniego?!

Trent przez chwilę milczał, hamując złość.

– Gdybyś mnie znała trochę lepiej i gdybyś wiedziała, czym się zajmuję, nie oskarżałabyś mnie o rozstawianie ludzi po kątach, a tak naprawdę o ich poniżanie i wyzyskiwanie.

– Dobrze wiem, czym się zajmujesz, hieno.

– Wysysaniem krwi z wdów i sierot? CC, czas już dorosnąć.

– Jestem dorosła, palancie, bo pracuję od dwunaste go roku życia i wiem, ile potu trzeba wylać, by zarobić na uczciwe życie – powiedziała z gniewem. — I takie ksiąźątko jak ty nie będzie mnie pouczać. Możesz sam sobie obejrzeć ogród. Ja wracam do domu.

Trent bez słowa stanął przed nią, blokując jej drogę. W świetle księżycy jej oczy lśniły jak diamentowe sztylety. Próbowwała go odepchnąć, on jednak mocno przytrzymał jej przeguby. Podczas tej krótkiej próby sil zauważył, jak jasna jest jej skóra, i że to przecież nie miało żadnego znaczenia.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy – rzekł ostro, nie próbując dłużej ukrywać irytacji.

– Musisz się nauczyć, że jeśli celowo traktujesz kogoś niegrzecznie i obrażasz go, to potem trzeba za to zapłacić.

– Chcesz przeprosin? – syknęła jadownicie. – Dobrze. Przykro mi, że nie mam ci do powiedzenia nic, co nie byłoby niegrzeczne ani obraźliwe.

Ku zdziwieniu CC, Trent się uśmiechnął.

– Niezła jesteś, Catherine. W żaden sposób nie potrafię zrozumieć, dlaczego wciąż staram się rozmawiać z tobą rozsądnie.

– Rozsądnie? – powtórzyła z drwiną w głosie.

– Nazywasz to rozsądną rozmową? Przyciągnąłeś mnie tutaj przemocą, jak neandertalczyk...

– Jeśli uważasz, że mam maniery naszego sympatycznego kuzyna, to widocznie nigdy nie spotkałaś się z prawdziwą przemocą.

Nawet w blasku księżyca było widać, że CC. zaczerwieniła się.

– Moje życie i doświadczenia to nie twoja sprawa.

– I Bogu dzięki.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Czy możesz mnie wreszcie puścić? Bo tak cię kopnę, że tym razem naprawdę zawyjesz.

– O ile obiecasz, że stąd nie uciekniesz – odrzekł Trenton. Wiedział, że natychmiast pobiegłby za nią, a ten obraz wydawał mu się jednocześnie żenujący i wyjątkowo niesmaczny.

– Nie uciekam od nikogo.

– Mówisz jak prawdziwa Amazonka – mruknął i puścił jej przeguby. W tej samej chwili zaciśnięta pięść o milimetr minęła jego nos. Gdyby odruchowo nie uchylił się, cios trafiłby bezbłędnie.

– Powinienem był to przewidzieć – westchnął. – Tylko w ten sposób potrafisz rozmawiać?

– Nie mam ci nic do powiedzenia – rzekła CC. Trochę było jej wstyd za własne zachowanie, lecz przede wszystkim była wściekła, że nie trafiła.

– Jeśli chcesz rozmawiać, idź do cioci Coco, bo ona jako jedyna z radością zawsze cię wysłucha, to po pierwsze. A po drugie, mam do ciebie prośbę, byś jak najprędzej wracał do Bostonu i swoją złość wyładowywał na kochankach, a nie na mnie.

– To mogę zrobić w każdej chwili – mruknął, potrząsając głową. Usiedli na kamiennej ławce. Dookoła nich kołysały się pąki azalii i geranium. Ten zakątek powinien napawać spokojem, ale

Trent, siedząc obok CC, wdychając aromat wiosny zmieszany z zapachem morza i słuchając pokrzykiwania ptaków, pomyślał, że jeszcze podczas żadnych negocjacji nie czuł takiego napięcia i wrogości.

– Zastanawiam się, skąd się bierze twoja opinia o mnie.

– Przyjechałeś tutaj...

– Bo zostałem zaproszony.

– Nie przeze mnie! – Odrzuciła głowę do tyłu. Przyjechałeś wielkim samochodem i w wytwornym garniturze po to, żeby nam odebrać dach nad głową,

– Przyjechałem tu, aby obejrzeć posiadłość. Nikt, a już na pewno nie ja, nie może was zmusić do sprzedaży.

A jednak to nie była prawda, pomyślała CC ze smutkiem. Istnieli ludzie, którzy potrafili zmusić je do tego kroku. Poborczy podatkowi, bankierzy, którzy liczyli odsetki od kredytu, elektrownia... Cała jej frustracja i wszystkie lęki skupiły się na siedzącym obok mężczyźnie.

– Znam takich jak ty – warknęła. – Od urodzenia śpią na pieniądzach i czują się lepsi od zwykłych ludzi. Mnożenie forsy to jedyny cel w twoim nędznym życiu, a to, kogo zadepczesz po drodze, nie ma żadnego znaczenia, bo płacz pokrzywdzonych nic sięga aż tak wysoko, byś go usłyszał. Bawisz się więc całkiem dobrze, choć parkiet, po którym tańczysz, składa się z ludzkiego bólu. Trafiasz na pierwsze strony gazet, może kiedyś zajmiesz się polityką i za zasługi dla kraju zostaniesz senatorem. Wydajesz wielkie przyjęcia, masz letnie rezydencje i kochanki o imieniu Fawn.

Trenton rozsądnie powstrzymał się od wybuchu śmiechu.

– Nigdy w życiu nie znałem kobiety o imieniu Fawn – sprostował tylko.

– Jakie to ma znaczenie? – prychnęła CC. Podniosła się i zaczęła nerwowo przechadzać po ścieżce. – Kiki, Vanessa, Ava, przecież to wszystko jedno. Kupujesz je za pieniądze, a one zrobią dla ciebie wszystko, bo jesteś bogaty. Minii, Loulou, Cara, pasujecie do siebie jak ulał, z jednego brudnego miotu.

– Skoro tak mówisz. – Musiał przyznać, że wyglądała imponująco. Otoczona blaskiem księżyca, przypominała biały płomień. Miał ochotę wstać z ławki i zbliżyć się do niej, pohamował się jednak. Przede wszystkim musiał myśleć o zawarciu umowy, a CC. była największą przeszkodą. Należało więc zachować cierpliwość i znaleźć na tę diabolicę jakiś haczyk.

– A skąd tak dobrze znasz takich jak ja? – zaciekawił się.

– Bo moja siostra, na swoje nieszczęście, wyszła za podobnego typka.

– Mówisz o Baxterze Dumoncie?

- Znasz go? – zapytała CC i potrząsnęła głową. – Głupie pytanie, na pewno się przyjaźnicie i grywacie w golfa w każdą środę.
- Nie, nasza znajomość jest bardzo luźna, ale wiem, kim jest on i jego rodzina. Wiem również, że twoja siostra rozwiodła się z nim już ponad rok temu.
- Zmienił jej życie w piekło, odarł z szacunku do samej siebie, a potem zostawił ją i dzieci dla jakiejś głupiej laleczki. A ponieważ jest ważnym prawnikiem z ważnej rodziny, to nie zostawił jej nic oprócz marnych alimentów, z którymi w dodatku spóźnia się co miesiąc.
- Przykro mi z powodu tego, co spotkało twoją siostrę – rzekł z rezygnacją Trenton, podnosząc się z ławki. – Małżeństwo często bywa najmniej przyjemnym ze wszystkich kontraktów, ale to, jak zachował się Baxter Dumont, nie oznacza jeszcze, że bostończycy z bogatych rodzin są niemoralni.
- Według mnie niczym się nie różnicie. Egoizm jest waszą cnotą, bezwzględność chwalebny orężem, a spryt i oszustwo dowodem mądrości.
- Gdybyś poznała lepiej nasz świat, na pewno w głębi ducha zmieniłabyś zdanie, ale i tak nie przyznałabyś się do tego, bo jesteś zbyt uparta i uprzedzona.
- Mówisz tak, bo wystarczyło mi inteligencji, by przejrzeć cię na wylot.
- Nic o mnie nie wiesz. Przecież znienawidziłaś mnie, zanim jeszcze dowiedziałaś się, kim jestem. Nazwałaś mnie idiotą i kretyńcem, nie widząc mnie na oczy.
- Nieprawda, zobaczyłam twoje buty, które bardzo mi się nie spodobały.

Trenton zaniemówił.

- Co takiego? – zapytał osłupiały.
- Słyszałeś. – CC. założyła ręce na piersiach, uświadamiając sobie, że ta kłótnia zaczyna jej sprawiać przyjemność. – Nie spodobały mi się twoje buty i tak jest nadal.
- No tak, to wszystko wyjaśnia.
- Twój krawat też mi się nie podoba, ani ten złoty długopis. – Postukała palcem w kieszonkę na jego piersi.

Trenton zatrzymał wzrok na jej dzinsach z dziurami na kolanach, bawełnianej koszulce i zniszczonym obuwiu.

- Twój strój z pewnością pochodzi od najlepszych projektantów.
- To ty jesteś tu nie na miejscu, natomiast ja jestem u siebie. Zrozumiałeś wreszcie?

Jesteś intruzem. Nie wszędzie padają plackiem przed Wielkim Trentonem St. Jamesem...

Którymś Tam z Kolei. No i nie wszyscy.

Zbliżył się do niej o krok, a CC. uśmiechnęła się złośliwie.

– Zapamiętaj sobie, że nikt nigdy nie padał przede mną plackiem, chyba że nie miał za grosz godności osobistej i robił tak z własnej woli. Ale wracając do tematu, przypuszczam, że ubierasz się jak mężczyzna, bo nie wiesz, jak powinna zachowywać się kobieta.

To była oczywista nieprawda, więc CC wpadła w jeszcze większą złość.

– To, że potrafię sama się obronić, zamiast padać ci do stóp, nie oznacza jeszcze, że nie jestem kobietą!

– Tak chcesz to nazywać? – zapytał Trent, otaczając palcami jej przegub. – To jest twoja samoobrona?

– Tak. Ja... – Urwała, gdy pociągnął ją bliżej do siebie. Ich ciała zderzyły się. Trent patrzył w jej oczy i widział, jak złość zmienia się w zmieszanie.

– Co ty właściwie robisz? – zapytała niepewnie. Sprawdzam swoją teorię – odrzekł, zatrzymuje spojrzenie na jej ustach. Były pełne i kusząco rozchylone. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? – Nie próbuj żadnych sztuczek. Te słowa miały brzmieć stanowczo, ale głos jej zadrżał.

– Boisz się? – zapytał Trenton, patrząc na nią przenikliwie.

CC zeszywniała.

– Czego mam się bać? Tego, że jesteś ode mnie silniejszy, więc możesz sobie poużywać? Choć prawdę mówiąc, wołałabym, żeby pocałował mnie skunks.

Próbowała się odsunąć, lecz nagle znalazła się w jego ramionach, z twarzą tuż przy jego twarzy.

– Ty nigdy nie wiesz, kiedy przestać, Catherine. Ta wada jeszcze niejedną raz wpędzi cię w kłopoty, tak jak teraz – wymruczał Trent. Nie miał zamiaru jej całować, dopóki nie rzuciła mu w twarz obelgi.

CC nie spodziewała się, że jego usta będą tak gorące i nieustępliwe. Oczekiwała bezbarwnego, wymęczonego pocałunku, który łatwo byłoby odepchnąć i wymazać z pamięci.

Myliła się jednak i była to bardzo niebezpieczna pomyłka. Od tego pocałunku całe jej ciało stopniało jak wosk. Potrząsnęła głową, aby otrzeźwieć, próbowała odepchnąć tego drania z Bostonu, uzyskała jednak tylko tyle, że przywarli ustami jeszcze mocniej, a jej ręce oplotły jego szyję.

Trent zamierzał dać jej nauczkę, lecz w trakcie jej wymierzania całkiem zapomniał, jaką i z jakiego powodu. Sam jednak pobrał wielce interesującą lekcję, podczas której dowiedział

się, że kobiety mogą być jednocześnie agresywne i delikatne, twarde jak skała i miękkie jak puch, doprowadzające do szału i fascynujące. W każdym razie ta dziewczyna te wszystkie na pozór

wykluczające się cechy posiadała aż w nadmiarze. Trenton rozumiał, że w jego życiu pojawiło się coś, czego absolutnie nie chciał i nie oczekiwał.

Zdawało mu się, że jej skóra ma smak gwiazdowego pyłu. Podniósł głowę i potrząsnął nią, aby otrzeźwieć. W mroku widział szeroko otwarte, zdziwione oczy CC.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział, zdumiony własnym zachowaniem. – To było niewybaczalne z mojej strony.

Puścił ją tak raptownie, że potknęła się. Nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa, a skłębione emocje dławili ją w gardle. Wykonała tylko dłonią pewien gest, po którym Trenton poczuł się jak najmniejsza z form życia.

– Catherine... wierz mi, nie mam zwyczaju... – wyjąkał, uświadamiając sobie, jak bardzo pragnie pocałować ją jeszcze raz. Gdy tak stała przed nim, wyglądała na bezradną i zagubioną. I była piękna.

– Bardzo cię przepraszam – powtórzył. – To się już więcej nie wydarzy.

– Chciałabym, żebyś zostawił mnie teraz samą – powiedziała cichym, spokojnym tonem. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak poruszona i zdruzgotana. Trenton otworzył

jakieś tajemne drzwi w jej duszy, a potem z trzaskiem znów je zamknął.

– Dobrze – odrzekł i powstrzymał się, by nie dotknąć jej włosów. Odwrócił się i poszedł

ścieżką W stronę domu. Gdy się obejrzał, ujrzał CC, jak nieruchomo stała, zapatrzona w mrok.

Ma na imię Christian. Bez końca spacerowałam po urwisku wiedziona nadzieją, że uda mi się zamienić z nim choć kilka słów. Wciąż powtarzam sobie, że zmusza mnie do tego fascynacja sztuką, a nie obcy mężczyzną, i oby tak właśnie było.

Jestem kobietą zamężną i matką trojga dzieci. Fergus nie jest wprawdzie romantycznym mężem, o jakim śniłam, będąc młodą dziewczyną, lecz zapewnia rodzinie dobrobyt i są chwile, gdy bywa miły. Czasami wprawdzie w głębi duszy żałuję, że posłuchałam rodziców i zawarłam tak ze wszechmiar rozsądne małżeństwo, lecz są to tylko bezsensowne i naiwne rojenia, bo klamka, za moją zgodą, zapadła cztery lata temu.

Byłoby niełojalnością wobec Fergusza porównywać go z mężczyzną, którego prawie nie znam, ale tutaj, w prywatnym dzienniku, mogę sobie na to pozwolić. Fergus mówi tylko o pieniądzach, o następnym interesie i kolejnych tysiącach dolarów, natomiast Christian mówi o smach, obrazach i poezji.

A moje serce bardzo się stęskniło za odrobiną tego, co do końca nie jest i nie może być nazwane.

Gdy rozmawiamy ze sobą, unikamy wszelkiej intymności i nie padło między nami ani jedno słowo, które można by uznać za niewłaściwe. To jednak tylko pozór, bowiem sposób, w jaki Christian na

mnie patrzy, uśmiecha się do mnie i mówi, przekracza wszelkie dozwolone obyczajem i religią granice. Podobnie ja, gdy spoglądam na niego w upalne popołudnia podczas poobiedniej drzemki dzieci, nie zachowuję się jak lojalna żona. A moje serce? Ono nie zna żadnych okowów i gdy tylko ujrzę Christiana, ba, nawet wtedy, gdy jedynie o nim pomyślę, natychmiast zaczyna bić w niespokojnym rytmie, co nigdy przecież nie powinno mieć miejsca.

Dzisiaj siedziałam na skalach i obserwowałam, jak Christian wyczarowywał na płótnie szare i różowe skały na tle błękitnej wody. Po zatoce ślizgała się łódka, wolna i samotna, a ja natychmiast wyobraziłam sobie nas dwoje najej pokładzie, z twarzami uniesionymi do słońca.

Zapytałam go, jak ma na imię.

– Christian – odpowiedział. – Christian Bradford. A ty jesteś Bianca.

Wypowiedział moje imię w cudowny, dotąd mi nie znany sposób, i wtedy, nie podnosząc wzroku, zapytałam go, dlaczego żona nigdy mu nie towarzyszy podczas malowania.

– Nie mam żony – odrzekł. – Sztuka jest moją jedyną miłością.

Moje serce ścisnęło się boleśnie. Zrozumiałam, że gdyby moje życie potoczyło się inaczej, mogłabym pokochać Christiana... nie, po prostu musiałabym go pokochać.

Wyczuwając to, obydwójce pilnowaliśmy, by rozmowa dotyczyła tylko błahych tematów, gdy jednak podniosłam się, bo musiałam już wracać, on zerwał mały, żółty kwiatek i wsunął

go w moje włosy. Na krótką chwilę jego palce otarły się o mój policzek i spojrzał mi prosto w oczy. Potem odsunął się, życząc mi dobrego dnia.

Teraz siedzę przy świetle lampy i piszę. Z sąsiedniego pokoju dobiega mnie głos Fergusa, który wydaje polecenia pokojowemu. Nie przyjdzie do mnie dzisiaj w nocy, z czego bardzo się cieszę. Dałam mu troje dzieci, dwóch synów i córkę, zapewniłam dziedzica rodu i tym samym wypełniłam swój obowiązek. Mój mąż teraz rzadko odczuwa potrzebę, by odwiedzić mnie w sypialni. Podobnie jak dzieci, mam być ładnie ubrana i przestrzegać dobrych manier, żeby mógł mnie od czasu do czasu pokazać swoim gościom.

No cóż, nie są to zbyt wielkie wymagania i łatwo im sprostać. Mam dobre życie, z którego powinnam być zadowolona... i byłam aż do dnia, gdy po raz pierwszy wybrałam się na spacer po urwisku.

Stało się więc tak, że dzisiaj, samotnie zasypiając w swoim łóżku, będę marzyła o mężczyźnie, który nie jest moim mężem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy nie można zasnąć, najlepiej jest wstać, powiedziała sobie CC. Siedziała przy stole w kuchni, piła drugą filiżankę kawy i patrzyła na wschód słońca.

Po prostu miała za dużo na głowie. Rachunki, rozklekotany oldsmobile, którym powinna zająć się w pierwszej kolejności, znowu rachunki, zbliżająca się wizyta u dentysty, i jeszcze raz rachunki. Trenton St. James był na samym końcu listy jej zmartwień, gdzieś między dziurą w zębie a zepsutym układem wydechowym. Ten typek nie mógł być przyczyną jej bezsenności, a już ów zupełnie niedorzeczny incydent z pocałunkiem niewart był nawet splunięcia.

A jednak przez całą noc myślała tylko o tym, tak jakby do tej pory nikt nigdy jej nie całował. Śmieszne! Przecież całował ją choćby Denny Dinsmore, a stało się to po szkolnej zabawie walentynkowej. Byli wtedy w ósmej klasie podstawówki.

Naturalnie nie można było porównywać niezręcznych pieszczot Denny'ego z wyrafinowaną maestrią Trenta, co tylko dowodziło, że bostończyk znaczną część swojego życia spędzał przyklejony do kobiecych ust, pomyślała CC. z niesmakiem.

Swoją drogą było to z jego strony wyjątkowo podle, szczególnie że zdarzyło się w środku kłótni, gdy Catherine zdążyła już nabrać odpowiedniego tempa i cała ta awantura zaczynała sprawiać jej dużą przyjemność. Niestety mężczyźni tacy jak Trent nie byli zdolni do uczciwej walki, opartej na szermierce słownej i zdrowej wściekłości, bowiem od dziecka uczono ich, jak zdominować każdą sytuację przy użyciu wszelkich, choćby najbardziej podstępnych i niemoralnych środków.

A w dodatku te środki były skuteczne. CC. zacisnęła palcem po ustach. A niech go wszyscy diabli! – pomyślała, chyba mnie zaczarował... Przez jedną krótką chwilę czuła się przy nim naprawdę niezwykle, jakby w jej wnętrzu zapaliło się cudowne światło, niczym wskazująca zagubionym wędrowcom drogę lampa, postawiona w oknie w ciemną burzową noc.

A potem Trent zgasił tę lampę jednym niedbałym kliknięciem i CC. znów pogrążyła się w mroku. Gdyby nie miała tylu innych powodów, znienawidziłaby go właśnie za to.

– Hej, mała! – zawołała Lilah, wtykając głowę przez drzwi. Ubrana była w służbowy mundur w kolorze khaki, a włosy miała splecione w schludny warkocz. – Wcześniej dziś wstałaś.

– Ja? – obruszyła się CC. – Czy ty jesteś moją siostrą, czy tylko ją udajesz?

– Sama osądź.

– Wychodzi na to, że tylko podajesz się za Lilah. Moja prawdziwa siostra nigdy nie wstaje przed ósmą. W ten sposób ma równo dwadzieścia minut do wyjścia z domu i spóźnia się do pracy tylko o pięć minut.

– Boże, jak łatwo mnie rozszyfrować. To przez mój horoskop – jęknęła Lilan. –

Powiedział mi, że powinnam dzisiaj wstać wcześniej i podziwiać wschód słońca.

– I jak ci się podobał?

– Całkiem niezły – westchnęła Lilah, wrzucając do ust ciastko. – A ty jaką bajkę mi opowiesz?

– Nie mogłam spać.

– Czy miało to coś wspólnego z naszym drogim gościem?

CC. zmarszczyła nos.

– Nieee, tacy faceci zupełnie na mnie nie działają.

– Tacy faceci urodzili się po to, aby działać na kobiety, i Bogu dzięki. A więc... –

zastanowiła się Lilah, kładąc nogi na pustym krześle. – Więc o co chodzi?

– O nic.

– Nie udawaj, masz wypisane na twarzy, że coś się stało.

– Po prostu nie podoba mi się, że ten ktoś wciąż tutaj jest, i tyle – mruknęła CC, wstawiając filiżankę do zlewu. – Czuję się tak, jakby wyrzucano nas z naszego domu. Wiem, że brałyśmy pod uwagę sprzedaż, ale to nie było nic konkretnego, tylko luźny pomysł. Lilah, co my zrobimy?

Jej siostra zachmurzyła się. Sprzedaż rezydencji była jedną z nielicznych rzeczy, które również i ją martwiły, jako że jej czułymi punktami były dom i rodzina.

– Sama nie wiem. Chyba mogłybyśmy sprzedać jeszcze jakieś kryształy i srebra.

– Ciocia Coco nie przeżyłaby sprzedaży sreber.

– Wiem, ale są tylko dwa wyjścia. Albo będzie my wyprzedawać wszystko po kawałku, albo też zrobimy to za jednym zamachem. Przykro mi to mówić, ale musimy dobrze się nad tym wszystkim zastanowić, odkładając na bok sentymenty.

– Lilah, dlaczego właśnie hotel?

Jej siostra tylko wzruszyła ramionami.

– Mnie to tak naprawdę nie przeszkadza. Ten stary wariat Fergus zbudował dom po to, aby przyjmować miliony gości i właściwie Towers został zaprojektowany jako hotel. –

Zauważyła wyraz twarzy CC. i westchnęła. – Wiesz, że ja też kocham to miejsce.

– Wiem.

– Dajmy temu przystojniakowi jeszcze parę dni, a potem zwołamy naradę rodzinną – zaproponowała Lilah. – Razem na pewno uda nam się podjąć jakąś sensowną decyzję.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Skarbie, ja zawsze mam rację i to jest mój krzyż, który niosę przez całe życie. A teraz może w końcu mi powiesz, z jakiego powodu nie spałaś przez całą noc?

– Właśnie ci powiedziałam.

Lilah przechyliła głowę na bok i uważnie przyjrzała się siostrze, a potem pomachała widelcem tuż przed jej twarzą.

– Nieprawda. Nie zapominaj, że Lilah wszystko widzi i wszystko wie, a czego akurat jeszcze nie wie, tego szybko się dowiaduje. Mów.

– Ciocia Coco kazała mi zabrać go do ogrodu.

– Wiem – Uśmiechnęła się Lilah. – Wieczna manipulanka. Księżyc, kwiaty, szum fal oceanu. I co z tego wynikło?

– Pokłóciliśmy się. Lilah skinęła głową.

– To dobry początek. O dom?

CC. zajęła się obskubywaniem uschniętych liści z filodendrona.

– O dom... i o inne rzeczy.

– Na przykład jakie?

– Imiona jego kochanek – wymamrotała CC. – Ważne rodziny z Bostonu. Jego buty.

– Było to zatem wielce eklektyczna kłótnia – ucieszyła się Lilah. – Lubię takie. A potem?

CC. wbiła ręce w kieszenie.

– Pocałował mnie.

– Intryga się zagęszcza – stwierdziła Lilah z przejęciem, bowiem podobnie jak Coco ubóstwiała plotki. Pochyliła się nad stołem, opierając brodę na rękach. – I jak było? Od razu zauważyłam, że on ma ładne usta.

– Więc sama go pocałuj! – warknęła CC.

Lilah potrząsnęła głową z zalem.

– Nieważne usta, bo niestety jako całość nie jest w moim typie. Ty jednak już to zrobiłaś, więc mów, dobry był?

– Mhm – mruknęła niechętnie.

– Ile byś mu dała w skali od jednego do dziesięciu?

CC. wbrew sobie wybuchnęła śmiechem. Wiesz, w tamtej chwili nie miałam głowy do liczb.

Lilah przesunęła językiem po wargach.

– Coraz lepiej. A więc pocałował cię i było całkiem niezłe. Co dalej?

CC. spochmurniała i głęboko westchnęła.

– A potem przeprosił.

Lilah zaniemówiła. Przez chwilę patrzyła na siostrę z niedowierzaniem, a potem powoli odłożyła widelec na stół.

– Co takiego?!

– Bardzo uprzejmie przeprosił mnie za swoje niestosowne zachowanie i solennie obiecał, że to się więcej nie powtórzy. Zupełny kretyn! – mówiła CC. z pasją, zgniatając w dłoni suche liście. – Jaki mężczyzna sądzi, że kobieta pragnie przeprosin po pocałunku, który zupełnie ją rozmiękczył i rozbroił?

Lilah tylko potrząsnęła głową.

– Ciekawy przypadek. Moim zdaniem są tu trzy możliwości: albo naprawdę jest kretynem, albo zbyt dobrze go wychowano, albo nie był w stanie myśleć rozsądnie.

– Moim zdaniem jest kretynem.

– Hm, muszę się nad tym zastanowić – mruknęła Lilah, postukując czerwonymi paznokciami o stół. – Chyba powinnam opracować jego horoskop.

– Bez względu na to, w jakim znaku jest jego Księżyc, ja uważam go za kretyna –

oświadczyła twardo CC i pocałowała siostrę w policzek. – Dzięki, muszę już lecieć.

– CC! – zawołała za nią Lilah. – On ma ładne oczy, szczególnie gdy się uśmiecha.

Na twarzy Trenta tego popołudnia nie było jednak ani śladu uśmiechu. W końcu udało mu się wyrwać z Towers. Coco najpierw uparła się pokazać mu piwnice i zrobiła to bardzo gruntownie, cał po calu, a potem wyciągnęła opasłe albumy z rodzinnymi fotografiami.

Musiał obejrzeć wszystkie, co trwało bite dwie godziny. Oglądanie zdjęć CC. z dzieciństwa było bardzo zabawne, szczególnie podobała mu się w kucykach i bez przednich zębów. W

drugiej jednak godzinie tych rozrywek w jego umyśle odezwał się ostrzegawczy dzwonek.

Coco sprytnie zaczęła go wypytywać o poglądy na temat małżeństwa, dzieci i stosunków męsko-damskich. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że za tymi przymglonymi oczami krył się naprawdę

przenikliwy umysł.

Coco nie chodziło o sprzedaż domu, lecz o wystawienie jednej z siostrzenic na aukcję, i najwyraźniej CC była pierwsza w kolejności, a od niego oczekiwano, że zaoferuje najwyższą stawkę. No cóż, kobiety z rodziny Calhounów będą musiały przeżyć gorzkie rozczarowanie, pomyślał Trent, i gdzie indziej ulokować swoje matrymonialne nadzieje.

Obiecał sobie, że St. Jamesowie i tak dostaną ten dom. Bez żadnych zobowiązań, a szczególnie bez małżeńskich łańcuchów. Już on do tego doprowadzi. Rozzłoszczony nie na żarty, szedł stromą, krętą ścieżką. Gdy przyłapał się na tym, że mówi sam do siebie, uznał, że powinien udać się na długą, samotną przejażdżkę. Wybrał Park Narodowy Acadia, gdzie pracowała Lilah. Dziel i rządź, pomyślał. Ta stara zasada była wciąż aktualna. Trzeba dopaść każdą z siostrzyczek osobno, najlepiej poza Towers.

Odniósł wrażenie, że z Lilah można porozmawiać rozsądnie. Tak naprawdę było to możliwe ze wszystkimi współwłaścicielkami rezydencji, oczywiście oprócz CC Amanda wydawała się rzeczową pragmatyczką, a Suzanna też mocno stała nogami na ziemi. Więc dlaczego nie potrafił dotrzeć do najmłodszej z sióstr?

Ruszył w stronę wioski, wyminął firmę Suzanny zajmującą się architekturą zieleni oraz hotel Bay Watch, gdzie pracowała Amanda, i zatrzymał samochód przed warsztatem CC. Gdy już się tam znalazł, powiedział sobie, że najlepiej będzie zacząć właśnie od tego miejsca, czyli od najboleśniejszego ciernia.

Obok samochodu pomocy drogowej Trent zauważył Hanka.

– Ooo! – uśmiechnął się chłopak, dotykając daszka szarej czapki. – Szefowa jest w środku. Właśnie dostaliśmy nową robotę.

– Gratuluję.

– No, przyda się trochę ruchu, bo ostatnio nic się nie działo, ale w sezonie to się zmieni

– perorował Hank, najwyraźniej chętny do pogawędki. Trent przyjrzał mu się uważnie, a tak naprawdę po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę. Chłopak był młody, mógł mieć około dwudziestu lat. Miał miłą, okrągłą twarz, akcent ze Wschodniego Wybrzeża i szopę słomianych włosów, sterczących na wszystkie strony.

Od jak dawna pracujesz dla CC?

– Od kiedy kupiła ten warsztat od starego Pete'a. To już będzie trzy lata, no tak, dokładnie trzy. Zatrudniła mnie, ale pod warunkiem, że skończę średnią szkołę. Pod tym względem ta dziewczyna jest trochę dziwna.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jak już sobie coś wymyśli, to nie ma siły, żeby zmieniła zdanie. Niech pan uważa, dzisiaj jest

trochę nie w sosie.

– Czy to u niej coś niezwykłego?

Hank zaśmiał się i podkreślił głośniej radio.

– Nie można powiedzieć, że pies, który szczeka, nie gryzie – rzekł – bo parę razy widziałem, jak gryzła. Do zobaczenia – rzucił, wsiadając do kabiny samochodu holowniczego.

Gdy Trent wszedł do budynku, zobaczył tylko połowę CC, bo druga połowa skryta była pod odsuwającym dachem nowego kabrioletu. Radio znów grało rocka, ale tym razem CC nie postukiwała butem o podłogę, tylko kręciła w rytm muzyki biodrami.

– Przepraszam – odezwał się Trent, po czym przypomniał sobie, że już raz przez to przechodził. Podeszedł bliżej i poklepał ją po pośladku.

– Co do cholery! – krzyknęła CC i odwróciła nieco głowę. Natychmiast ujrzała krawat, tym razem jednak nie wiśniowy, ale granatowy, lecz nie było najmniejszych wątpliwości, do kogo należał. – Takich manier uczą w Bostonie? Czego chcesz? – zapytała ostro.

– Wspominałaś coś o smarowaniu.

– Och – mruknęła i zajęła się dokręcaniem śrubek. – Zostaw samochód na zewnątrz i połóż kluczyki na ławce, zajmę się nim później. Na szóstą będzie gotowy.

– Czy zawsze w ten sposób załatwiasz interesy?

– Tak.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zatrzymać kluczyki do czasu, gdy będziesz bardziej skoncentrowana.

– Jak wolisz.

Dwie minuty minęły w zupełnym milczeniu, przerywanym tylko radiową prognozą pogody. Na wieczór zapowiadano burze.

– Posłuchaj, skoro i tak tu stoisz, to może zajmiesz się czymś pożytecznym? – zapytała w końcu CC. – Wejdz do środka i zapal silnik.

– Silnik?

– To takie coś, dzięki czemu samochód jedzie. Przekręć kluczyk, wciśnij gaz, chyba wiesz, jak to się robi? Poradzisz sobie? – zapytała drwiąco, spoglądając na niego spod opadającej na czoło grzywki.

– Powinienem – mruknął. Wsunął się na fotel kierowcy i przekręcił kluczyk. Silnik zamruczał równym, ładnym tonem, w każdym razie jemu tak się wydawało, bo CC była innego zdania. Wzięła

do ręki latarkę i zaczęła regulować coś pod maską.

– Dobrze pracuje – zauważył Trent.

– Nie, coś jest nie tak.

– Jak ty cokolwiek słyszysz przy tym wrzasku z radia?

– A jak można tego nie słyszeć? No, teraz lepiej – mruknęła.

Trent stanął za nią i z ciekawością pochylił się nad jej ramieniem.

– Co ty właściwie robisz?

– Wykonuję swoją pracę – odparła sucho. – Cofnij się, dobrze?

– Po prostu jestem ciekaw – obruszył się Trent i bez zastanowienia położył rękę na jej plecach, pochylając się niżej. CC. podskoczyła jak oparzona. Poczowała ukłucie bólu i zakłęła jak stary, pijany bosman.

– Pokaż! – zawołał Trent, ujmując jej rękę.

– To nic takiego. Odejdź stąd, do diabła! Gdybyś nade mną tak nie sterczał, to ręka by mi się nie obsunęła.

– Przestań się wrywać i pozwól mi zobaczyć – zniecierpliwił się. Przytrzymał mocno jej przegub i spojrzał na otarte kostki palców. Na widok krwi ogarnęło go poczucie winy. –

Trzeba to jakoś opatrzyć.

– To tylko zadrapanie – zirytowała się CC. – Muszę najpierw skończyć tę robotę.

– Nie zachowuj się jak dziecko – upomniał ją Trent łagodnie. – Gdzie masz apteczkę?

– Jest w łazience, ale poradzę sobie sama.

Nie puszczając jej przegubu, Trent wyłączył silnik.

– A gdzie jest łazienka?

CC. wskazała głową korytarzyk, który oddzielał warsztat od biura.

– Po prostu zostaw mi kluczyki i idź stąd.

– Powiedziałaś, że skaleczyłaś się przeze mnie, więc czuję się winny i chcę to naprawić

– odpowiedział i pociągnął ją za sobą.

– Weszło ci to w nałóg? Czy mógłbyś wreszcie przestać mnie szarpać?! –

zniecierpliwiła się.

– To przestań się wrywać – rzucił sucho. Otworzył drzwi do łazienki wielkości szafy i ignorując protesty, przytrzymał rękę Catherine pod strumieniem zimnej wody, a potem umył

ją mydłem.

– To skaleczenie nie jest głębokie – rzekł z ulgą.

– Mówiłam ci, że to tylko zadrapanie.

– Infekcja może o tym nie wiedzieć.

– Tak, panie doktorze – mruknęła dziewczyna Ironicznie.

Trent miał już gotową ciętą ripostę, ale ugryzł się w język, gdy podniósł na nią wzrok.

Wyglądała tak ładnie ze smarem na nosie i ustami wydętymi jak u pięciolatki.

– Przepraszam – powiedział wbrew sobie. Catherine zmieszała się nieco.

– To nie była twoja wina. – Otworzyła szafkę obok umywalki i wyjęła z niej apteczkę. –

Naprawdę poradzę sobie sama.

– Lubię kończyć to, co zacząłem – powiedział Trenton. Wyjął apteczkę z jej rąk i znalazł środek dezynfekujący. – Uważaj, będzie piekło.

– Wiem o tym – syknęła Catherine. Obydwoje jednocześnie pochylili się, by podmuchać na ranę, i zderzyli się głowami.

– Nie nadajemy się do pracy w zespole – zaśmiała się CC, rozcierając czoło zdrową ręką.

– Na to wygląda – zgodził się Trent i podniósł jej dłoń do ust. To miał być test. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy i spostrzegł błysk zmieszania, jaki pojawił się w jej oczach, a dłoń dziewczyny stała się dziwnie bezwładna. Otworzyła usta, lecz nie powiedziała ani słowa.

– Gdy się pocałuje, to przestaje boleć – zauważył Trent i znów przyłożył skaleczoną rękę do ust.

– Chyba... byłoby lepiej, gdybyś... – zająknęła się CC. Ta łazienka była zdecydowanie za mała dla dwóch osób, a na dodatek, na mocy jakiegoś nieznanego prawa natury, z każdą chwilą stawała się coraz mniejsza, – Dzięki – wykrztusiła w końcu.

– Teraz już wszystko jest w porządku.

– Trzeba to zabandażować.

– Och, nie.

– Przecież zaraz zabrudzisz dłonie – powiedział Trent cierpliwie. Znalazł w apteczce rolkę gazy i zaczął owijać rękę CC, świetnie się przy tym bawiąc.

Obrócili się jednocześnie i nagle stanęli twarzami do siebie. Trent poruszył się i CC musiała się oprzeć plecami o ścianę.

– Boli?

Potrząsnęła głową.

– CC. – odezwał się Trent, przyklejając koniec bandaża plastrem – czy mogę ci teraz zadać osobiste pytanie?

Poruszyła się niespokojnie.

– Ja...

– Na czym właściwie polega smarowanie?

Zauważyła w jego oczach rozbawienie i sama również musiała się uśmiechnąć.

– To kosztuje czterdzieści siedem pięćdziesiąt.

– Och – mruknął z udawanym rozczarowaniem – a przepłuczesz mi chłodnicę?

– Jasne.

– To znaczy, że już mi wybaczyłaś wczorajszy wieczór CC.? – uniosła brwi.

– Tego nie powiedziałam. Chciałbym, żebyś przemyślała to jeszcze raz rzekł Trent, wciąż trzymając jej rękę w swoich dłoniach. – Bo widzisz, jeśli i tak mam zostać za to przeklęty na wieki, to po cóż miałbym opierać się pokusie, by znowu zgrzeszyć?

CC. mocniej przycisnęła się do ściany.

– Wygląda na to, że wcale ci nie jest przykro z powodu tego, co zrobiłeś.

Trent przez chwilę przyglądał się jej twarzy.

– A więc zostałem zdemaskowany – westchnął W końcu.

Naraz w warsztacie rozległ się dzwonek telefonu.

– Muszę odebrać! – krzyknęła CC i szybko wybiegła z łazienki.

Trent poszedł za nią powoli, zdziwiony własnym zachowaniem. W każdym razie nie miał już żadnych wątpliwości, że CC w takim samym stopniu była ofiarą intrygi ciotki, jak on sam. Kobieta, która zamierzała go zawlec do ołtarza, zachowywałaby się zupełnie inaczej. Próbowalaby go uwodzić i prowokować, a już na pewno nie stałaby przyklejona do ściany łazienki z takim wyrazem twarzy, jakby znajdowała się przed plutonem egzekucyjnym.

CC. odruchowo podniosła słuchawkę. W umyśle miała zupełną pustkę. W milczeniu słuchała głosu pił drugiej stronie, aż wreszcie po dziesięciu sekundach dotarł do niej sens słów.

– Słucham? A tak, tak, tu mówi CC. Przepraszam. Ach, to ty, Finney? – Wypuściła długo wstrzymywany oddech i po chwili znów się odezwała:

– Czyżbyś zostawił zapalone światła? Jesteś pewien? No dobrze, dobrze, a więc to może być zapłon.
– Z roztargnieniem przesunęła ręką po włosach i oparła się biodrem o krawędź

biurka.

– Tak, co powiedziałaś? Czy mógłbyś to powtórzyć? Aha. Może zajrzę do ciebie, gdy będę wracać do domu. Około wpół do siódmej. – Przez chwilę słuchała i na jej ustach pojawił

się lekki uśmiech.

– Jasne, zawsze mam ochotę na homara, możesz być tego pewien. Do zobaczenia.

– Mechanik, który wykonuje naprawy w domu klienta – skomentował Trent.

– Przysługi dla znajomych – sprostowała. – Poza tym nie jest to żadne poświęcenie, gdy na horyzoncie pojawia się homar Alberta Finneya.

Trent stłumił nieoczekiwany przyływ irytacji.

– Jak tam twoja ręka? – zapytał. CC. poruszyła palcami.

– W porządku. Może powiesz kluczyki na tablicy?

Gdy to zrobił, zapytał:

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jeszcze ani razu nie zwróciłaś się do mnie po imieniu?

– Oczywiście, że to zrobiłam!

– Nie. Używałaś różnych słów, ale nigdy nie użyłaś mojego imienia. Zresztą – machnął ręką – i tak chciałem z tobą porozmawiać.

– Jeśli ta rozmowa ma dotyczyć sprzedaży domu, to nie jest to odpowiedni czas ani miejsce.

– Wiem, ale chodzi o coś innego.

– Och! – Podniosła zaciekawiony wzrok. – W takim razie nie mam pojęcia, o czym chcesz rozmawiać. Czy to nie może poczekać, aż przyjdiesz Odebrać samochód?

– Nie zajmę ci dużo czasu. Uważam, że powinienem cię ostrzec, bo zdaje się, że nic nie wiesz o planach swojej ciotki.

– Cioci Coco? A co ona znowu wymyśliła?

– Marzy się jej biały welon i suknia ślubna.

CC. podejrzliwie spojrzała na Trenta.

– Małżeństwo? Ależ to absurd. Ciocia Coco nie zamierza wychodzić za mąż, przecież ona z nikim się nie spotyka.

– To nie ona ma być panną młodą – westchnął Trent – tylko ty.

Śmiech CC odbił się głośnym echem od ścian garażu.

– Ja? Ja mam wyjść za mąż? A to dobre!

– Tak, a ja mam się z tobą ożenić.

Dziewczyna już się nie śmiała, tylko ciężko usiadła na biurku.

– Co właściwie chcesz powiedzieć? – zapytała chłodno.

– Że twoja ciotka, z sobie tylko znanych powodów, zaprosiła mnie tu, abym obejrzał nie tylko dom, lecz również jej cztery bardzo atrakcyjne siostrzenice.

CC pobladła jak ściana. Trent widział, że dopiero teraz ogarnęła ją prawdziwa złość.

– To, co mówisz, obraża moją ciotkę! – krzyknęła wściekle.

– Nic na to nie poradzę, ale takie są fakty.

– Wynoś się stąd! – zawołała, popychając go do drzwi. – Zabieraj swoje kluczyki, swój samochód i wynoś się razem z tymi idiotycznymi oskarżeniami! Kretyn i świnia!

– Zaraz, poczekaj chwilę. Najpierw posłuchaj, co chcę ci powiedzieć – zniecierpliwiał się Trent, przytrzymując ją za ramiona. – Posłuchaj mnie przez minutę, a gdy skończę i nadal będziesz przekonana, że mam wodogłowie i racice oraz że gadam bzdury, to pójdeś sobie.

– Wiem, że kłamiesz! Jesteś podstępny, cwany arogantem. Boże, dlaczego ja nie noszę przy sobie broni! Jedna kulka, i miałabym wreszcie spokój z tym draniem. Jeśli choć przez chwilę

przypuszczałeś, że robię jakieś plany związane z tobą, to...

– Nie ty – poprawił ją lekko urażony Trent – tylko twoja ciotka, która chce dla ciebie jak najlepiej. „CC, może pokażesz Trentowi ogród? Kwiaty wyglądają tak pięknie w blasku księżyca”.

– Po prostu chciała być uprzejma.

– Akurat. Wiesz, jak spędziłem dzisiejsze przedpołudnie?

– Nie jestem ciekawa.

– Oglądałem albumy ze zdjęciami – oznajmił i zauważył, że gniew CC. zmienił się w niepokój.

– Dziesiątki albumów. Byłaś naprawdę uroczym dzieckiem, Catherine.

– O Boże!

– I podobno bardzo bystrym, w każdym razie tak twierdzi twoja kochająca ciocia. W trzeciej klasie dostałaś odznakę z pszczołką za znajomość ortografii.

CC. ze stłumionym jękiem pochyliła twarz nad biurkiem.

– I nie masz ani jednej plomby.

– Nie, to już... – wymamrotała dziewczyna.

– Och, było tego dużo więcej. Najwyższe wyróżnienia w szkole mechanicznej. Za pieniądze odziedziczone po rodzicach kupiłaś ten warsztat od swojego pracodawcy. Jesteś bardzo rozsądną kobietą, która twardo stoi na ziemi, a przy tym pochodzisz z bardzo dobrej rodziny i otrzymałaś staranne wychowanie. Oczywiście ze swoją inteligencją, pochodzeniem i urodą byłabyś znakomitą żoną, gdybyś tylko trafiła na odpowiedniego mężczyznę.

Twarz CC. nie była już blada, lecz czerwona jak pomidor.

– To, że ciocia Coco jest ze mnie dumna, nie znaczy jeszcze, że masz zacząć szukać pierścionka zaręczynowego!

– Gdy już wyliczyła wszystkie twoje zalety i pokazała zdjęcia... niektóre zresztą bardzo ładne, szczególnie to z balu na zakończenie średniej szkoły... Coś wspaniałego...

– Rany boskie – szepnęła CC, przymykając oczy.

– Coco zaczęła mnie wypytywać o poglądy na małżeństwo i dzieci oraz podkreślała, niczego już nie owijając w bawełnę, że człowiek z moją pozycją potrzebuje stałego związku z odpowiednią kobietą. Na przykład taką jak ty.

– Dobrze, dobrze, już wystarczy – sapnęła CC, otwierając oczy. – Ciocia Coco zawsze uważa, że wie, co jest dla nas najlepsze. – Dziewczyna przez chwilę miała mord w oczach, potem jednak nieco rozpozgodziła się. – A jeśli czasami przesadza, to tylko dlatego, że kocha nas i czuje się za nas odpowiedzialna. My wszystkie też ją bardzo kochamy, Nie wiń jej, bo nie miała złych intencji, tylko zabrakło jej wyczucia, niemniej jest mi przykro, że naraziła cię na to wszystko.

– Nie opowiadam ci tego po to, aby wprawić cię w zażenowanie – wyjaśnił Trenton, który nagle poczuł się nieswojo. – Tylko pomyślałem sobie, że powinnaś o tym wiedzieć, zanim, hm, sytuacja wymknie się nam spod kontroli.

– Wymknie się spod kontroli? – powtórzyła CC.

– Zanim dojdzie do jakiegoś nieporozumienia – wyjaśnił Trent z trudem. Ta rozmowa była trudniejsza niż wszystkie negocjacje, jakie kiedykolwiek prowadził, a poza tym zawsze gładko wyjaśniał kobietom, czego od nich oczekuje. Tu jednak było zupełnie inaczej i szło mu jak po grudzie. – To znaczy, po wczorajszym wieczorze... zdaję sobie sprawę, że do pewnego stopnia żyłaś pod kloszem...

CC. nerwowo zabębniła palcami o kolano. Trenton postanowił spróbować jeszcze raz.

– Wierzę w szczerą – powiedział – zarówno w interesach, jak i w prywatnych związkach. Wczoraj, pod wpływem nastroju... no cóż, na chwilę straciliśmy kontrolę nad sytuacją, nie chciałbym jednak, aby twój brak doświadczenia oraz fantazje twojej ciotki doprowadziły do poważnego nieporozumienia, które w konsekwencji...

– Zaraz, zaczekaj! – przerwała mu CC – Muszę się upewnić, czy dobrze cię zrozumiałam. Obawiasz się, że ponieważ wczoraj mnie pocałowałeś, a Coco dzisiaj rano wspominała o małżeństwie i pokazała ci moje zdjęcia z dzieciństwa, to ja mogę narobić sobie nadziei, że zostanę następną panią St. James. Tak?

Zmieszany Trenton przesunął ręką po włosach.

– Mniej więcej tak. Sądziłem, że będzie lepiej, na pewno ucziwiej, jeśli od razu wyłożę ci moje oglądy na tę sprawę, abyś nie...

–... robiła sobie żadnych złudzeń?

– Nie mów za mnie! – zirytował się Trenton. Najgorsze było to, że CC. miała rację.

Właśnie to chciał jej powiedzieć. – Po prostu próbuję być z tobą szczerą, żebyś mnie źle nie rozumiała, gdy ci opowiem, jak bardzo mnie do ciebie ciągnie. CC lekko uniosła brwi.

– Jak sądzę, to miał być komplement.

– Nie, ja tylko chcę uporządkować fakty.

– Pozwól, że ci je wyliczę – rzekła CC zimno. Po pierwsze, to nie ja cię pociągam, tylko obraz

wzorowej pani Trentonowej St. James III, której wszyscy będą ci zazdrościć, a którą i tak będziesz musiał sobie zafundować, by przedłużyć zacną dynastię. Po drugie, fantazje mojej ciotki, jak je nazywasz, wynikają wyłącznie z dobrego serca, a to jest coś, czego ty na pewno nie jesteś w stanie zrozumieć. Po trzecie, na pewno nie miałabym ochoty z własnej woli spędzić z tobą nawet pięciu minut, nie mówiąc już o reszcie życia, która to perspektywa napawa mnie wręcz obrzydzeniem. Po czwarte, może w końcu wydrzesz nam nasz dom, ale na pewno me ze mną w środku. Nawet gdybyś czołgał się przede mną na kolanach, trzymając w zębach brylant wielki jak pięść, zrobiłbyś z siebie tylko błazna, którym zresztą i tak jesteś, a ja roześmiałabym ci się w twarz. Oto są fakty. Jestem pewna, że sam trafisz do wyjścia.

Odwróciła się i poszła do korytarzyka. Trent skrzywił się, gdy drzwi mocno trzasnęły.

– No cóż – mruknął, przyciskając palce do powiek – wygląda na to, że dużo sobie wyjaśniliśmy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Był po prostu nie do zniesienia, uznała CC. Nie dawało się tego ująć lepiej. Z tą myślą dotrwała do wieczora.

Gdy dotarła do domu, było już późno. Wszystkie światła były wygaszone i tylko z jednego pokoju dobiegały ciche, tęskne dźwięki muzyki. CC. poszła w tę stronę.

Oczywiście to Suzanna siedziała przy starym szpincie. Jedyne ona z całej rodziny wykazywała talent i zamiłowanie do muzyki. Wszystkie siostry w dzieciństwie były w tym kierunku edukowane, ale Amanada była zbyt niecierpliwa, Lilah zbyt leniwa, a CC...

Spojrzała na swoje ręce. Jej palce wyglądały dużo lepiej, gdy były pokryte smarem, niż gdy spoczywały na klawiszach fortepianu.

Mimo to kochała muzykę, bowiem działała na nią kojąco.

Suzanna, pogrążona we własnych myślach, głęboko westchnęła, gdy ucichła ostatnia nuta.

– To było piękne – powiedziała CC. Podeszła do siostry i pocałowała ją we włosy.

– Palce mi zesztyniały.

– Grasz cudownie.

Suzanna pogładziła ją po dłoni i dopiero teraz zauważyła bandaż.

– Co ci się stało?

– Trochę się podrapałam.

– Czy dobrze to wyczyściłaś? Kiedy po raz ostatni szczepiłaś się przeciwko tężcowi?

– Wolnego, mamusiu. Ranka jest czysta jak łza, a szczepiłam się pół roku temu –

powiedziała CC, siadając na ławce. – Gdzie są wszyscy?

– Dzieci śpią, a przynajmniej taką mam nadzieję. Trzymaj kciuki, Lilah wyszła z kimś na kolację, a Mandy dogląda jakiegoś interesu. Ciocia Coco kilka godzin temu poszła wziąć kąpiel w pianie i położyć sobie plasterki ogórka na powieki.

– A on?

– Chyba w łóżku, przecież już prawie północ.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się CC – To znaczy, że czekałaś na mnie?

Suzanna roześmiała się.

– Owszem. Naprawiłaś ciężarówkę pana Finneya?

CC ziewnęła szeroko.

– Znowu zostawił włączone światła. Chyba robi to specjalnie, bo wtedy przychodzę i ładuję mu akumulator. Był homar i domowe wino.

– Gdyby nie miał tyle lat co nasz dziadek, to pomyślałabym, że się w tobie podkochuje.

– Bo tak jest, ja w nim zresztą też. Czy ominęło mnie coś ciekawego?

– Ciocia Coco chce zorganizować seans spirytystyczny,

– Tylko nie to! – zawołała CC – Mam już tego dość!

Suzanna przesunęła palcami po klawiszach, improwizując jakąś melodię.

– Jutro wieczorem, zaraz po kolacji. Upiera się, te prababcia Bianca chce nam coś powiedzieć. Trentowi zresztą też.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Jeśli zdecydujemy się sprzedać dom, to stanie się nowym dziedzicem.

– Straszne... Czy właśnie tak zrobimy, Suze?

– Możliwe, że nie będziemy miały innego wyjścia. CC w zamyśleniu bawiła się frędzlami od abażuru lampy.

– Mój warsztat prosperuje całkiem nieźle, mogłabym więc wziąć kredyt hipoteczny.

– Nie.

– Ale...

– Nie – powtórzyła Suzanna stanowczo. – Nie będziesz ryzykować przyszłości dla przeszłości.

– To moja przyszłość i mogę z nią zrobić, co zechcę.

– Jednak przeszłość należy do nas wszystkich rzekła Suzanna i w jej oczach pojawił się błysk, który CC. dobrze знаła. – Wiem, ile ten dom dla Webie znaczy, ile znaczy dla nas wszystkich. Powrót tutaj po... po tym, jak nie ułożyło mi się z Baxterem, pozwolił mi wrócić do równowagi. Za każdym razem, gdy widzę Aleksa albo Jenny zjeżdżających po poręczy schodów, przypominam sobie, jak sama to robiłam. Widzę mamę przy pianinie, pamiętam, jak tato opowiadał nam różne historie przy kominku.

– Więc dlaczego w ogóle myślisz o sprzedaży?

– Bo nauczyłam się stawiać czoło faktom, nawet tym najbardziej nieprzyjemnym –

odrzekła Suzanna i pogładziła młodszą siostrę po policzku. Dzielila je różnica zaledwie pięciu lat, ale czasami Suzanna miała wrażenie, że jest ich pięćdziesiąt. – Bywa tak że dzieje się coś, czego nie jesteśmy w stanie kontrolować, a wtedy trzeba chwycać to, co w życiu jest naprawdę ważne, i iść dalej.

– Przecież dom jest ważny.

– Jak długo jeszcze, twoim zdaniem, będziemy go w stanie utrzymać?

– Możemy posprzedawać litografie, porcelanę parę innych rzeczy.

– To tylko przeciągnie sprawę. Skoro nadszedł czas na sprzedaż Towers, to myślę, że powinniśmy to zrobić z godnością.

– Rozumiem z tego, że ty już podjęłaś decyzję?

– Nie – westchnęła Suzanna. – Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już zdecydowałam zmieniam zdanie. Przed kolacją poszłam z dziećmi na spacer po urwisku. –

Suzanna spojrzała w okno rozmarzonym wzrokiem. – Gdy stałam na skałach i patrzyłam na zatokę, nagle poczułam coś bardzo dziwnego. Miałam wrażenie, że serce mi pęknie Nie wiem, co w naszej sytuacji należy zrobić, nie mam pojęcia, jakie jest najlepsze wyjście, ale wiem jedno że w nieskończoność nie możemy tak trwać w zawieszeniu. A to prowadzi tylko do jednego rozwiązania.

– Bardzo bolesnego.

– Wiem.

CC. usiadła obok siostry i położyła głowę na jej umileniu.

– Może zdarzy się jakiś cud – szepnęła.

Trent patrzył na nie z ciemnego holu. Żałował, że usłyszał tę rozmowę, bo wolałby, aby sprawa sprzedamy Towers nie poruszała go tak bardzo. Powinien zachować chłodny dystans, chodziło przecież tylko o interes, było jednak inaczej i nic na to nie potrafił poradzić. Po cichu poszedł na górę.

– Dzieci – westchnęła Coco, zbierając resztki cierpliwości – może byście poczytały sobie jakąś książkę?

– Chcę się bawić w wojnę! krzyknął Alex, wymachując w powietrzu nie istniejącą szablą. – Do ostatniej kropli krwi!

– I to dziecko ma dopiero sześć lat, pomyślała Coco. Co z niego wyrośnie? Nowy Rambo?

– A może kredki? zapytała z nadzieją w głosie, przeklinając wszystkie deszczowe soboty, począwszy od stworzenia świata. – Może narysujecie piękne obrazki, a potem powiesimy je na lodówce i urządzimy galerię?

– Kredki są dla małych dzieci – stwierdziła Jenny, pięcioletnia cyniczka, i by dać upust swym krwiożerczym instynktom, wypaliła z laserowej broni. – Du du du du du! Już po tobie, Alex! Jesteś totalnie zdyzynterowany.

– Zdezynterowany, ty głupia, i wcale nie! Włączyłem pole siłowe!

– Uch – sapnęła jego siostra z zabawnym rozczarowaniem.

Przez chwilę spoglądali na siebie z głęboką niechęcią, do jakiej jest zdolne tylko rodzeństwo zamknięte w domu na cały dzień, i nagle przeszli do walki wręcz. Coco z rezygnacją utkwiała wzrok w suficie.

– Za chwilę komuś stanie się krzywda – zaczęła starą jak świat przemowę. – Pamiętasz, Alex, co było w zeszłym tygodniu, gdy Jenny rozkrwawiła ci nos?

W chłopcu zagrała męska ambicja.

– Nie rozkrwawiła! – oburzył się, przyciskając siostrę do dywanu.

– Właśnie że tak, właśnie że tak! – piszczała Jenny, zarzucając nogi na jego plecy.

– Przepraszam – odezwał się Trent z progu pokoju. – Zdaje się, że w czymś przeszkadzam.

– Absolutnie nie – ucieszyła się Coco. – To tylko niewinne dziecięce igraszki.

Przywitajcie pana St. Jamesa.

– Bry – mruknął Alex, zaciskając ramiona na szyi siostry.

Na widok uśmiechu Trenta Coco poczuła przyływ natchnienia.

– Trenton, czy mógłbyś mi wyświadczyć drobną przysługę?

– Oczywiście.

– Wiesz, że wszystkie dziewczęta dzisiaj pracują, a ja mam kilka ważnych spraw do załatwienia. Czy mógłbyś przez małą chwilkę popilnować dzieci? Nie sprawią ci żadnego kłopotu – dodała szybko. – Jenny, nie gryź brata, Calhounowie zawsze walczą uczciwie. –

Chyba że akurat nie mają na to ochoty, dodała w myślach. – Wrócę, nim zdążysz się obejrzyć

– dorzuciła i przemknęła obok niego, nie czekając na odpowiedź.

– Coco, nie jestem pewien, czy...

– Och, i nie zapomnij o seansie dziś wieczorem! wykrzyknęła przez ramię i szybko zbiegła po schodach.

Trenton został wrzucony na głęboką wodę. Jenny i Alex przestali walczyć i wpatrzyli się w niego ponuro. Niezależnie od tego, jak bardzo napięte były stosunki między nimi, zawsze bez wahania jednoczyli się w obliczu obcej siły.

– Nie lubimy opiekunek – powiedział Alex z jawną pogroźką w głosie.

Trent zakołysał się na piętach.

– A ja nie lubię być opiekunką.

Alex otoczył siostrę ramieniem i podbił stawkę:

– Ale my nie lubimy bardziej!

Trent skinął głową.

– W porządku – powiedział. Skoro potrafił sobie poradzić z pięćdziesięcioosobowym personelem, to istniała jakaś szansa, że uda mu się wyjść cało z konfrontacji z dwójką dzieci.

– Gdy poprzedniego lata byliśmy w Bostonie, to mieliśmy opiekunkę – wyjaśniła słodko Jenny. – I zmieniliśmy jej życie, oraz życie wszystkich, w prawdziwe piekło. – Zachichotała sadystycznie.

Trent zakaszłał, by ukryć rozbawienie.

– Naprawdę?

– Nasz tato tak powiedział – uzupełnił Alex.

– I był bardzo zadowolony, gdy wreszcie miał nas z głowy. Powiedział to nam na pożegnanie.

To już nie było zabawne. Trent powściągnął gniew i tylko skinął głową. Obraz Baxtera Dumonta

rysował się coraz wyraźniej.

– Kiedyś zamknąłem moją opiekunkę w szafie i wyszedłem z domu przez okno – oświadczył Trent.

Alex i Jenny wymienili pełne zainteresowania spojrzenia.

– Całkiem niezłe – uznał Alex.

– Krzyczała przez dwie godziny – improwizował dalej.

– A my włożyliśmy węża do łóżka naszej opiekunce i ona wybiegła z domu w koszuli nocnej! – oświadczyła Jenny z dumą.

– To też niezłe – stwierdził Trent z aprobatą, zastanawiając się, co dalej. – Macie może jakieś lalki?

– Lalki są okropne – stwierdziła Jenny, lojalna wobec brata.

– Poucinać im głowy! – wrzasnął Alex, łaskocząc siostrę. – Jestem złym piratem, a wy jesteście moimi więźniami!

– Nie, ja byłam więźniem ostatnim razem! – oburzyła się Jenny. – Teraz moja kolej na pirata!

– Ale ja to pierwszy powiedziałem! – Jenny mocno go popchnęła.

– Oszukujesz, oszukujesz, oszukujesz!

– Dzidzia, dzidzia, dzidzia, może zmienić pieluszkę? – przekrzykiwał ją chłopiec.

– Przestańcie na chwilę! – zawołał Trent stanowczo. Ten nowy, męski ton sprawił, że dzieci zatrzymały się i wpatrzyły w niego ze zdziwieniem.

– To ja jestem piratem – oświadczył – a wy, jeśli chcecie przeżyć przynajmniej do następnego ranka, musicie uciec przez okno po desce. Bo inaczej obedrę was ze skóry i powieszę na najwyższym maszcie!

Zabawa okazała się naprawdę przednia. Dzieci piszczały z uciechy, bo nie chciały być zamordowane przez okrutnego pirata Trenta, który ścigał je z zapalem, czołgając się po podłodze i strzelając z pistoletu na wodę. Znajomi i podwładni pana prezesa byliby zdumieni takim widokiem, on jednak pamiętał deszczowe dni z własnego dzieciństwa i w sumie bawił

się całkiem niezłe.

Po piratach przyszła kolej na udawanie kosmonautów, a potem Indian. Przy końcu szczególnie krwawej bitwy wszyscy troje padli na podłogę. Alex, z gumowym tomahawkiem w ręku, tak długo udawał nieżywego, że aż w końcu zasnął.

– Wygrałam – oświadczyła Jenny i przytuliła się do boku Trenta. Pióropusz opadał jej na czoło. Po chwili również i ona usnęła.

Tak właśnie znalazła ich CC. Deszcz łagodnie stukał w szyby okienne, w łazience na dole miarowo dźwięczały krople wody spadające do wiadra z przeciekającego sufitu, oraz słychać było trzy miarowe oddechy.

Alex leżał na brzuchu, wciąż zaciskając w palcach broń. Podłoga usłana była samochodzikami, figurkami poległych żołnierzy i plastikowymi dinozaurami. CC. ostrożnie przestąpiła próg, uważając, by na coś nie nastąpić.

Nie potrafiła nazwać uczuć, jakie ją ogarnęły na widok Trenta śpiącego na podłodze razem z jej siostrzeńcami. Gdyby nie zobaczyła tego na własne oczy, nigdy by w to nie uwierzyła. Był bez krawata i butów, włosy miał potargane, a jego koszula była mokra. Ten obraz w dziwny sposób poruszył jej serce. Może dzieci uderzyły go czymś w głowę i stracił

przytomność, pomyślała, i pochyliła się nad nim.

Trent otworzył! oczy, patrzył przez chwilę na jej twarz, a potem wydał jakiś dziwny dźwięk.

– Co ty tu robisz? – zapytała szeptem CC.

– Sam dobrze nie wiem. – Uniósł się na łokciu i rozejrzał. Jenny spała wpassowana w zgięcie jego ramienia, a Alex leżał płasko na podłodze po drugiej stronie. – Wygląda jednak na to, że jako jedyny przeżyłem.

– Gdzie jest ciocia Coco?

– Załatwia jakieś sprawunki, a ja miałem przypilnować dzieci.

CC. uniosła brwi.

– Aha, widzę właśnie.

– Stoczyliśmy wielką bitwę, było wiele ofiar. To naprawdę nie przelewki.

Usta dziewczyny zadrgały. Podeszła do łóżka Aleksa i zdjęła z niego koc.

– I kto zwyciężył?

– Jenny uważa, że ona, chociaż Alex na pewno będzie innego zdania. Po cichu ci jednak powiem, póki one jeszcze śpią, że to ja jestem triumfатorem.

– Niewątpliwie.

– Co z nimi zrobimy?

– Nic, niech sobie śpią.

Trent odpowiedział na jej uśmiech.

– Chodzi mi o to, czy trzeba je przenieść na łóżka.

– Nie. – CC wprawdzie rozłożyła koc i przykryła dzieci. – Nic im nie będzie, jeśli zostaną tutaj. To miło z twojej strony, że zaopiekowałeś się nimi.

– Prawdę mówiąc, nie miałem innego wyjścia, bo zostałem w to w zręczny sposób wmanipulowany.

– Mimo wszystko to bardzo miłe. – Trenton zrównał się z nią w drzwiach.

– Przydałaby mi się filiżanka kawy – oświadczył. Wahanie CC. nie trwało długo.

– Dobrze, zrobię kawę, bo solidnie na nią zapracowałeś. Dlaczego masz mokrą koszulę?

– Och – mruknął Trent, przesuwając ręką po tkaninie. – Zostałem trafiony z broni laserowej pod postacią pistoletu na wodę. A tobie jak minął dzień?

– Z pewnością nie przeżyłam tylu przygód co ty. Zreperowałam tylko jeden silnik.

Gdy nastawiała ekspres i rozpałała ogień w kominku w kuchni, Trent zauważył, że w jej włosach lśnią kropelki deszczu. Nie był mężczyzną o lirycznym usposobieniu, ale pomyślał, że te kropelki na tle jej czarnej czupryny przypominają lśniące diamenty. Zawsze wołał

kobiety z długimi, miękko opadającymi na ramiona włosami, musiał jednak przyznać, że krótka fryzura była bardzo odpowiednia dla C.C Podkreślała jej smukłą szyję i jasną skórę.

– Na co tak patrzysz? – zapytała C.C

Trent otrząsnął się z zamyślenia.

– Nic takiego. Przepraszam, zamyśliłem się. Jest coś bardzo kojącego w ogniu płonącym na kominku.

– Hm – mruknęła dziewczyna. Trent wyglądał jakoś dziwnie. Może dlatego, że był bez krawata'? – Chcesz mleka do kawy?

– Dziękuję, piję czarną.

Jego ramię otarło się o nią, gdy podchodziła do ekspresu, i tym razem to on pośpiesznie się odsunął.

– Czy ciocia Coco powiedziała, dokąd idzie?

– Nie, ale to nieważne. Dobrze się bawiłem z Alekssem i Jenny.

CC. podała mu kubek, uważnie przypatrując się jego twarzy.

– Mam wrażenie, że mówisz szczerze.

– Tak. Nie miałem zbyt wielu kontaktów z dziećmi i może dlatego nie mam ich jeszcze dość. Tych dwoje to wyjątkowo dobrana para.

– Suzanna jest świetną matką – uśmiechnęła się CC, opierając się wygodnie o szafkę. –

Wprawiała się kiedyś na mnie. A jak się sprawuje twój samochód? W porządku?

– Dawno nie jeździł tak dobrze – przyznał Trent i wzniosł toast kubkiem kawy. – Muszę przyznać, że wcześniej nie zauważałem, iż coś było nie tak, i dopiero teraz zobaczyłem różnicę. Zupełnie nie znam się na silnikach.

– Nic nie szkodzi, bo ja nic nie wiem o fuzjach przedsiębiorstw.

– Szkoda, że nie było cię w warsztacie, gdy odbierałem samochód. Hank powiedział, że wyszłaś na kolację. Przypuszczam, że dobrze się bawiłaś, bo późno wróciłaś do domu.

– Zawsze dobrze się bawię w towarzystwie Finneya – rzekła CC, sięgając do puszki z ciastkami i podając mu jedno. Przyjął je, próbując zignorować bolesne ukłucie zazdrości.

– To stary przyjaciel?

– Na pewno można tak powiedzieć. – CC szykowała się do przemowy, którą przez cały dzień układała sobie w głowie. – Chciałabym wyjaśnić kilka spraw, o których wspomniałeś wczoraj.

– To nie jest konieczne, mam już obraz sytuacji.

– Mogłam ci to wszystko wyjaśnić w łagodniejszej formie.

Trent przechylił głowę na bok, przyglądając się jej uważnie.

– Naprawdę myślisz, że mogłoby ci się to udać?

– W każdym razie wolę tak myśleć. Byłam zażenowana, a gdy tak się dzieje, zawsze wpadam w złość i mówię różne rzeczy, których potem żałuję. No cóż, cała ta sytuacja jest bardzo trudna.

Trent przypomniał sobie jej rozmowę z Suzanną, którą przypadkiem usłyszał.

– Chyba zaczynam to rozumieć – powiedział ostrożnie.

CC westchnęła.

– No cóż, w każdym razie nie potrafię myśleć życzliwie o tym, że chcesz kupić Towers i że prawdopodobnie będziemy musiały ci na to pozwolić, bo być może zmuszą nas do tego pewne okoliczności. Jak będzie, jeszcze nie wiadomo, dopiero czas to pokaże. Natomiast manewry cioci Coco to zupełnie inna sprawa. Gdy już złość mi przeszła, zrozumiałam, że czułeś się równie

skrepowany jak ja, tylko że w przeciwieństwie do mnie starałeś się być uprzejmy.

– To taki mój zły zwyczaj.

– Gdybyś tylko nie wspomniał o tym pocałunku...

– Zdaję sobie sprawę, że popełniłem błąd w ocenie sytuacji, ale wcześniej już cię za to przeprosiłem i dlatego myślałem, że możemy porozmawiać o tym rozsądnie.

– Nie chciałam przeprosin – mruknęła CC. – Ani wtedy, ani teraz.

– Rozumiem.

– Nie, nic nie rozumiesz, i wybacz, bo mówię to teraz bez złości, ale zachowałeś się...

niezbyt mądrze. Przeprosiny były zupełnie nie na miejscu. Może jestem niedoświadczona jak na twoje standardy i może nie jestem tak wyrafinowana jak kobiety, z którymi zwykle masz do czynienia, ale nie jestem aż tak głupia, by snuć życiowe plany na podstawie jednego pocałunku. Chciałabym po prostu, żebyśmy obydwójce zapomnieli o tamtym i o naszej wczorajszej rozmowie. Jeśli będziemy musieli załatwiać ze sobą interesy, to lepiej, abyśmy potrafili zdobyć się na wzajemną uprzejmość.

– Podobasz mi się taka, jak w tej chwili.

– To znaczy jaka?

– Gdy mnie nie atakujesz, tylko mówisz jak dama, która wyjaśnia problem.

CC. uśmiechnęła się radośnie.

– To korzystaj z okazji, lecz nie przyzwyczajaj się za bardzo. Wszyscy Calhounowie mają okropne charaktery i w każdej chwili potrafią zmienić się w dzikusów.

– Już mnie przed tym ostrzegano. Więc zawieramy rozejm?

– Chyba tak. Chcesz jeszcze jedno ciastko? Trent powoli wyciągnął rękę i przesunął czubkami palców po jej głowie.

– Co ty robisz? – zdziwiła się CC, otwierając szeroko oczy.

– Masz mokre włosy. Pachną polnymi kwiatami.

– Trent...

– Tak? – uśmiechnął się.

– Nie powinieneś tak się zachowywać.

– Wiem – przyznał, ale jego palce powędrowały do jej szyi. – Nie potrafię przestać o tobie myśleć, gdy jestem przy tobie, tracę kontrolę nad własnymi rękami. Sam nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

CC oblizła usta czubkiem języka.

– Bo działam ci na nerwy.

– Och, to na pewno, ale nie tylko w taki sposób, jak myślisz. To nie jest takie proste.

Chociaż byłoby lepiej, gdyby takie właśnie było. – Ujął ją dłonią pod brodę. – Dlaczego za każdym razem, gdy cię widzę, natychmiast pragnę cię dotknąć?

– Nie wiem – odrzekła – wolałabym jednak, żebyś tego nie robił.

– Czego mianowicie?

– Dotykał mnie.

– Dlaczego?

– Bo robię się wtedy nerwowa, a to źle wróży naszemu kruchemu rozejmowi.

Oczy Trenta pociemniały.

– Nigdy nie starasz się sprowokować mnie umyśl nie, prawda?

– Nawet nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać odparowała.

Trent leciutko musnął ustami jej twarz.

– Glicynia – mruknął, przyciągając ją bliżej. Kiedyś uważał tę roślinę za zupełnie pospolitą. – Ma dziki i słodki smak.

Catherine znów poczuła, że jej ciało staje się miękkie jak wosk. Trent całował ją o wiele delikatniej niż pierwszego wieczoru. Dziewczyna poczuła dziwną tęsknotę za światłem, które wskazałoby jej właściwą drogę.

– Catherine – szepnął, obejmując jej twarz dłońmi – ty też mnie pocałuj.

Chciała odmownie potrząsnąć głową, odwrócić się i odejść, lecz tylko mocniej wtuliła się w jego ramiona i uniosła głowę.

W kominku trzaskał ogień, a deszcz stukał o szyby. Ramiona Trenta były tak mocne i dawały cudowne poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, że zapamięta każdy najdrobniejszy szczegół tej chwili i że wielokrotnie będzie odtwarzać ją w myślach.

W końcu Trent odsunął łagodnie CC. Był bardziej poruszony, niż chciał przyznać przed samym sobą.

- Tym razem nie będę cię przeproszał – oświadczył niepewnym głosem.
 - Nie, nie rób tego. Nigdy. – Znowu pochylił się nad nią.
 - Pragnę cię, Catherine. Chcę się z tobą kochać.
 - Tak – powiedziała CC. z uniesieniem. – Tak!
 - Kiedy? – zapytał, zanurzając twarz w jej włosach. – I gdzie?
 - Nie wiem, nie potrafię w tej chwili myśleć.
 - To nie myśl – szepnął, przesuwając usta po jej twarzy, czole, włosach. – To nie jest odpowiednia chwila, by męczyć głowę.
 - Pragnę, aby wszystko wyglądało cudownie. Abyśmy osiągnęli doskonałość.
 - Tak będzie – obiecał, a ona uwierzyła w jego słowa, jak i w tajemny, niezwykły blask bijący z oczu Trenta.
 - Nie mogę uwierzyć, że to właśnie ty – powiedziała ze śmiechem, który wyrażał szczęście, i zarzuciła mu ramiona na szyję. – Przez całe życie czekałam na to, żeby z kimś być. A teraz okazało się, że to właśnie na ciebie czekałam! – Dłoń Trenta zatrzymała się.
- Przez całe życie? Rozmarzona CC przytuliła się do niego mocniej.
- Myślałam, że będę się bała tego pierwszego razu, ale to nieprawda, bo wcale się nie boję.
 - Pierwszego razu? – powtórzył Trent z osłupieniem. A więc ta cudowna dziewczyna była dziewicą! Jak mógł okazać się aż tak głupi? Wiedział, że CC. jest niedoświadczona, ale nie przyszło mu do głowy, że aż do tego stopnia! I pomyśleć, że niewiele brakowało, by uwiódł ją w jej własnej kuchni.
 - CC – odezwał się cicho, ale w tej samej chwili w progu rozległ się głos Aleksa.
 - Pić mi się chce! – Trent i CC gwałtownie odskoczyli od siebie, jak dzieci przyłapane na robieniu czegoś niedozwolonego. Alex przyjrzał się im z niesmakiem.
 - Po co właściwie robicie takie rzeczy? To okropne. – Spojrzał na Trenta jak mężczyzna na mężczyznę. – Nie mam pojęcia, po co całuje się dziewczyny.
 - To taki stary zwyczaj wyjaśnił Trent. – Weź sobie coś do picia, a potem zostaw nas samych. Muszę porozmawiać z twoją ciotką w cztery oczy.
 - Znowu jakieś głupoty.
 - Jakie głupoty? – zaciekawiała się Amanda, wpadając do kuchni.

– Nic takiego – mruknęła CC. i sięgnęła po dzbanek do kawy.

– Boże, ależ miałam dzień! –jęknęła jej siostra.

W chwilę później pojawiła się Suzanna, a zaraz za nią Lilah. Kuchnia wypełniła się kobiecymi głosami i zapachami. Trent wiedział, że odpowiednia chwila na rozmowę minęła.

Gdy CC. przesłała mu uśmiech, poczuł, że kręci mu się w głowie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To był pierwszy seans spirytystyczny w życiu Trenta, a miał przy tym szczerą nadzieję, że również ostatni. Nie było jednak sposobu, by się uprzejmie wykręcić od uczestnictwa w tym dziwacznym spektaklu. Gdy powiedział nieśmiało, że nie chciałby przeszkadzać w rodzinnym wieczorze, Coco tylko roześmiała się i poklepała go po policzku.

– Ależ mój drogi, nawet by nam nie przyszło do głowy, żeby cię wykluczyć. Kto wie, może to właśnie dzięki tobie kapryśne i niespokojne duchy zgodzą się przemówić.

Ta perspektywa wcale nie poprawiła mu humoru.

Wieczorem, gdy dzieci znalazły się już w łóżkach, reszta rodziny, oraz naburmuszony Trent, zebrała się przy stole w jadalni. Scenografia była już gotowa. Na bufecie płonęło dwanaście świec osadzonych w rozmaitych świecznikach, od miśnieńskiej porcelany i Baccarata po tandetę z taniego sklepu. Dodatkowe trzy białe świece stały na środku stołu.

Nawet pogoda dostosowała się do atmosfery wieczoru. Deszcz przeszedł w mokry, lepki śnieg, a wiatr coraz bardziej przybierał na sile. W pewnej chwili rozległ się grzmot i mrok za oknem rozświetliła błyskawica.

Ciemna, burzowa noc, pomyślał fatalistycznie Trent, zajmując miejsce przy stole. Na szczęście Coco nie nałożyła turbanu ani szala z frędzlami. Jak zawsze, była nienagannie schludna. Na szyi miała wisiorek z kryształem ametystu.

– Dobrze, dzieci powiedziała, gdy wszyscy byli już na swoich miejscach. – Teraz weźcie się za ręce i utwórzcie krąg.

CC. wsunęła dłoń w dłoń Trenta i w tej samej chwili wiatr z całą siłą uderzył w szyby.

Drugą jego rękę ujęła Coco. Stojąca naprzeciwko Amanda uśmiechnęła się do niego z rozbawieniem i wyraźnym współczuciem.

– Nie martw się, Trent – powiedziała. – Duchy Calhounów zawsze dobrze się zachowują w towarzystwie.

– Konieczne jest skupienie – wyjaśniła Lilah, stojąca pomiędzy dwiema siostrami. –

Trzeba oczyścić umysł, szczególnie z cynicznych myśli. Podwzględem astrologicznym jest to znakomity wieczór na seans.

CC. szybko ucisnęła rękę Trenta.

– Wszyscy musimy oczyścić myśli i otworzyć serca – podjęła Coco kojącym, monotonnym głosem. – Od pewnego czasu czuję, że moja babcia, nieszczęśliwa Bianca, chce mi coś powiedzieć. W ostatnich latach swego młodego życia spędzała wakacje w tym właśnie domu. Tutaj zaznała najwięcej radości i najwięcej cierpienia. Tu poznała mężczyznę, którego pokochała, a potem straciła.

Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

– Babciu, jesteśmy tutaj i czekamy na ciebie. Wiemy, że twoja dusza cierpi.

– Czy duchy mają duszę? – zapytała Amanda, zaskarbiając sobie pełne oburzenia spojrzenie ciotki. – To przecież rozsądne pytanie – obruszyła się.

– Zachowuj się – mruknęła Suzanna. – Mów dalej, ciociu.

Siedzieli w milczeniu, tylko Coco mruczała coś pod nosem. Trent nie potrafił oczyścić umysłu. W jego myślach przewijały się wspomnienia chwili, gdy trzymał CC. w ramionach.

Czuł się winny. CC. była inna niż Marla oraz pozostałe kobiety, z którymi chłodno romansował w ciągu ostatnich lat. Była niewinna, otwarta i pomimo ostrego języka i silnego charakteru również rozbijającą wrażliwa. On zaś wykorzystał to w niewybaczalny sposób.

Powtarzał sobie, że to nie była wyłącznie jego wina. W końcu CC była dojrzałą, piękną kobietą, a on tylko człowiekiem. To, że pragnął jej fizycznie, zdawało się zupełnie naturalne.

Zerknął na nią przez ramię, a gdy się do niego uśmiechnęła, w ostatniej chwili powstrzymał chęć, by podnieść jej dłoń do ust i pocałować.

Udało jej się poruszyć te sfery jego duszy, które dotąd pozostawały w uśpieniu, co bardzo go zaniepokoiło. Czy się do niego uśmiechała, czy też złościła, chciał od niej dużo więcej niż od jakiegokolwiek innej kobiety. To było niedorzeczne, dzieliła ich przecież przepaść, należeli do różnych światów.

A jednak gdy C.C. była obok niego, czuł z nią niezwykłą jedność. Wyobrażał sobie, jak siedzą razem na ganku w lecie i patrzą na dzieci bawiące się na trawniku. Za ich plecami kojąco szumi morze, a po drewnianym treliazu pną się dzikie róże i pędy glicynii.

Na chwilę zamarł, a potem szybko się otrząsnął. Ten obraz był porażająco konkretny i wyraźny. To ta atmosfera, migotanie świec, wiatr i błyskawice pobudziły moją wyobraźnię, pomyślał.

Nie był typem mężczyzny, który siaduje na ganku z kobietą po to, by patrzeć na dzieci.

Odpowiadał za firmę, co pochłaniało go bez reszty. Myśl o związku z awanturniczą kobietą–mechanikiem była po prostu absurdalna.

Nagle wydało mu się, że zimne powietrze uderzyło go w twarz i chłód przeniknął na wylot jego ciało. Płomienie wszystkich świec dramatycznie pochyliły się na lewo. To tylko przeciąg, pomyślał, w tym domu to normalne. Poczuł, że CC. również zadrżała, i spojrzał na nią z ukosa. Oczy miała szeroko otwarte i pociemniałe. Mocno zaciskała palce na jego dłoni.

– Ona tu jest! zawołała Coco podekscytowanym głosem. – Jestem tego pewna!

Z podnieceniaomal nie rozerwała kręgu. Wprawdzie wierzyła w duchy, lecz jeszcze nigdy tak wyraźnie nie czuła ich obecności. Rozpromieniona, spojrzała na Lilah, ta jednak miała przymknięte oczy, a na jej ustach błąkał się lekki uśmiech.

– Chyba otworzyło się jakieś okno – powiedziała Amanda i podniosła się z miejsca, ale Coco powstrzymała ją ostrym syknięciem.

– Nic podobnego. Siedzicie wszyscy spokojnie. Nic czujecie, że ona tu jest?

C.C. czuła to i nie wiedziała, czy ma się bać, czy też uznać, że zwariowała. W powietrzu było coś dziwnego. Była pewna, że Trent również odbiera jakieś tajemnicze fluidy. Miała wrażenie, że ktoś delikatnie położył rękę na ich połączonych dłoniach. chłód zniknął, a w jego miejsce pojawiło się kojące ciepło. Wrażenie było tak realne, że C.C. spojrzała za siebie przez ramię, niemal pewna, że ktoś za nią stanął, ale zobaczyła tylko płomienie w kominku i cienie na ścianie.

– Ona jest bardzo zagubiona.

Dopiero po chwili C.C. rozpoznała własny głos i zaniemówiła ze zdziwienia. Wszystkie oczy zatrzymały się na niej. Nawet Lilah leniwie rozchyliła powieki.

– Widzisz ją? – zapytała szeptem Coco, ściskając jej palce.

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko że... – Nie potrafiła tego wyjaśnić. – Jest w niej taki wielki smutek – wymruczała, nie zdając sobie sprawy, że do jej oczu napłynęły łzy. – Nie czujecie tego?

Trent nie był w stanie wykrztusić ani słowa, bowiem również czuł rozpacz i niezmierną tęsknotę. To tylko wyobraźnia, powtarzał sobie, siła sugestii.

– Nie przerywajcie – mówiła Coco, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć właściwą procedurę postępowania. W końcu coś się zdarzyło, a ona nie miała pojęcia, co robić dalej. Za oknami rozbłyski kolejna błyskawica. – Może ona zechce przemówić przez ciebie?

– Powiedz nam, co widzisz. – Lilah uśmiechnęła się z drugiego końca stołu.

– Naszyjnik – powiedziała CC. nieobecny głosem. – Dwa rzędy szmaragdów otoczone brylantami. Pięknie się iskrzą. – Od blasku bolały ją oczy. – Ona ma ten naszyjnik na sobie, ale nie widzę jej twarzy. Och, jest taka nieszczęśliwa.

– Naszyjnik Calhounów! – westchnęła Coco z przejęciem. – A więc to prawda!

Naraz w powietrzu rozległo się jakby westchnienie. Świece zamigotały, a po chwili znów paliły się równo. W kominku trzasnęła płonąca kłoda.

– Dziwne – odezwała się Amanda, gdy Coco puściła jej dłoń. – Dołożę do ognia.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Suzanna, przypatrując się CC. z mieszaniną troski i ciekawości.

Catherine odchrząknęła i z ukosa zerknęła na Trenta.

– Pewnie to ta burza tak na mnie podziałała.

Coco podniosła rękę do piersi i poklepała się po sercu.

– Chyba wszystkim nam przydałaby się szklaneczka brandy.

Wstała, bardziej wstrząśnięta, niż chciała przyznać, i podeszła do szafki.

– Ciociu Coco – zapytała CC. – co to za naszyjnik Calhounów?

– Szmaragdy – odrzekła ciotka, rozdając szklaneczki. – Rodzinna legenda, którą w części już znacie. Bianca zakochała się w innym mężczyźnie, zginęła tragicznie. Chyba już czas, żebyśmy opowiedziały wam całą resztę.

– Zachowywałaś ją w sekrecie? Ciociu Coco, zdumiewasz mnie! – zawołała Amanda ze śmiechem i zmarszczyła brwi.

– Chciałam poczekać na odpowiednią chwilę, która właśnie nadeszła. – Coco znów usiadła i zaczęła obracać szklanekę w dłoniach. – Podobno Bianca zakochała się w artyście, jednym z wielu malarzy, którzy w tamtych latach przyjeżdżali na wyspę. Spotykała się z nim, gdy Fergusa nie było w domu, a zdarzało się to często. Ich małżeństwo tak naprawdę było kontraktem. Bianca była znacznie młodsza od męża i podobno również niezwykle piękna.

Ponieważ jednak Fergus po jej śmierci zniszczył wszystkie portrety, nie możemy się o tym przekonać.

– Dlaczego tak zrobił? – zdziwiła się Suzanna. Coco wzruszyła ramionami.

– Może z rozpaczy.

– Raczej z wściekłości – stwierdziła Lilah. Coco upiła łyk brandy.

– W każdym razie – podjęła – zniszczył wszystko, co po niej pozostało, i szmaragdy również zniknęły. To był prezent dla Bianki po urodzeniu pierwszego syna, Ethana. Mojego ojca – wyjaśniła w kierunku Trenta. – W chwili śmierci matki był jeszcze dzieckiem i nie pamiętał niczego dokładnie, ale jego niania, która była bardzo lojalna wobec Bianki, opowiadała mu o niej. Bianca nie ceniła tego naszyjnika, ale nosiła go często.

– Jako swego rodzaju karę – znów wtrąciła Lilah, uśmiechając się do ciotki – a także jako talizman. Och, wiedziałam o tym naszyjniku od lat. Widziałam go, tak jak CC. dziś wieczorem. Są jeszcze kolczyki do kompletu, piękne szmaragdowe łożki.

– Wymyśliłaś to – stwierdziła Amanda podejrzliwie, ale Lilah tylko wzruszyła ramionami i spojrzała na CC.

– Ty też tak uważasz?

– Nie – rzekła CC. niechętnie i przeniosła wzrok na ciotkę. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Sama nie wiem, ale wydaje się, że ten naszyjnik wciąż jest ważny dla Bianki. Po jej śmierci nikt go już nie widział. Niektórzy wierzyli, że Fergus wrzucił go do oceanu.

Lilah prychnęła pogardliwie.

– Nigdy w życiu. Ten facet nie wrzuciłby do morza nawet dziesięciu centów.

– Hm... – zawahała się Coco. Nie chciała źle mówić o przodku, musiała jednak przyznać siostrzenicy rację. – Rzeczywiście, to do niego niepodobne. Dziadek liczył każdy grosz.

– Przy nim Silas Marner wydaje się filantropem – dodała Amanda. – Więc co się stało z tym naszyjnikiem?

– To, moja droga, pozostaje wielką zagadką. Niania ojca mówiła mi, że Bianca chciała opuścić Fergusa i spakowała kuferek, który piastunka nazwała skrzynką ze skarbami. Bianca schowała tam wszystko, co było dla niej cenne.

– Nie opuściła jednak Fergusa, tylko umarła – mruknęła CC

– Tak. Legenda głosi, że ten kuferek, razem ze wszystkimi skarbami, jest gdzieś tutaj, w domu.

– W naszym domu? – zdumiała się Suzanna. – Czy naprawdę myślisz, że tu gdzieś schowany jest skarb? Że leżał tak przez osiemdziesiąt lat i nikt go nie znalazł?

– Dom jest bardzo duży – zauważyła Coco. – I zresztą mogła go na przykład zakopać w ogrodzie.

– O ile w ogóle istniał – zauważyła sceptycznie Amanda.

Lilah skinęła głową w stronę CC.

– Istniał. I moim zdaniem Bianca uznała, że czas już, by się odnalazł.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Argumenty i sugestie krzyżowały się nad stołem.

W końcu Trent podniósł rękę.

– Drogie panie – powiedział i poczekał, aż zgiełk ucichnie. – Wiem, że to rodzinna sprawa, ale skoro już zostałem zaproszony do uczestnictwa w tym... eksperymencie, to czuję się zobowiązany uspokoić nieco atmosferę. Legendy najczęściej są grubo przesadzone. Jeśli taki naszyjnik rzeczywiście kiedyś istniał, to czy nie jest najbardziej prawdopodobne, że Fergus sprzedał go po śmierci żony?

– Nie mógł go sprzedać, bo go nie znalazł – zauważyła Lilah.

– Czy wy naprawdę wierzycie, że wasz pradziadek zakopywał skarby w ogrodzie albo chował je za luźnym kamieniem w kominku? – zapytał Trent z niedowierzaniem, ale jeden rzut oka na twarze

kobiet siedzących wokół stołu przekonał go, że one rzeczywiście były o tym przekonane. Potrząsnął głową ze zdumieniem. – To są bajki, dobre dla Aleksa i Jenny, a nie dla dorosłych ludzi! Przecież nawet nie wiecie na pewno, czy ten naszyjnik rzeczywiście istniał.

– Ależ ja go widziałam – obruszyła się CC, zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmi.

– Raczej wyobraziłaś go sobie – poprawił ją Trent. – Zastanów się. Pół godziny temu sześć rozsądnych, dorosłych osób siedziało tu przy stole, trzymając się za ręce i wywołując duchy. Można to uznać za niewinną zabawę salonową, ale żeby naprawdę wierzyć w przesłania z tamtego świata...
– Potrząsnął głową.

– Cynizm rozsądnego mężczyzny ma w sobie pewną siłę – stwierdziła Lilah, podchodząc do szafki pod ścianą. Otworzyła jedną z szuflad, wyjęła z niej ołówek oraz blok papieru, a potem przyklękła obok krzesła CC i zaczęła rysować. – Oczywiście szanuję twoje zdanie, ale faktem jest, że naszyjnik istniał, i jestem pewna, że nadal istnieje.

– Skąd to przekonanie? Z powodu bajek, które niania opowiadała dzieciom?

– Nie, z powodu Bianki – uśmiechnęła się Lilah i podsunęła rysunek CC – Czy właśnie to widziałaś? Spójrz.

Lilah zawsze była dobrą rysowniczką. CC wpatrzyła się w szkic przedstawiający naszyjnik. Na misternym, filigranowym ornamencie spoczywały dwa rzędy kwadratowych szmaragdów, a między nimi lśniły drobne brylanciki. Z dolnego rzędu na środku zwieszał się duży klejnot w kształcie łyzy.

CC. przesunęła palcem po rysunku.

– Tak – stwierdziła. – Tak, to jest to.

Trent również popatrzył na szkic. Jeśli taki klejnot rzeczywiście istniał, a rysunek Lilah był w naturalnej skali, to naszyjnik byłby wart majątek.

– Och – westchnęła Coco, gdy rysunek dotarł do niej. – Och, mój Boże.

– Zdaje się, że Trent ma trochę racji – stwierdziła Amanda, podając szkic Suzannie. –

Nie możemy rozebrać na kawałki całego domu, nawet gdybyśmy chciały. Podstawowa sprawa to upewnić się, że naszyjnik naprawdę istniał. – Zignorowała niecierpliwe westchnienie Lilah i mówiła dalej: – Nawet osiemdziesiąt lat temu taki klejnot kosztował

niewiarygodną sumę i po transakcji musiał pozostać jakiś ślad. Jeśli słynna intuicja Lilah tym razem ją zawiodła i naszyjnik został sprzedany, to również powinno być to gdzieś odnotowane.

– Tak więc spędzimy całą niedzielę, grzebiąc w starych papierach – powiedziała Lilah żałośnie.

CC nawet nie usiłowała zasnąć, tylko owinęła się we flanelowy szlafrok i wyszła na korytarz. Z sypialni Amandy dochodziły wieczorne wiadomości, a Lilah grała na gitarze. CC

bez najmniejszego wahania zastukała do Trenta.

Po chwili otworzył jej drzwi. Był trochę zaspany i w rozpiętej koszuli.

– CC? – zdziwił się.

– Muszę z tobą porozmawiać. Mogę wejść? – zapytała, zerkając na łóżko.

Który mężczyzna mógłby w takiej chwili zachować olimpijski spokój? Catherine wyglądała jak nieświadoma swej mocy bogini miłości i nawet jej stary, flanelowy szlafrok wprost tchnął erotycznym powabem.

– Może zaczekasz z tym do rana? – zapytał Trent niepewnie. Nie zamierzał wiązać się na stałe z Catherine, a z uwagi na jej niewinność i wyjątkowy charakter nie chciał również przeżywać krótkiej miłosnej przygody. Gdy jednak wpuści ją do pokoju, wszystko na pewno wymknie się spod kontroli.

– Musimy porozmawiać teraz.

– No dobrze – powiedział z ciężkim sercem. Może i lepiej nie odkładać tej rozmowy, bowiem im szybciej sytuacja zostanie wyjaśniona, tym lepiej. Wpuścił CC. do środka i zamknął drzwi. – Może usiądziesz?

– Nie, za bardzo mnie nosi. – Skrzyżowała ramiona na piersiach i podeszła do okna. –

Cieszę się, że ten śnieg w końcu przestał padać, bo Suzanna już martwiła się o kwiaty.

Wiosna na tej wyspie jest zupełnie nieprzewidywalna. – Przesunęła ręką po włosach i spojrzała na niego. – Gadam, byle gadać, przejdźmy więc do rzeczy. Trent, powiedz mi, ale tak zupełnie szczerze, co myślisz o tym, co wydarzyło się dzisiaj wieczorem?

– Dziś wieczorem? – powtórzył ostrożnie.

CC. potarła twarz rękami.

– Chodzi mi o seans. Czuję się jak idiotka, mówiąc o tym, ale tam naprawdę coś się stało. Jestem racjonalistką i twardo stąпам po ziemi, nie zajmuję się parapsychologią ani spirytyzmem, zostawiam to Lili. Zawsze wierzyłam w to, co mogłam zobaczyć lub objąć rozumem, ale teraz będę musiała albo zwątpić w moje zdrowe zmysły, albo zmienić światopogląd. Trent, odpowiedz, czy ty też coś czułeś?

– Nie wiem, o czym mówisz. Na pewno były chwile, kiedy było mi po prostu głupio.

– Proszę cię – powiedziała i mocno potrzęsnęła ją za rękę. – Bądź ze mną absolutnie szczerzy, to naprawdę bardzo ważne.

– Dobrze, CC – odrzekł z rezygnacją ale najpierw ty mi powiedz, co czułaś.

– Najpierw zrobiło mi się bardzo zimno, a potem wydawało mi się... nie, byłam pewna, że „ktoś” czy

„coś” stoi za nami. Nie bałam się, byłam tylko zdziwiona. Trzymaliśmy się za ręce, a potem..

Chciała, żeby właśnie on to powiedział, co też zrobił, choć z widoczną niechęcią.

– Wydawało mi się, że ktoś położył rękę na naszych dłoniach.

CC przymknęła oczy.

– Tak, właśnie tak.

– Zwyczajna halucynacja, podziałała na nas atmosfera... – mruknął Trent, lecz Catherine przerwała mu gwałtownie.

– Przestań! Żadnych racjonalnych wytłumaczeń. – Przycisnęła jego dłoń do policzka. –

Nie mam bujnej wyobraźni, ale wiem, że to coś znaczyło i to coś bardzo ważnego. Jestem tego pewna.

– Naszyjnik?

– To również, lecz w tej chwili mówię o czymś innym. Sprawę naszyjnika wcześniej czy później i tak wyjaśnimy, ale ten dotyk był... jak błogosławieństwo!

– CC...

– Kocham cię. – Z pociemniałymi oczami dotknęła jego policzka. – Kocham cię i jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak bardzo przekonana o słuszności tego, co robię.

Trent był zaszokowany. Wiedział, że powinien cofnąć się o krok i powiedzieć CC., iż dała się ponieść atmosferze chwili, bowiem miłość, o ile w ogóle zdarza się na tym świecie, nie rodzi się ciągu kilku dni. To zwyczajna pomyłka, nagły poryw emocji, wywołany dziwnymi zdarzeniami ostatnich godzin.

A jednocześnie pragnął przytulić ją do siebie i trwać tak przez całą wieczność.

– Catherine...

Zbliżyła się o krok i weszła prosto w jego ramiona, które tylko na to czekały. Trent utracił kontrolę nad własnym ciałem. Ciepło emanujące z CC. wsączało się w niego jak narkotyk.

– Chyba wiedziałam o tym już wtedy, gdy mnie pocałowałeś pierwszy raz –

powiedziała, przytulając policzek do jego policzka. – Nie chciałam tego, lecz jeszcze nigdy w życiu tak się nie czułam. Nie przypuszczałam, że coś takiego mi się przydarzy, aż nagle pojawiłeś się w moim życiu. Pocałuj mnie jeszcze raz, Trent. Pocałuj mnie teraz.

Jak mógł odmówić, skoro sam tego pragnął? Gdy dotknął jej ust, CC. zupełnie stopniała w jego

ramionach i poddała mu się bez reszty. Wsunęła ręce pod jego koszulę, czerpiąc radość z drżenia jego ciała.

Za oknami słyhać było szum wiatru. Trent nie mógł się nasycić Catherine. Od zapachu glicynii kręciło mu się w głowie. Rozsunął poły jej szlafroka I przekonał się, że nie miała nic pod spodem. CC odrzuciła głowę do tyłu.

Szczęście, nadzieja, miłość. Rozpoznał te uczucia I poraził go lęk. Odsunął się od dziewczyny, a szlafrok osunął się z jej ramion.

– Czy chcesz, żebym u ciebie dzisiaj została?

– Tak... nie – wykrztusił i z wielkim trudem odsunął ją na odległość ramienia. –

Catherine... – Tak bardzo pragnął, by razem spędzili tę noc... nie tylko tę, i nie tylko dlatego, że CC miała piękne ciało. Lecz właśnie dlatego musiał to wszystko wyjaśnić. – Ja nie... nie zachowywałem się wobec ciebie uczciwie. To wszystko zbyt szybko wymknęło się spod kontroli powiedział cicho. – Boże, jesteś taka piękna! Nie dodał szybko, widząc, że CC z uśmiechem wyciąga do niego ramiona. – Musimy porozmawiać.

– Myślałam, że już to zrobiliśmy – zdziwiła się.

Trent wiedział, że jeśli ta dziewczyna dłużej będzie na niego tak patrzeć, to zapomni o rozsądku i uczciwości.

– Musisz mnie uważnie wysłuchać – rzekł powoli. – Gdybym wiedział, jak bardzo jesteś... niedoświadczona, to byłbym ostrożniejszy. A teraz muszę naprawić to, co już się zdarzyło.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Catherine.

– No właśnie, w tym cały problem – westchnął Trent, przechodząc na drugą stronę pokoju. – Mówiłem ci, że bardzo mi się podobasz, i to jest prawda, nie gdybym wiedział o twoim braku doświadczenia, nigdy bym tego nie wykorzystywał.

CC. naraz poczuła chłód i mocno owinęła się szlafrokiem.

– Przeszkadza ci to, że jeszcze nigdy nie byłam z mężczyzną?

– „Przeszkadza” to nie jest właściwe słowo – obruszył się Trent z widocznym zdenerwowaniem. – Nie wiem, jak to powiedzieć, ale widzisz, są pewne zasady.

Zauważył, że ona nadal go nie rozumie.

– Catherine – podjął z desperacją – kobieta taka jak ty oczekuje, a przede wszystkim zasługuje na dużo więcej, niż ja ci mogę dać.

Powoli spuściła wzrok i mocniej zacisnęła pasek szlafroka.

– To znaczy na co?

– Zaangażowanie, stały związek, potem wspólną przyszłość.

– Małżeństwo.

– Tak.

Kostki jej palców zbielały.

– Ty chyba sądzisz, że właśnie próbuję zrealizować plan cioci Coco.

– Nie – zaprzeczył Trent stanowczo. – Nie, w żadnym wypadku tak nie myślę.

– No cóż – powiedziała Catherine powoli – to już coś.

– Wiem, że twoje uczucia są prawdziwe i nawet jeśli nieco przesadzone, to na pewno szczerze, a stało się tak z mojej winy. Gdyby wszystko nie działo się tak szybko, już na samym początku wyjaśniłbym ci, że nie mam zamiaru się żenić. Nigdy. Nie wierzę, by dwoje ludzi przez długie lata mogło ze sobą żyć w szczęściu i wierności.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył. – Bo to się po prostu nie udaje. Mój ojciec w kółko to się żeni, to rozwodzi, zupełnie jakby rozgrywał mecz tenisowy. Gdy moja matka ostatnio odezwała się do mnie, była zamężna po raz trzeci. Nie ma sensu przysięgać, gdy się wie, że nie dotrzyma się słowa. To wyjątkowo niepraktyczne.

– Niepraktyczne – powtórzyła, powoli kiwając głową. – Nie chcesz się we mnie zakochać, bo to wyjątkowo niepraktyczne.

– Problem polega na tym, że już i tak czuję do ciebie zbyt wiele.

– Zbyt wiele? Nie, Trent, zbyt mało. No cóż, cieszę się, że sobie to wyjaśniliśmy –

powiedziała, przetykając łzy, i podeszła do drzwi. – Dobranoc.

W jednej chwili znalazł się przy Catherine i położył dłoń na jej ramieniu.

– CC. ...

– Nie przepraszaaj – powiedziała, z trudem się opanowując. – To naprawdę nie jest konieczne. Doskonale mi wszystko wyjaśniłeś.

– Cholera, dlaczego nie zaczniesz na mnie krzyczeć? Powinnaś mnie zwymyślać, bo na to zasługuję! – zawołał Trent bezsilnie. Znacznie łatwiej byłoby mu znieść awanturę niż wyraz bolesnego osamotnienia w jej oczach.

– Krzyczeć na ciebie? – powtórzyła ze zdziwieniem. – Za to, że byłeś ze mną szczerzy, że chcesz zachować się uczciwie? Za to mam cię zwymyślać? Jak mogłabym to zrobić, skoro jest mi po prostu przykro za ciebie?

Trent cofnął rękę, natomiast CC. dumnie podniosła wyżej głowę.

– Odrzucasz coś... nie, nie odrzucasz. Uprzejmie oddajesz mi coś, czego już nigdy więcej nie dostaniesz. Trent, to, co odrzuciłeś, mogłoby się stać najlepszą częścią twojego życia.

Wyszła, a on z rozpaczą pomyślał, że CC. miała całkowitą rację.

Dziś wieczorem było przyjęcie. Myślałam, że poczuję się lepiej, gdy dom wypełni się ludźmi i kwiatami. Wiem, że Fergus był zadowolony, bo dokładnie wszystkiego dopilnowałam.

Zastanawiałam się, czy zauważył, jak bardzo byłam ostatnio nieobecna myślami, jak często wychodziłam na spacer po urwisku i jak wiele czasu spędzałam w wieży na marzeniach.

Przypuszczam jednak, że niczego nie spostrzegł.

Przyszli Greenbaumowie, McAllisterowie i Prentisowie oraz wielu jeszcze innych gości, których Fergus uznał za stosowne zaprosić. Sala balowa pełna była gardenii i czerwonych róż. Fergus wynajął orkiestrę z Nowego Jorku, a muzyka była piękna i żywa. Sarah McAllister musiała wypić za dużo szampana, gdyż jeszcze na długo przed kolacją jej śmiech zaczął mnie irytować.

Moja nowa złota sukienka chyba wyglądała bardzo dobrze, gdyż usłyszałam wiele komplementów, ale gdy tańczyłam z Irą Greenbaumem, nie spuszczał oczu z moich szmaragdów. Otaczały mi szyję niby obroża.

Jakże jestem niesprawiedliwa! Są piękne i należą do mnie tylko dlatego, że Ethan jest moim synem. W trakcie przyjęcia wymknęłam się do pokoju dziecinnego, by sprawdzić, czy z dziećmi wszystko w porządku, chociaż wiem, jak dobrze niania o nie dba. Ethan obudził się i zapytał sennym głosem, czy I' yniosłam mu trochę ciasta. Gdy śpi, wygląda jak Uniolek, podobnie jak pozostałe maieństwa. Moja miłość do nich jest tak wielka i głęboka, że czasami uistanawiam się, dlaczego nie potrafię przenieść jej choćby w części na mężczyznę, który jest ich ojcem.

Możliwe, że wina leży we mnie. Na pewno tak jest. Pocałowałam dzieci na dobranoc, wyszłam z ich pokoju i naraz ogarnęła mnie nieprzeparata ochota, by zamiast wracać do sali balowej, pobiec na urwisko. Zapragnęłam stanąć na skałach, poczuć Wiatr we włosach, usłyszeć szum oceanu.

A gdybym odważyła się wyjść, czy on pojawiłby się obok mnie? Czy stalibyśmy razem w mroku, starając się dosięgnąć czegoś, czego nie wolno było mm pragnąć?

Nie poszłam na urwisko. Moją powinnością było pozostać przy mężu, i dlatego do niego wróciłam. Gdy I nim tańczyłam, moje serce było tak zimne jak klejnoty na szyi, podziękowałam jednak uśmiechem, gdy skomplementował moje starania, bo przyjęcie wypadło naprawdę okazale i przebiegało bez żadnych zakłóceń. Jego ręka na moich plecach nie wyrażała żadnych uczuć oprócz zaborczości. Poruszaliśmy się w rytm muzyki, a spojrzenie Fergusa przez cały czas błędziło

dokoła. Przyglądał się gościom, sprawdzając, czy wywarł na nich odpowiednie wrażenie.

Dobrze wiem, jak wielkie znaczenie ma dla niego status i opinia innych, lecz jakże niewiele znaczą one teraz dla mnie!

Miałam ochotę krzyknąć: „Fergus, na miłość boską, spójrz na mnie! Spójrz na mnie i przejrzyj wreszcie na oczy! Spraw, żebym mogła cię kochać, gdyż lęk i szacunek nie wystarczą ani tobie, ani mnie. Spraw, abym cię pokochała, abym już nigdy nic musiała kierować swych kroków w stronę tego urwiska!”

Oczywiście nie powiedziałam mu tego wszystkiego. Gdy Fergus rzucił niecierpliwie, że powinnam zatańczyć z Cecilem Barkleyem, zgodziłam się.

Teraz muzyka przestała już grać i zgaszono lampy. Myślę o tym, kiedy znów zobaczę Christiana... oraz zastanawiam się, co się ze mną stanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CC. siedziała ze skrzyżowanymi nogami pośrodku morza papierów. Zgodnie z rodzinnym podziałem pracy, miała przejrzeć wszystkie notatki i świstki, które kiedyś zostały wepchnięte do trzech dużych kartonowych pudeł, opatrzonych wiele mówiącym napisem:

„Różne”.

Amanda siedziała obok, przy stoliku do kart. Pod logami miała również kilka pudeł

wypełnionych po brzegi papierzyskami. Z włosami spiętymi do tyłu i w okularach, które ciągle zjeżdżały jej z nosa, uważnie przeglądała każdy skrawek papieru, zanim odłożyła go na jedną z kilku stert.

– Trzeba to było zrobić już sto lat temu – mruknęła.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że należało to spalić już przed wiekiem – zripostowała CC.

Amanda po raz tysięczny poprawiała okulary.

– Nie, skąd, tu są naprawdę fascynujące rzeczy. Z całą pewnością te szpargały zasługują na przechowanie. Upychanie wszystkiego w kartonowe pudła to brak szacunku dla historii rodziny.

– Czy przepis na dzem agrestowy również się do niej zalicza?

– Dla cioci Coco tak. Skataloguje to w dziale: „Kuchnia,” pod nagłówkiem: „Przepisy”.

CC. odgarnęła ręką kurz z kolejnego pliku dokumentów.

– A rachunek za sześć par białych dziecięcych rękawiczek i niebieską jedwabną parasolkę?

– Dział: „Odzież,” kolejny numer według dat. Ooo, tu mam coś ciekawego. Ocena postępów ciotki Coco w czwartej klasie podstawówki, napisana przez jej nauczyciela. Cytuję:

„Cordelia jest niezmiernie towarzyskim dzieckiem. Często jednak rozmyśla o niebieskich migdałach i ma kłopoty z ukończeniem tego, co zaczęła”.

– A to mi nowina – pokręciła głową CC, z trudem rozprostowując plecy. Między listewkami żaluzji do pokoju wpadały smugi słonecznego światła. CC. westchnęła i oparła łokcie na kolanach.

– Do diabła, a gdzie jest Lilah? – zirytowała się Amanda, jak zawsze niecierpliwa. –

Suze dostała dyspensę, bo poszła z dziećmi do teatrzyku lalkowego, ale Lilah powinna tu być!

– Pewnie niedługo się pojawi – mruknęła CC

– Jasne, gdy już skończymy robotę. – Amanda pochyliła się nad następnym pudłem i dwa razy kichnęła. – Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak paskudnego.

CC tylko wzruszyła ramionami.

– Tak to już jest. Wszystko staje się brudne, gdy zbyt długo leży nie używane.

– Nie o to mi chodzi. Mam tu limeryk napisany przez naszego ciotecznego dziadka Seana. „Duży biust pewnej damy z Bangkoku doprowadzał tubylców do amoku. Gdy...”

Zresztą mniejsza o to. Założę nową teczkę z pornografią. – Gdy CC. nie odezwała u ani słowem, Amanda podniosła na nią wzrok. Dobrze się czujesz?

– Hm? – wymamrotała Catherine, wpatrując się w smugę światła. – Tak, bardzo dobrze.

– Wyglądasz, jakbyś źle spała.

CC. wzruszyła ramionami i znów pochyliła się nad pudłem.

– Ten seans trochę wytrącił mnie z równowagi.

– Nic dziwnego – odrzekła Amanda, wydymając usta. – Nigdy nie miałam przekonania do takich rzeczy. Co innego z Wieżą Bianki, wszyscy wyczuwają tam niesamowitą aurę, ale dotąd byłam pewna, że dzieje się tak dlatego, ponieważ wiadomo, że ona rzuciła się z tamtego okna. Jednak ten wczorajszy wieczór... – Na wspomnienie seansu przeszył ją dreszcz. –

Wiem, że naprawdę coś widziałaś i czułaś.

– Jestem pewna, że naszyjnik rzeczywiście istnieje – stwierdziła CC.

– Mogę się zgodzić, że istniał kiedyś, zwłaszcza gdy znajdziemy rachunek.

– Ten klejnot istniał i nadal istnieje. Myślę, że gdyby został sprzedany lub gdyby Fergus wrzucił go do morza, to nie zobaczyłabym go wczoraj. Może zabrzmiało tak, jakbym zwariowała, lecz jestem przekonana, że Bianca chce, abyśmy go znalazły.

– Owszem, zwariowałaś – westchnęła Amanda, odchylając się do tyłu na skrzypiącym krześle.

– A jeszcze bardziej niedorzeczne jest to, że ja też tak myślę. Mam tylko nadzieję, że nikt w hotelu nie dowie się, jak spędzam wolny dzień. Mieliby niezły ubaw, gdyby zobaczyli, że grzebię w starych papierach i szukam zaginionego skarbu na polecenie prababci, która umarła prawie sto lat temu. Och!

– Znalazłaś?! – zapytała CC. z nadzieją.

– Nie, mam coś innego. Stary kalendarz z 1912 roku. Atrament trochę wyblakł, ale charakter pisma jest bardzo ładny i zdecydowanie kobiecy. To chyba zapiski Bianki. Popatrz:

„Rozesłać zaproszenia”. A tu jest lista gości. Ho, ho, całkiem niezła imprezka, tyle ludzi! Byli też Prentisowie. – Amanda z przejęciem zdjęła okulary. – To na pewno ci z Prentise Hall, tej rezydencji, która spłonęła w 1947 roku.

– „Pomówić z ogrodnikiem o różach” – przeczytała CC. nad ramieniem siostry. –

„Ostatnia przymiarka złotej sukni”. „Spotkanie z Christianem o 3 po południu”. – CC

podniosła wzrok na siostrę. – Christian? Może to ten artysta?

– Możemy tylko zgadywać. – Amanda znów nałożyła okulary. – O, zobacz tutaj!

wykrzyknęła, wskazując palcem linijkę. – „Oddać szmaragdy do jubilera, żeby wzmocnił zapięcie”. To może być właśnie ten naszyjnik!

– Na pewno ten.

– Nie znalazłyśmy jeszcze rachunku.

CC. powiodła znużonym wzrokiem po papierach zaścielających podłogę.

– Myślisz, że mamy na to jakieś szanse?

– Rosną wraz z każdym opróżnionym pudełkiem – zauważyła trzeźwo Amanda.

CC usiadła na podłodze.

– Mandy, mamy już niewiele czasu.

– Przecież zaczęłyśmy robotę zaledwie kilka godzin temu – zdziwiła się jej siostra.

– Nie o to mi chodzi. Znalezienie rachunku niczego nie rozwiązuje, bo trzeba jeszcze odszukać

naszyjnik. To może zabrać całe lata, a my mamy nóż na gardle. W końcu będziemy musiały sprzedać dom, prawda?

– Porozmawiamy o tym jutro wieczorem. Zrobi my naradę rodzinną – powiedziała Amanda ze smutkiem, gładząc siostrę po włosach. – Kochanie, może pójdziesz trochę się zdrzemnąć? Nie wyglądasz najlepiej.

CC wstała i podeszła do okna.

– Nie, muszę się czymś zająć, bo inaczej kogoś uduszę.

– Na przykład Trenta?

– Niezły pomysł. – CC z ciężkim westchnieniem wbiła ręce w kieszenie spodni. – Ale tak naprawdę on nie zawinił temu całemu zamieszaniu.

– Czy nadal mówimy o domu?

– Już sama nie wiem – powiedziała CC. Żałośnie i znów usiadła na podłodze. – No cóż, raz na zawsze się przekonałam, że wszyscy mężczyźni to głupi, bezużyteczni egoiści, których święta ziemia nie wiadomo po co dźwiga na swoim grzbiecie.

Amanda najpierw lekko się uśmiechnęła, a potem powiedziała:

– Po prostu jesteś w nim zakochana. CC. uśmiechnęła się ponuro.

– Brawo, siostrzyczko. I od razu odpowiem na następne pytanie: nie, on mnie nie kocha.

Nie jest zainteresowany ani panną, ani planami na przyszłość, ani założeniem rodziny.

Oczywiście jest mu bardzo przykro, że zapomniał mi o tym wspomnieć, nim zdążyłam się w nim zadurzyć. Obłudny skunks!

– Tak mi przykro, CC. – powiedziała Amanda, zdejmując okulary. Przeszła przez pokój i usiadła obok siostry na podłodze. – Wiem, że to bardzo bolesne, ale przecież znasz go zaledwie kilka dni. Zauroczenie...

– To nie jest zauroczenie – stwierdziła CC. spokojnie, składając przepis na dżem agrestowy. Zrobiła papierowy samolot i bezmyślnie puściła go przez pokój. – Przekonałam się, że uczucia nie mają nic wspólnego z czasem. Aby się zakochać, potrzebujesz roku albo minuty. Zdarza się to wtedy, gdy ma się zdarzyć, i już.

Amanda otoczyła ją ramieniem.

– Nie znam się na takich rzeczach, bo szczęśliwie nigdy nie miałam podobnych zmartwień, ale jedno wiem. Jeśli on wyrządzi ci krzywdę, to gorzko pożałuje, że kiedykolwiek usłyszał nazwisko Calhoun.

CC. zaśmiała się.

– To bardzo kuszący pomysł, ale tak się dziwnie składa, że to ja sama robię sobie krzywdę. No dobrze, wracajmy do pracy. – Wzruszyła ramionami.

Znów pochyliły się nad papierami, lecz po chwili na progu pokoju stanął Trent. Spojrzał na CC. i napotkał mroźną Arktykę, a wzrok Amandy cieplejszy był co najwyżej o pół stopnia.

– Pomyślałem, że może przydałaby się wam pomoc – oznajmił.

Amanda zerknęła na CC i zauważyła, że jej siostra postanowiła ignorować Trenta.

Uznała, że to całkiem niezła metoda.

– To miło z twojej strony – zwróciła się do niego za lodowatym uśmiechem – ale to sprawa rodzinna.

– Niech pomoże – odezwała się CC, nie podnosząc wzroku znad pudła. –

Przypuszczam, że jest świetny w przekładaniu papierów.

Amanda wzruszyła ramionami i wskazała Trentowi składane krzesło.

– Możesz usiąść tutaj. Segregujemy wszystko według treści i dat.

Skinął głową i usiadł naprzeciwko niej. Pracowali w milczeniu. W pokoju słychać było tylko szelest papieru i postukiwanie czubka buta Amandy o podłogę.

– Mam rachunek za naprawę – powiedział Trent, nie dziewczyny zignorowały go. – Za naprawę zapięcia od naszyjnika – uściślił.

– Pokaż! – Amanda zerwała się i wyrwała mu rachunek z ręki. – Nie jest napisane, jaki to naszyjnik.

CC podeszła bliżej i spojrzała na skrawek papieru.

– Jednak daty się zgadzają. O, zobacz, 16 lipca 1912.

– Znalazłyście coś wcześniej? – zdziwił się Trent. Amanda odczekała chwilę, a gdy stało się jasne, że CC nie ma zamiaru odpowiedzieć, podniosła na niego wzrok.

– Kalendarz Bianki z notatką, że zamierza oddać szmaragdy do jubilera, by wzmocnić zapięcie.

– To może być właśnie to, czego szukacie – rzekł Trent, patrząc na CC, ale to znowu Amanda musiała mu odpowiedzieć.

– Mamy tylko dowód, że naszyjnik istniał w 1912 roku, nie wiemy jednak, gdzie jest teraz. –

Odłożyła rachunek na bok. – Może coś jeszcze znajdziemy.

CC w milczeniu wróciła do swoich papierów. W kilka minut później z dołu rozległo się wołanie Lilah:

– Mandy! Telefon!

– Powiedz, że później oddzwonię! – krzyknęła Amanda.

– To z hotelu, jakaś ważna sprawa.

– A niech to – mruknęła i odłożyła okulary. – Zaraz wrócę, Trent odczekał, aż jej kroki ucichły na schodach, i zwrócił się do CC:

– Ona chce cię ochronić przede mną.

– Od zawsze sobie pomagamy – mruknęła CC, odkładając na stos kolejny papier.

– Zauważyłem to. Catherine...

Podniosła na niego chłodne, czujne spojrzenie.

– Tak?

– Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Zależy, jak to rozumieć. Właściwie o co dokładnie pytasz?

Na policzku miała smugę kurzu. Trent miał ochotę powiedzieć jej o tym, bo ona wtedy być może by się roześmiała i otarła policzek...

– Po wczorajszym wieczorze... wiem, że wyszłaś ode mnie bardzo przygnębiona.

– Tak, byłam przygnębiona – przyznała, obracając w rękach kolejny skrawek papieru. –

No cóż, znów zrobiłam ci niezłą scenę.

– Nie, wcale nie.

– Niestety tak – skrzywiła się. – To chyba ja powinnam cię przeprosić. Ten seans spirytystyczny za bardzo na mnie podziałał i zrobiłam z siebie idiotkę, przychodząc do twojego pokoju.

– Nie, wcale nie – odpowiedział Trent. Był zdezorientowany, bowiem CC wyglądała na zupełnie spokojną i opanowaną. – Powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Wiem, co powiedziałam – rzekła z tym samym chłodnym uśmiechem. – Mam do ciebie prośbę. Najpierw mi uwierz, że działałam pod wpływem chwili, a potem zapomnij o tym przykrym incydencie. Co ja zamierzam uczynić jak najprędzej.

To zupełnie rozsądne, pomyślał Trent. Dlaczego więc czuł się taki zagubiony?

– To znaczy, że teraz już tak nie myślisz?

– Trent, znamy się zaledwie od kilku dni.

– Jednak gdy wychodziłaś ode mnie, wyglądało na to, że jesteś naprawdę załamana.

– A czy teraz też tak wyglądam? – zapytała, unosząc brwi.

– Nie – odrzekł powoli. – Teraz nie.

– W takim razie zapomnijmy o wszystkim. Tak będzie najlepiej dla nas obojga.

– Oczywiście – potwierdził Trent. Choć tego przecież chciał, jednak poczuł dziwną pustkę. – Życzę ci jak najlepiej, CC

– To dobrze – powiedziała, wpatrując się w następny papier. – Skoro idziesz na dół, to poproś Lilah, żeby przyniosła tu kawę.

Gdy Trenton wyszedł, CC. zakryła twarz dłońmi. Wydawało jej się, że w nocy wypłakała już wszystkie łzy, lecz się myliła.

Trent wrócił do swojego pokoju. Obok łóżka stała teczka z papierami, nad którymi zamierzał popracować. Przysunął krzesło do odrapanego biurka i pochylił się nad pierwszą partią dokumentów.

W dziesięć minut później przyłapał się na tym, że patrzy w okno, a papiery leżą przed nim nietknięte. Potrząsnął głową, wziął do ręki długopis i usiłował się skupić. Udało mu się przeczytać pierwsze słowo, a potem nawet cały akapit. Gdy przeczytał go po raz trzeci, a mimo to nadal nic nie rozumiał, z niechęcią rzucił długopis i wstał.

To było zupełnie bez sensu. Zawsze dobrze mu się pracowało w pokojach hotelowych, dlaczego więc teraz nie potrafił się skupić? Pokój miał wszystko co potrzeba: ściany, sufit, biurko, a nawet kominek, w którym Trent mógłby rozpaścić ogień, bo przydałoby się trochę ciepła po trzydziestu minutach spędzonych w towarzystwie CC.

W każdym razie nie było żadnej przyczyny, z powodu której nie mógłby pracować...

poza jedną: wciąż widział CC, jak bosą i w szarym flanelowym szlafroku przychodzi wieczorem do jego pokoju. Nieustannie rozpamiętywał wyraz jej oczu, gdy stała tak blisko niego i cudownie się uśmiechała.

Zmarszczył brwi i roztarł skronie. Nie przywykł do bólów głowy. Próbował przekonać siebie, że po prostu dręczy go poczucie winy. Zranił Catherine tak, jak jeszcze nigdy nie zranił żadnej kobiety, i wiedział, że będzie musiał żyć z tą świadomością.

Może powinien pójść na górę i porozmawiać z nią jeszcze raz. Położył rękę na klamce, lecz w

ostatniej chwili zrezygnował z tego pomysłu. Jedynie pogorszyłby sytuację. Nie wolno mu było powiększać cierpienia dziewczyny tylko po to, by złagodzić własne poczucie winy.

CC. radziła sobie ze swoimi uczuciami znacznie lepiej niż on. Była silna i dumna.

Pomyślał o jej opanowaniu i chłodzie, i zaklął.

Znów zaczął chodzić po pokoju. Powinien skupić się na domu, a nie na jego mieszkankach. Kilka dni, które tu spędził, pozwoliło mu wczuć się w atmosferę posiadłości.

Niektóre spostrzeżenia mogły mu się przydać później. Powinien je zanotować, gdyby tylko potrafił choć na chwilę się skupić. Ledwie wziął do ręki długopis, a jego umysł znów pogrążył się w chaosie.

Nagle ogarnęła go dziwna klaustrofobia i panicznie zapragnął znaleźć się na otwartej przestrzeni. Pochwyił kurtkę i zrobił coś, czego nie robił już od wielu miesięcy – poszedł na spacer.

Odruchowo skierował kroki w stronę urwiska. Przeszedł przez trawnik, wyminął

rozsypany się kamienny murek i skręcił w stronę morza. Powietrze było ostre i pachniało solą, a szare chmury pokryły niebo. Wiatr szarpał nieśmiałe kwiatki, które jako pierwsze odważyły się wyrosnąć wśród skał.

Trent szedł szybko, ze spuszczoną głową i z rękami w kieszeniach. Miewał od czasu do czasu depresje i zawsze zwalczał je za pomocą ruchu. Obejrzał się i zobaczył szczyty wież. A przed nim był ocean.

Widok zapierał dech w piersiach. Białoróżowe urwisko stromo schodziło w dół i zapadało się w wodę, gdzie skały były ciemniejsze, niemal czarne. Po falach ślizgały się czapy jaśniejszej piany. Powietrze wokół pachniało nadchodzącym deszczem.

Ten pejzaż, mimo że tak ponury, sprawiał jednak olśniewające wrażenie.

Trent pożałował, że nie ma z nim CC. Na pewno roześmiałyby się i wystawiła twarz do wiatru. Gdyby tu była, nie czułby się tak przerażająco samotnie.

Naraz wydało mu się, że ktoś go obserwuje. Wrażenie było zupełnie absurdalne, bowiem w zasięgu wzroku nie było żywej duszy, a jednak niezwykle intensywne. Po prostu był pewien, że ktoś uważnie mu się przygląda, a rozedrgana nadzieja podpowiadała Trentowi, że zaraz poczuje zapach glicynii...

A potem nagle zastygł w miejscu, bowiem usłyszał czyjś szloch. Dźwięk był cichy i żaloszny, ledwo słyszalny na tle szumu wiatru. Na przemian przyplływał i odpływał, niczym fale oceanu. Trenton wyczuł słuch, choć zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że to tylko złudzenie. Nie, stwierdził po chwili, to nie był żaden omam. Powoli i ostrożnie zaczął

schodzić po urwisku, przez cały czas nasłuchując.

– Kto tam? – zawołał, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Biegąc w kierunku, z którego, jak mu się

wydawało, dobiegał dźwięk, w pośpiechu strącił kilka kamieni, co na chwilę go otrzeźwiło. Przyjrzał się swoim dłoniom: były spocone. Serce dudniło mu głośno.

Zatrzymał się i wziął kilka głębokich oddechów.

Miał już zamiar wrócić na górę, gdy znów usłyszał ów szloch. Nie, raczej skomlenie.

Teraz stało się już bardzo wyraźne i dobiegało z dołu. Trent przykucnął i zajrzał za skałę.

Widok był naprawdę żałosny. Czarny szczeniak, a raczej kupka kości okrytych sierścią.

Trent roześmiał się z ulgą. A więc jednak nie zwariował. Przestraszony szczeniak próbował się cofnąć, lecz nie miał dokąd. Utkwił wzrok w twarzy Trenta, drżąc na całym ciele.

– Zdaje się, że miałaś nieciekawą przygodę? – odezwał się Trent łagodnie, wyciągając rękę.

Szczeniak zwinął się w kłębek i znów zaskomlał.

– Wszystko w porządku, stary, rozluźnij się. Nie zrobię ci nic złego.

Czubkami palców delikatnie pogładził psiaka po łebku, a szczeniak niepewnie polizał jego dłoń.

– Ty chyba też czujesz się samotny – westchnął Trent – tak samo jak ja. Może wrócimy razem do domu?

Podniósł psa, wsunął go pod kurtkę na piersiach i zaczął się wspinać po urwisku. W

połowie drogi obejrzał się nagle, porażony pewną myślą. Znalazł szczeniaka ponad pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie wcześniej stał i patrzył na ocean. Z tej odległości, poprzez wiatr i łoskot fal, nie mógł usłyszeć skomlenia. Co w takim razie usłyszał? Poczul, że ręce mu wilgotnieją.

– Co to było, do diabła? – mruknął do siebie i mocniej przycisnął psa do piersi.

Dopiero gdy wszedł na trawnik, przyszło mu do głowy, że będzie się musiał jakoś wytłumaczyć mieszkankom domu. Nie mógł przecież tak po prostu wejść do salonu i położyć psiaka na dywanie, a żadne wyjaśnienie nie wydawało mu się odpowiednie. Najrozsądniej byłoby zapakować szczeniaka do samochodu i zawieźć do wioski, gdzie na pewno było jakieś schronisko albo przynajmniej weterynarz. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie, że miałby oddać tego zwierzątko w obce ręce. Przecież szczeniak zaufał mu i cały czas siedział

spokojnie pod kurtką, ufnie przytulony do jego piersi.

Gdy tak stał pośrodku trawnika, nie wiedząc, co robić, w drzwiach domu pojawiła się CC.

– Hej – powiedział Trent, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie.

– Cześć – mruknęła. – Zabrakło mleka. Potrzebujesz czegoś z wioski?

Puszkę psiego jedzenia, pomyślał, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno.

– Nie, dziękuję, ja... hmm... – wykrztusił i poczuł, że szczeniak zaczyna się coraz niespokojniej wiercić.

– Znalazłyście coś? – zapytał szybko.

– Mnóstwo rzeczy, ale nadal nie wiemy, gdzie szukać naszyjnika – powiedziała CC.

powoli, zatrzymując wzrok na poruszającej się kurtce Trenta. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział, składając ramiona na piersiach. – Byłem na spacerze.

– Aha. Jeśli jesteś głodny, to ciocia Coco właśnie przygotowuje lunch.

– Och... dziękuję.

CC odwróciła się, by ruszyć w swoją stronę, gdy naraz usłyszała cienki pisk.

– Słucham? – spytała ze zdziwieniem.

– Nic nie mówiłem – odparł Trent, tłumiąc śmiech. Pies wiercił się i łaskotał go w żebra.

– Nic ci nie jest?

– Nic, nic.

W tym momencie jednak nad suwakiem kurtki pojawił się czarny nos psiaka.

– Co ty tam masz? – zaciekawiła się CC i zapominając, że miała trzymać się jak najdalej od Trenta, podeszła bliżej i pociągnęła suwak w dół. – Och, Trent, to jest szczeniak!

– Znalazłem go na skałach powiedział pośpiesznie. – Nie byłem pewien, co powinienem...

Ona jednak już trzymała pieska na rękach i przemawiała do niego czule.

– Och, ty małe biedactwo. Zgubiłeś się? Tak? No, możesz się już nie martwić, teraz wszystko będzie dobrze – mówiła śpiwnie, przytulając futrzaną kulkę do twarzy. Psiak zamachał ogonem z takim impetem, że omal nie wypadł jej z rąk.

– Prawda, że ładny? – uśmiechnął się Trent radośnie i również pogłaskał szczeniaka. –

Zdaje się, że już od dłuższego czasu był zdany na własne siły.

– Jest jeszcze malutki. Gdzie go znalazłeś?

– Na dole przy urwisku. Byłem na spacerze. I myślałem o tobie, dodał w duchu. Zanim zdążył się powstrzymać, wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. – Nie mogłem go tam zostawić.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała, podnosząc wzrok. Ich oczy spotkały się.

– Catherine...

Pies znowu zaczął piszczeć, a CC. cofnęła się.

– Zaniósę go do domu. Jest zmarznięty i głodny. Trent wbił rękę w kieszenie.

– To może ja pojedę po mleko?

– Dobrze – uśmiechnęła się z wysiłkiem i wbiegła na schody.

Zanim Trent wrócił, szczeniak zdobył już honorowe miejsce przy kominku oraz względy czterech pięknych kobiet.

– Poczekaście tylko, aż wróci Suze i dzieci – powiedziała Amanda ostrzegawczo. –

Zupełnie oszaleją. Ciociu Coco, ten pies z pewnością zasługuje na twój pasztet z wątróbek.

– To arystokrata wśród psów – przyznała Lilah, leżąc płasko na brzuchu przed szczeniakiem i dotykając nosem jego nosa. – Prawda, przystojniaczku?

– Chyba powinien dostać coś mniej przyprawionego – powiedziała Coco, również pełzająca po podłodze. – Przy dobrej opiece szybko odzyska swą właściwą urodę.

Pies, zdumiony tą niespodziewanie szczęśliwą odmianą losu, biegał w kółko po dywanie. Gdy zauważył Trenta, potoczył się w jego stronę, ale po drodze potknął się o własne łapy i upadł. Kobiety podniosły się i zarzuciły Trenta pytaniami.

– Zaraz wszystko opowiem! – zawołał. Postawił na stole torbę z zakupami, a potem przykucnął i podrapał lekko szczeniaka po brzuszku. – Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął, ale znalazłem go na urwisku. Chował się przede mną. Tak było, prawda, mały?

– Chyba powinniśmy popytać w wiosce, czy nikomu nie zginął – rzekła Coco, ale siostrzenice natychmiast głośno zaprotestowały. Coco podniosła rękę. – Tak byłoby właściwie, lecz decyzja należy do Trenta, bo to on go znalazł.

– Zróbcie, co uważacie za najlepsze – odpowiedział i wyjął mleko z torby. – Trzeba go teraz nakarmić.

Amanda już stała obok ze spodkiem, spierając się I Lila o to, jaka ilość mleka będzie właściwa.

– Co jeszcze kupiłeś? – zapytała CC. z ciekawością, obmacując torbę.

Trent wzruszył ramionami.

– Kilka rzeczy. Pomyślałem sobie, że przyda mu się obroża.

Wyciągnął z torby jaskrawoczerwony pasek nabijany srebrnymi ćwiekami. CC. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Bardzo modny wzór.

Trent puścił tę uwagę mimo uszu.

– No i smycz oraz jedzenie dla psa – mówił, wykładając na stół kolejne sprawunki.

– Mhm. – CC zabrała mu torbę i sama zaczęła przeglądać zawartość. – Psie smakołyki, skórzane kości...

– Będzie mu potrzebne coś do gryzienia – wtrącił Trent.

– Jasne, że tak. Piłeczka i piszcząca myszka – roześmiała się Catherine i ścisnęła zabawkę w rękę. Pies obejrzał się z ciekawością.

– Powinien mieć coś do zabawy – mruknął Trent.

Wolał nie wspominać o tym, że szukał również posłania i poduszki dla psa, ale niczego takiego nie udało mu się znaleźć.

– Nie wiedziałam, że masz takie miękkie serce. Spojrzał na radośnie podskakującego szczeniaka.

– Ja też nie – przyznał.

– Jak on się będzie nazywał? – zapytała Lilah.

– Ty go znalazłeś, więc nadaj mu imię.

– Tylko zrób to szybko – ostrzegła Amanda. – Bo jak nie, to Lilah nazwie go Griswold albo jakoś podobnie.

– Fred – rzucił Trent pod wpływem impulsu. – On mi wygląda na Freda.

Ceremonia nadania imienia nie zrobiła na psie żadnego wrażenia. Zamoczył ucho w spodku z mlekiem i zasnął.

– No to załatwione – stwierdziła Amanda. Obdarzyła szczeniaka jeszcze jednym przyjaznym klepieniem i podniosła się z podłogi. – Chodź, Lilah, teraz twoja kolej pogrzebać w papierach.

– Pomogę wam – poderwała się Coco. CC. została sama z Trentem.

– Ja też już pójdę – powiedziała, ale Trent położył rękę na jej ramieniu.

– Zaczekaj.

– Na co?

– Po prostu... zaczekaj.

– A więc czekam – odrzekła spokojnie.

– Jak... jak tam twoja ręka?

– Goi się.

– To dobrze – wyjąkał Trent. Czul się jak idiota. – To dobrze – powtórzył bezmyślnie.

– Jeśli to już wszystko...

– Nie. Chciałem ci powiedzieć... Gdy jechałem do wioski, zauważyłem, że coś stuka w silniku. CC. wydeła usta.

– Jakiego rodzaju jest to stukanie?

Wyimaginowanego, pomyślał Trent i wzruszył ramionami.

– Po prostu puk–puk, stuk–stuk. Miałem nadzieję, że będziesz mogła sprawdzić, co to takiego.

– Dobrze, przyprawdź jutro samochód.

– Jutro?

– Wszystkie narzędzia mam w warsztacie. Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?

– Kiedy byłem nad morzem, żałowałem, że nie ma ciebie obok mnie.

CC. odwróciła wzrok i przez chwilę milczała.

– Pragniemy w życiu różnych rzeczy – powiedziała w końcu. – I niech tak zostanie.

Odwróciła się i poszła do drzwi. – Postaraj się przyprawdzić samochód wcześniej rano –

dodała z progu, nie patrząc na niego. – Później będę zajęta. Muszę wymienić układ wydechowy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

CC. włączyła palnik, nałożyła ochronne okulary i zabrała się do odcinania zardzewiałej rury wydechowej od plymoutha, rocznik 62.

Dzień nie należał do udanych. Nie mogła wyrzucić z myśli planowanej na wieczór narady rodzinnej. Chociaż poprzedniego dnia wszystkie pudła ze starymi papierami zostały przejrzone, nie udało się

znaleźć żadnego więcej dokumentu dotyczącego naszyjnika.

Amanda stała się bardzo małowówna, co świadczyło o tym, że sprawy nie wyglądają najlepiej.

A do tego doszła kolejna bezsenna noc. CC, usłyszała skomlenie Freda i poszła sprawdzić, co się dzieje ze szczeniakiem, ale Trent już się nim zajął, bo przez drzwi dobiegały jego cicho, uspokajające słowa. CC przez dłuższą chwilę stała bez mchu w korytarzu, wsłuchując się w ten głos.

Rankiem niepotrzebnie spojrzała w lustro i zauważyła, że ma podkrążone oczy. To jeszcze mogła znieść. Wygląd zewnętrzny nigdy nie był dla niej najważniejszy. Najgorsze były jednak rachunki, które przyszły w porannej poczcie.

Interes szedł nie najgorzej, zdarzały się jednak kryzysy. Nie wszyscy klienci płacili na czas i Cathrine często brakowało gotówki. Pół roku, myślała tnąc zardzewiały metal.

Potrzebowała jeszcze tylko pół roku, żeby wyjść na prostą, było to jednak zbyt długo, by zdążyła zapobiec sprzedaży domu. Jej życie zmieniało się bardzo szybko, i to wcale nie na lepsze.

Trent patrzył na nią z progu warsztatu. Na podnośniku znajdował się jakiś stary rupieć, a CC stała pod nim z palnikiem acetylenowym w ręku. Po chwili rozległ się brzęk i rura wydechowa upadła na posadzkę. CC miała na sobie roboczy kombinezon, rękawice ochronne i hełm. Muzyka, bez której najwyraźniej nie potrafiła pracować, dobiegała z radia stojącego na ławce.

Mężczyzna, który rozważał, jak wspaniale byłoby się kochać na betonowej podłodze z kobietą ubraną w strój spawacza, musiał być kompletnym wariatem.

CC w końcu go zauważyła. Ostrożnie zgasiła palnik i przesunęła okulary na czubek głowy.

– Z twoim samochodem jest wszystko w porządku. Kluczyki są w biurze. Nic nie płacisz – powiedziała zwięźle i znów zasłoniła twarz okularami.

– CC?

– Co?

– Zjesz ze mną kolację? Zdjęła hełm i w jej wzroku pojawiła się czujność.

– Nie rozumiem, przecież od kilku dni jadamy razem kolacje – odpowiedziała i znów weszła pod samochód. Trent poszedł za nią.

– Nie o tym mówię. Chciałbym cię gdzieś za prosić.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

CC. uniosła brwi.

– To bardzo miło z twojej strony, ale dziś wieczorem jestem zajęta. Mamy naradę rodzinną.

– To może jutro? – nie ustępował Trent. Czy masz coś przeciwko temu?

– Mam. Nie pójdę z tobą na kolację.

– Dlaczego?

CC. westchnęła głęboko.

– Bo nie chcę.

– Nadal jesteś na mnie zła.

Twarz Catherine przybrała wygląd maski.

– Wszystko już sobie wyjaśniliśmy, więc nie musisz mnie nigdzie zapraszać.

– To tylko kolacja – powtórzył Trent, nie mając zamiaru się poddać. – Jeden zwykły posiłek. Przyjacielskie pożegnanie przed moim powrotem do Bostonu.

– Wracasz już? – zdziwiła się CC, a kolana ugięły się pod nią. Odwróciła się i zaczęła grzebać w skrzynce z narzędziami.

– Tak. W połowie tygodnia mam kilka ważnych spotkań. Muszę być w biurze w środę po południu.

Tak po prostu, pomyślała, biorąc do ręki klucz do rur. Mam umówione spotkania, więc żegnaj. Przepraszam, że złamałem ci serce.

– Skoro tak, to przyjemnej podróży – oznajmiła miło.

Trent szybko położył rękę na jej ramieniu.

– CC, chciałbym spędzić trochę czasu w twoim towarzystwie. Będę się czuł o wiele lepiej, jeśli rozstaniemy się w przyjaźni.

– Chcesz się poczuć lepiej? – mruknęła. – No dobrze, dlaczego by nie? Możemy jutro gdzieś wyskoczyć. Należy ci się pożegnanie.

– Jestem ci bardzo wdzięczny. Naprawdę – powiedział, dotykając jej policzka. Pochylił się w jej stronę, ale CC. z trzaskiem opuściła okulary na twarz.

– Odsuń się, bo włączam palnik – uprzedziła słodko. – Chyba że chcesz się poparzyć.

Rodzinne narady Calhounów z reguły były głośne i składały się ze sprzeczek, łez i śmiechu, tym razem jednak w pokoju panowała niezwykła cisza. Amanda, jako osoba najlepiej obeznana z prawem i finansami, siedziała u szczytu stołu. Suzanna położyła już dzieci do łóżek. Tym razem było to nieco

łatwiejsze niż zwykle, gdyż Alex i Jenny wyładowali całą energię podczas zabawy z psem. Trent dyskretnie wymówił się od uczestniczenia w zebraniu i zniknął z jadalni zaraz po kolacji.

To bez znaczenia, pomyślała CC, i tak wkrótce pozna wynik narady. Obawiała się zresztą, że jest on z góry przesądzony.

– Chyba wszystkie wiemy, po co tu jesteśmy – oświadczyła Amanda. – Trent w środę wraca do Bostonu i byłoby najlepiej, gdybyśmy mogły do tego czasu ustalić, jaka jest nasza decyzja w sprawie domu.

– Ja myślę, że powinniśmy się skupić na szukaniu naszyjnika – oznajmiła Lilah, nerwowo obracając w palcach wisiołek z obsydianu, który miała na szyi.

Suzanna położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nadal będziemy przeglądać dokumenty, ale moim zdaniem trzeba stanąć twarzą w twarz z faktami. Odnalezienie naszyjnika na pewno zajmie nam mnóstwo czasu, a nie możemy sobie pozwolić na zbyt długie odwlekanie decyzji.

– Mamy trzydzieści dni – wtrąciła Amanda. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. – W zeszłym tygodniu dostałam wiadomość od prawnika.

– Stridley skontaktował się z tobą i nic nam o tym nie powiedziałaś? – oburzyła się Coco.

Amanda położyła rękę na teczce z dokumentami.

– Nie chciałam was martwić. Miałam nadzieję, że uda mi się przedłużyć termin, ale nic z tego nie wyszło. Po trochu regulowałyśmy zaległe podatki, nie mamy jednak pieniędzy na bieżące, trzeba też opłacić ubezpieczenie. Na razie jeszcze na to mamy, tak jak i na raty kredytu hipotecznego, jednak rachunki za ogrzewanie były w tym roku wyższe niż zazwyczaj, a nowy piec i naprawa dachu pochłonęły dużą część oszczędności.

CC. podniosła rękę.

– Jak zła jest sytuacja?

– Gorzej być nie może – stwierdziła krótko Amanda, pocierając skronie. – Możemy sprzedać jeszcze kilka drobiazgów i utrzymać się na powierzchni przez krótki czas, lecz za kilka miesięcy nadejdzie kolejny termin płatności podatków i znów znajdziemy się w tym samym punkcie.

– Mogę sprzedać moje perły – wtrąciła Coco, ale Lilah przerwała jej.

– Nie, w żadnym wypadku. Już dawno ustaliłyśmy, że niektórych rzeczy nie będziemy się pozbywać. Jeśli mamy stanąć twarzą w twarz z faktami, to zrobmy to jak najszybciej –

zakończyła ponuro.

– Cała kanalizacja jest do wymiany – powiedziała Amanda przez zaciśnięte gardło. –

Instalacja elektryczna też. Jeśli nie zmienimy przewodów, to niedługo możemy tu mieć pożar.

Rachunki za prawnika Suzanny...

– To mój problem – przerwała jej siostra.

– To nasz problem – stwierdziła stanowczo Amanda, a pozostałe kobiety pokiwały głowami.

– Jesteśmy rodziną – mówiła dalej. – Sześć czy siedem lat temu wydawało się, że wszystko będzie dobrze, ale... od tego czasu wzrosły podatki, a także składki za ubezpieczenie, koszty remontów, po prostu wszystko. Nie jesteśmy biedne, ale dom zżera wszystko do ostatniego centa. Gdybym sądziła, że uda nam się przetrwać jeszcze rok czy dwa, to głosowałabym za tym, żeby sprzedać porcelanę lub kilka antyków, byłoby to jednak tylko zatykanie dziury palcem.

– Co właściwie chcesz powiedzieć, Mandy? – zapytała CC.

Amanda zacisnęła usta.

– Chcę powiedzieć, że sprzedaż domu to jedyna sensowna możliwość, jaką mamy.

Pieniądze, jakie proponuje nam St. James, pozwoliłyby nam spłacić długi, zachować większość przedmiotów, które są dla nas cenne, i kupić inny dom. Jeśli teraz nie sprzedamy Towers, to tak czy inaczej w ciągu kilku najbliższych miesięcy stracimy go. – Po jej policzku spłynęła łza. – Przykro mi, ale nie widzę żadnego innego wyjścia.

Suzanna wzięła ją za rękę.

– To nie twoja wina. Wszystkie wiedziałyśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Amanda potrząsnęła głową.

– Wszystkie nasze rezerwy finansowe przepadły podczas kryzysu na giełdzie i od tamtego czasu nic udało nam się stanąć na nogi. To ja decydowałam o inwestycjach...

– Wszystkie decyzje podejmowałyśmy razem – oburzyła się Lilah, kładąc swoją rękę na dłoniach siostr – zresztą za radą bardzo wysoko cenionego pośrednika. Gdyby nie było kryzysu na giełdzie, gdybym wygrała na loterii, gdyby Bax nie okazał się takim chciwym łajdakiem, może wszystko teraz wyglądałoby inaczej. Lecz jest, jak jest.

Coco dołożyła swoją dłoń.

– Nadal będziemy razem i tylko to się liczy.

– Tylko to się liczy – powtórzyła CC, dokładając swoją rękę. I rzeczywiście tak jest, pomyślała.

– Więc co teraz robimy?

Amanda opanowała emocje i usiadła prosto.

– Powinnyśmy zaprosić tu Trenta i upewnić się, czy jego oferta nadal jest aktualna.

– Pójdę po niego – zaoferowała się CC. Odsunęła krzesło i wyszła z jadalni, niczego nie widząc. Nie mogła w to uwierzyć. Szła przez szereg pokoi, przez korytarz, w górę po schodach z wyslizganą balustradą, i nie mogła uwierzyć, że wkrótce to wszystko będzie należało do kogoś innego, że nie będzie mogła wyjść ze swego pokoju na kamienny taras i popatrzeć na ocean ani wspiąć się po schodkach do wieży Bianki, że nie zobaczy już Lilah skulonej przy oknie i rozmarzonym wzrokiem patrzącej przez zmatowiałe szkło na urwisko.

Suzanna nie będzie zajmować się ogrodem, dzieci nie będą biegać po trawniku, Amanda nie będzie w pośpiechu wbiegać po schodach, ciocia Coco nie będzie pochylać się nad kuchenką...

Życie, jakie znała dotychczas, w ciągu kilku chwil miało przestać istnieć. CC. czuła się zupełnie odrętwiała.

Trent przykucnął przy kominku i patrzył na Freda, który pochrapywał na jaskrawoczerwonej poduszce w wiklinowym koszyku. Wiedział, że będzie mu brakowało szczeniaka, ale nawet gdyby miał czas i chęci, by się nim zajmować w Bostonie, nie miał

serca odbierać go dzieciom Suzanny, a także wszystkim kobietom z tego domu.

Po południu obserwował CC, która na podwórku bawiła się z psem piłeczką. Przyjemnie było słyszeć jej śmiech, patrzeć, jak tarza się po trawie z Fredem i dziećmi. Nieoczekiwanie przypomniała mu się wizja, która pojawiła się w jego umyśle podczas seansu spirytystycznego. Siedzieli obydwoje z CC na zalanej słońcem werandzie i patrzyli na dzieci, które bawiły się w ogrodzie.

To było głupie, ale serce mu się ścisnęło, gdy stojąc w drzwiach, patrzył, jak Catherine rzuca piłeczkę psu. Po chwili jednak zauważyła go i cała jej radość wyparowała, a w oczach pojawił się chłód. Trent wiele by dał, żeby jeszcze raz zobaczyć, jak te oczy rozświetlają się dla niego. Pragnął nawet wybuchu złości Catherine. Najgorsza ze wszystkiego była ta jej chłodna, bezosobowa uprzejmość.

Ktoś zastukał do drzwi, a Fred zaskamlał przez sen. Trent poszedł otworzyć. Za progiem stała CC. Na jej widok poczuł jednocześnie radość i niepokój. Przyszła do niego... Tym razem nie mógł jej odtrącić.

Gdy jednak spojrzał jej w oczy, zauważył w nich coś dziwnego.

– Coś się stało? – zapytał niespokojnie i podniósł dłoń do jej policzka, ale CC. odsunęła się sztywno.

– Chciałybyśmy, żebyś zszedł na dół, oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Catherine...

Ona jednak schodziła już po schodach.

Tak jak przypuszczał, znalazł je w jadalni. Siedzieli wokół stołu ze ściągniętymi, zamkniętymi twarzami. Trent zrozumiał, że ma przed sobą jedną wspólną wolę.

– Usiądź, proszę. – Coco wskazała mu krzesło. – Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkodziłyśmy?

– Nie, absolutnie. – Spojrzał na CC, ona jednak wpatrywała się nieruchomo w ścianę nad jego głową. – Czy to będzie następny seans?

– Tym razem nie – odrzekła Lilah i skinęła głową w stronę Amandy. – Mandy?

– Dobrze. – Chwilę zbierała się w sobie i poczuła ulgę, gdy pod stołem Suzanna ujęła jej dłoń. – Trent, rozmawialiśmy o twojej ofercie kupna domu i postanowiliśmy ją przyjąć.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak to, przyjąć?

– Tak. – Amanda przycisnęła drugą rękę do brzucha. – To znaczy, jeśli twoja oferta jest nadal aktualna.

– Tak, oczywiście, że jest aktualna. – Przebiegł wzrokiem wszystkie twarze, zatrzymując się dłużej na CC. – Jesteście pewne, że taka właśnie jest wasza decyzja?

– Przecież tego właśnie chciałeś – odrzekła CC ostro. – Po to tu przyjechałeś.

– No, tak – odrzekł niepewnie. – Moja firma będzie zachwycona, mogąc kupić tę posiadłość... chcę się jednak upewnić, czy wszystkie się na to zgodziłyście. Ze tego właśnie chcecie. Każda z was.

– Wszystkie się na to zgodziłyśmy – odrzekła CC, wciąż patrząc w ścianę.

– Szczegółami zajmą się prawnicy – podjęła Amanda. – Zanim jednak przekazemy im tę sprawę, chciałabym omówić warunki umowy.

– Oczywiście – potwierdził Trent i powtórzył oferowaną sumę. Do oczu CC napłynęły łzy. – Możemy się zgodzić na pewną elastyczność w terminach – mówił. – Zdaję sobie sprawę, że zechcecie przed... hm... przeprowadzką dokonać tu inwentaryzacji.

To tylko biznes, powtarzał sobie. Same tego chciały. Nie było żadnego powodu, by miał się czuć jak barbarzyńca.

– Myślę, że będziemy wolały wyprowadzić się stąd jak najszybciej – powiedziała Suzanna. – To znaczy natychmiast, gdy tylko znajdziemy inny dom.

– Jeśli mogę w czymkolwiek pomóc...

– Zrobiłeś już dosyć! – przerwała mu zimno CC.

– Damy sobie radę.

– Chciałabym dodać do umowy pewien warunek – odezwała się Lilah. – Kupujesz tylko dom i ziemię.

– Naturalnie. Meble, pamiątki, rzeczy osobiste, to wszystko w dalszym ciągu należy do was.

– Włącznie z naszyjnikiem – uzupełniła Lilah, pochylając głowę. – Niezależnie od tego, czy zostanie znaleziony przez nas, czy już po naszej wyprowadzce, pozostaje on własnością rodziny Calhounów. Chcę to mieć na piśmie. Jeśli na przykład znajdzie się przy remoncie, będzie nam zwrócony.

– Dobrze. – To zastrzeżenie doprowadzi prawników do szału, pomyślał Trent, lecz to ich problem.

– Dopilnuję, żeby ten punkt znalazł się w umowie, obiecuję.

– Wieża Bianki – powiedziała Lilah powoli.

– Uważaj na to miejsce, radziłabym ci niczego tam nie zmieniać.

– Może napijemy się wina? – zapytała Coco, podnosząc się nerwowo z miejsca.

CC. również wstała. Najchętniej uciekłaby z pokoju.

– Przepraszam, ale jeśli wszystko już zostało omówione, to ja chyba pójdę do siebie.

Jestem zmęczona.

Trent powiódł za nią wzrokiem, lecz Suzanna powiedziała:

– Teraz nie będzie chciała z tobą rozmawiać. Ja do niej pójdę.

CC. wyszła na taras i przechyliła się przez kamienny parapet, pozwalając, by zimny wiatr osuszył jej łzy. Powinna teraz nadejść burza, pomyślała. Pragnęła wielkiej burzy, rozgniewanej i gwałtownej jak ona sama w tej chwili. Uderzyła pięściami w mur, przeklinając dzień, gdy po raz pierwszy spotkała Trenta. Nie chciał wziąć jej miłości, ale odebrał jej dom.

Oczywiście, gdyby przyjął jej miłość i sam pokochał CC, nie mógłby zabrać Towers.

Suzanna stanęła obok niej i objęła ją ramieniem.

– Skarbie, jest zimno. Może lepiej wejdiesz do środka?

– To nie jest w porządku.

– Masz rację – westchnęła siostra. – To nie jest w porządku.

– On w ogóle nie ma pojęcia, co to oznacza. Nie rozumie tego. Nawet nie chciałby zrozumieć.

– Może tak jest, bo tylko my potrafimy to pojąć?

Lecz to nie jest jego wina, CC Nie możemy oskarżać go o to, że nie udało nam się utrzymać naszego domu. Suzanna odwróciła wzrok od ukochanego ogrodu i spojrzała na urwisko. – Ja już raz stąd wyjeżdżałam. Mam wrażenie, jakby to było w innym życiu, chociaż to tylko siedem lat. Już prawie osiem – westchnęła. – Wydawało mi się wtedy, że to najszczęśliwszy dzień mojego życia. Zostawiałam wyspę, żeby rozpocząć nowe życie w Bostonie.

– Nie musisz o tym mówić, przecież dobrze wiem, jakie to dla ciebie bolesne.

– Teraz już nie tak bardzo jak kiedyś. Byłam zakochana. Panna młoda, której świetlana przyszłość ścieliła się pod stopy. Gdy jednak się odwróciłam i spojrzałam na Towers, zapłakałam jak dziecko. Myślałam, że tym razem będzie mi łatwiej – mówiła Suzanna, powstrzymując łzy – ale nie jest. Dlaczego ten dom tak mocno nas przyciąga?

CC. splotła palce z palcami Suzanny.

– Wiem, że znajdziemy inny dach, pod którym może nawet będziemy szczęśliwe, ale to tak boli. Masz rację, to nie jest wina Trenta. Ale...

– Na kogoś trzeba zwalić – uśmiechnęła się Suzanna.

– On mnie zranił. Okropnie się czuję, mówiąc to, ale bardzo mnie zranił. Chciałabym móc powiedzieć, że zmusił mnie do tego, bym się w nim zakochała, albo że na to pozwolił, ale zrobiłam to zupełnie sama, bez jego udziału.

– A on? – zapytała Suzanna.

– Nie jest zainteresowany.

– Widząc, jak na ciebie patrzy, powiedziałabym, że jest wręcz przeciwnie.

– Tak, owszem – skrzywiła się CC. – ale to nie ma nic wspólnego z uczuciami. Bardzo uprzejmie poinformował mnie, że nie chce wykorzystywać mojego, jak to nazwał, braku doświadczenia.

– Och! – westchnęła Suzanna, wpatrując się w urwisko. Wiedziała, że nic tak nie boli jak odrzucenie. – Pewnie nie będzie to dla ciebie wielką pociechą, ale gdyby nie okazał się rozsądny, mogłabyś cierpieć znacznie bardziej.

– Owszem, okazał się rozsądny – wycodziła CC. przez zęby. – Jako rozsądny i kulturalny mężczyzna chce, żebyśmy rozstali się w przyjaźni. Nawet zaprosił mnie jutro na kolację, by się upewnić, że przeżyję odtrącenie, a on może wracać do Bostonu bez poczucia winy.

– I co zamierzasz zrobić?

– Pójdę na tę kolację. Potrafię być równie cywilizowana jak on. – CC uniosła wyżej głowę i spojrzała na siostrę. – Mam zamiar sprawić, żeby pożałował, że kiedykolwiek spotkał

Catherine Calhoun. Czy masz jeszcze tę czerwoną sukienkę? Tę z wielkim dekoltem?

Suzanna uśmiechnęła się szeroko.

– Jasne, że mam!

– W takim razie chodźmy ją obejrzyć.

No, no, pomyślała CC, jak wielkiej zmiany potrafi dokonać zwykła kiecka. Wydęła usta i stanęła przed popękanym lustrem w rogu sypialni. Sukienka była na nią o numer za mała, dzięki czemu tym lepiej uwidaczniała jej kształty. CC. przesunęła rękami po biodrach.

Czerwony jedwab opinał ściśle jej ciało od głęboko wyciętego dekoltu do połowy ud.

Suzanna bezlitośnie skróciła dół. Długie rękawy kończyły się zębem zachodzącym na wierzch dłoni. W uszach CC. miała błyszczące złowieszczo kolczyki z rogu nosorożca, pożyczone od cioci Coco.

Opłaciło się poświęcić pół godziny na makijaż. Dzięki szmince Amandy usta Catherine były równie czerwone jak sukienka. Na powiekach miała miedziane i szmaragdowe cienie, których dostarczyła Lilah. Włosy, kruczoczarne i lśniące, były zaczesane do tyłu na skroniach.

Trenton nie miał pojęcia, jaka czeka go niespodzianka.

– Suzanna mówiła, że potrzebujesz butów! – zawołała Lilah z progu. Weszła do sypialni i stanęła jak wryta. – Chyba trafiłam do równoległego wszechświata – wymamrotała.

CC. z promiennym uśmiechem obróciła się na pięcie.

– Jak ci się podobam?

– Myślę, że Trentowi trzeba będzie podać tlen. Mała, wyglądasz wyjątkowo niebezpiecznie.

CC. wzięła od niej wysokie, czarne szpilki i wsunęła je na nogi.

– A teraz zobaczymy, ile kroków uda mi się w tym przejść, zanim się przewrócę.

– Musisz poćwiczyć. Idę zawołać Mandy.

W chwilę później wszystkie trzy siostry obserwowały niepewny chód Catherine.

– Idziesz na kolację – westchnęła w końcu Amanda, krzywiąc się boleśnie przy każdym kroku CC – więc przez większą część wieczoru będziesz siedzieć.

– Zaczynam już łapać, o co w tym chodzi – mruknęła CC – Po prostu nie jestem przyzwyczajona. Jak

ty możesz w tym pracować przez cały dzień?

– Mam wrodzony talent.

– Musisz chodzić wolniej – podsunęła Lilah i bardziej rozważnie. Jakby nigdzie ci się nie spieszyło.

– Ona ma rację – zgodziła się Amanda. – Posłuchaj rady osoby, która nigdy się nie spieszy. – Lilah spojrzała na nią z ukosa.

– W tym wypadku powoli znaczy bardziej seksownie. Widzisz?

Idąc za radą siostry, CC zaczęła się poruszać z leniwym wdziękiem. Amanda uniosła ręce w geście rezygnacji.

– Poddaję się. Miałaś rację. Co nałożysz na wierzch? – zapytała CC.

– Nie myślałam jeszcze o tym.

– Możesz wziąć mój czarny płaszcz. Zmarzniesz w nim na kość, ale będziesz wyglądać olśniewająco. Jeszcze perfumy. Cioci Coco zostało od Bożego Narodzenia trochę tych francuskich...

Suzanna potrząsnęła głową.

– Nie, nasza malutka powinna pachnieć tak jak zawsze. To podkreśli kontrast.

Nieświadomy tych przygotowań Trent siedział w salonie w towarzystwie Coco. Był już spakowany i żałował, że nie potrafił wymyślić żadnego rozsądnego powodu, by przedłużyć pobyt przynajmniej o kilka dni.

– Było nam bardzo miło cię gościć – powiedziała Coco w odpowiedzi na jego podziękowanie za gościnę. – Na pewno wkrótce znów się zobaczymy.

Kryształowa kula nie mogła kłamać i nieodmiennie łączyła Trenta z jedną z jej siostrzenic. Coco nie zamierzała się tak łatwo poddawać.

– Mam nadzieję, że tak się stanie. Muszę ci wyrazić mój podziw, Coco, za wychowanie czterech tak pięknych kobiet.

– Czasami myślę, że wychowywałyśmy się nawzajem – uśmiechnęła się zacna ciotka, rozglądając się po salonie. – Będzie mi brakowało tego domu. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałam, że aż tak wiele dla mnie znaczy, aż do... aż do tej pory. Nie wychowałam się tutaj tak jak dziewczęta. Moja rodzina dużo podróżowała i ojciec rzadko tutaj przyjeżdżał, pewnie dlatego, że jego matka tu zginęła. Potem wyszłam za mąż i zamieszkałam w Filadelfii.

Tam też owdowiałam. A potem, po śmierci Judsona i Delii, przyjechałam tutaj, żeby zająć się wychowaniem dziewczynek. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Wybacz mi, że wpadam w sentymentalny nastrój.

– Nie ma za co przepraszać – rzekł Trenton. – Moja rodzina nie była zżyta i ja sam nigdy nie miałem domu takiego jak ten, ale teraz zaczynam rozumieć, jak wiele to może znaczyć.

– Powinieneś założyć własne gniazdo – powiedziała Coco, w swoim mniemaniu chytrze. – Znajdź jakąś miłą dziewczynę, ożeń się, stwórz sobie dom. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo samotnie musi się czuć ktoś, kto wraca do pustych ścian.

Trenton wolał nie rozwodzić się nad tym tematem. Pochylił się i rzucił Fredowi piłeczkę. Przez chwilę z Coco przyglądali się psu, który skoczył za piłką, potknął się, rozpląszczył na podłodze i po chwili znowu się podniósł, piłka tymczasem zdążyła zniknąć gdzieś w kącie.

– Musisz jeszcze trochę potrenować – mruknął Trent. Przyklęknął na podłodze obok szczeniaka i podrapał go po brzuszku. Naraz w polu jego widzenia znalazła się para czarnych, bardzo wysokich szpilek. Powoli powiódł wzrokiem w górę i ujrzał niebywale zgrabne nogi.

Poczuł, że powietrze gęstnieje mu w płucach. Usiadł wyprostowany. Dokładnie na wysokości jego oczu znalazła się plama jaskrawej czerwieni opinająca ponętne do szaleństwa kobiece kształty.

– Zgubiłeś coś? – zapytała CC. ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy.

Usta miała lekko skrzywione, czerwone i wilgotne. Trent przesunął językiem po wargach i podniósł się na miękkich nogach.

– CC.?

– Przecież idziemy na kolację, tak?

– Idziemy... tak. Wyglądasz wspaniale.

– Podoba ci się? – zapytała, obracając się na pięcie i pokazując mu plecy z dekoltem sięgającym poniżej pasa. – Czerwony to taki wesoły kolor – dodała ze słodkim uśmiechem.

– Dobrze ci w nim. Jeszcze nigdy nie widziałem cię w sukience.

– Są niepraktyczne, gdy trzeba zmienić pompę olejową. Jesteś już gotów?

– Gotów do czego?

CC. bawiła się coraz lepiej.

– Do wyjścia na kolację.

– A, tak. Tak, jestem gotów.

CC. pochyliła głowę w sposób, jakiego nauczyła ją Suzanna, i podała mu swój płaszcz.

Trent pomagał wkładać okrycia setkom kobiet, ale jeszcze nigdy nie robił tego równie niezręcznie jak

teraz.

– Nie czekaj na nas, ciociu Coco,

– Dobrze, kochanie.

Gdy drzwi za nimi się zamknęły, cztery kobiety jednocześnie uniosły dłonie z wystawionym kciukiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Cieszę się, że namówiłeś mnie na wyjście dziś wieczorem powiedziała CC. i sięgnęła do klamki, zanim sobie przypomniała, że to Trent powinien otworzyć jej drzwi.

– Nie byłem pewien, czy zechcesz ze mną wyjść – przyznał, kładąc rękę na jej dłoni.

– Myślałeś, że nie zrobię tego z powodu domu? Co się stało, to się stało. Wolałabym, żebyśmy dzisiaj o tym nie rozmawiali – odrzekła CC. Ostrożnie uwolniła rękę i wsunęła się do samochodu.

– Dobrze – zgodził się Trent. Zamknął drzwi i zasunął dach. – Jedziemy do restauracji, którą poleciła mi Amanda – oznajmił, nie zapalając silnika. Przez chwilę siedział z ręką na kluczyku i patrzył na dziewczynę.

– Czy coś się stało? – zdziwiła się.

– Nie – odpowiedział i spróbował jeszcze raz:

– Pomyślałem, że może spodoba ci się restauracja nad brzegiem morza.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała krótko.

Radio w samochodzie Trenta nastawione było na stację nadającą klasyczną muzykę. Nie tego CC. słuchała na co dzień, ale ten wieczór nie był zwykłym wieczorem. Usiadła wygodnie i próbowała cieszyć się jazdą.

– Czy to stukanie znów się pojawiło?

– Jakie stukanie?

– Owo „puk–puk, stuk–stuk” ponoć domagające się naprawy.

– Ach – uśmiechnął się Trent. – Nie, chyba tylko mi się wydawało. Powiedz mi, dlaczego zostałeś mechanikiem samochodowym? – zaciekał się.

CC. poprawiła się w fotelu i skrzyżowała nogi. Trent mocniej zacisnął palce na kierownicy.

– Bo znam się na tym. Gdy miałam sześć lat, rozebrałam silnik od kosiarki do trawników, by się

przekonać, jak to działa, no i połknęłam haczyk. A ty dlaczego zająłeś się hotelami?

– Bo tego ode mnie oczekiwano – odrzekł Trent bez namysłu i sam poczuł się zdziwiony tą odpowiedzią. – I również dlatego nauczyłem się robić to dobrze.

– Lubisz to zajęcie?

Trenton zastanawiał się, czy ktoś już kiedyś zadał mu to pytanie oraz czy on sam kiedykolwiek zastanawiał się nad tym. Pewnie nie.

– Tak, chyba tak – rzekł bez przekonania.

CC uniosła brwi.

– Chyba? Myślałam, że zawsze jesteś wszystkiego pewien.

– Widocznie tak nie jest – mruknął po chwili, podczas której omal nie zjechał z drogi.

Restauracja znajdowała się tuż nad brzegiem oceanu. Trent sądził, że przez drogę już przywykł do nowego wcielenia CC, lecz gdy wysunęła się I samochodu, znów poczuł, że z trudem utrzymuje się na nogach.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się, patrząc na niego.

– Sam nie wiem – odrzekł. – Pozwól, że sprawdzę.

Kobieta, która wyglądała tak seksownie jak ona, nie zamierzała chyba stawiać oporu.

Położył dłoń na jej karku i pochylił się nad jej twarzą, ona jednak odsunęła się szybko.

– Pamiętaj, to nie jest randka, tylko przyjacielskie spotkanie.

– Chciałbym zmienić zasady – oświadczył. CC. tylko się uśmiechnęła.

– Za późno, kochanie, a ja jestem głodna.

– Nie tylko ty – westchnął i wprowadził ją do środka.

Nie wiedział, jak powinien się zachowywać. Wypróbowane chwytaki, które zawsze stosował wobec kobiet, teraz wydawały mu się wprost niesmaczne. Scenografia była doskonała. Siedzieli przy małym stoliku obok okna, z którego rozciągał się widok na morze.

Słońce właśnie zachodziło, pokrywając zatokę całą paletą złocistych odcieni. Trenton zamówił wino, natomiast CC. zaczęła przeglądać kartę dań, jednocześnie pod stołem niedostrzegalnie zsuwając szpilki z nóg.

– Jeszcze nigdy tu nie byłam – powiedziała. – Miłe miejsce.

– Nie mogę zagwarantować, że jedzenie będzie tu równie dobre jak u cioci Coco.

Nikt nie gotuje tak jak ona. Będzie jej bardzo żal, że wyjeżdżasz, bo lubi gotować dla mężczyzn.

– A tobie?

– Co: mnie?

– Czy tobie również jest przykro, że wyjeżdżam?

CC. opuściła wzrok na kartę, choć nie była w stanie przeczytać ani jednego słowa.

– Na razie jeszcze tu jesteś, więc skąd mogę wiedzieć? Na pewno masz wiele spraw do nadrobienia w Bostonie.

– To prawda, ale pomyślałem, że gdy już wszystko załatwię, to zrobię sobie urlop, a Bar Harbor to chyba dobre miejsce do wypoczynku.

CC. odwróciła wzrok.

– Wielu ludzi tak uważa – mruknęła i odetchnęła z ulgą, gdy kelner przyniósł wino.

– Gdybyś mogła pojechać w dowolne miejsce na świecie, co byś wybrała?

– To trudne pytanie, bo ja właściwie nigdzie jeszcze nie byłam – odpowiedziała i spróbowała wina.

– Wyjechałabym tam, gdzie nad wodą mogłabym oglądać zachody słońca, i gdzie jest ciepło. – Wzruszyła ramionami. – A pewnie powinnam powiedzieć, że pragnęłabym zwiedzić Paryż albo Londyn i napawać się starą europejską kulturą.

Trenton położył rękę na jej dłoni.

– Nie. Catherine...

– Czy mogę już przyjąć zamówienie?

CC. podniosła wzrok na kelnera.

– Tak – powiedziała i wybrała z karty coś na chybił trafił, a gdy kelner odszedł, zapytała:

– Widziałeś kiedyś wieloryba?

– Nie – zdziwił się Trent.

Będziesz musiał tu przyjeżdżać od czasu do czasu, gdy... podczas przebudowy Towers.

Powinieneś kiedyś popłynąć na kutrze służącym do obserwacji wielorybów. Ostatnim razem, gdy zrobiłam sobie taką wycieczkę, mogłam im się dobrze przyjrzeć, są naprawdę niezwykle.

Trzeba się ciepło ubrać, bo nawet w środku lata na pełnym Atlantyku jest zimno. Pogoda bywa różna, ale warto zaryzykować. Może nawet sam zaczniesz organizować takie wyprawy.

Wiesz, weekendowy pakiet, wycieczka na pełny ocean włączona w cenę. Wiele hoteli...

Trent powstrzymał ją, otaczając dłonią jej przegub. Poczł nierówno bijący puls. Tym razem to nie namiętność, pomyślał, lecz złamane serce.

– Catherine, żadne dokumenty nie zostały jeszcze podpisane – powiedział cicho. – Jest jeszcze czas, by poszukać innych rozwiązań.

– Nie ma żadnych innych rozwiązań – odrzekła i patrząc na jego twarz, uświadomiła sobie, że los Towers nie jest mu obojętny. W jego oczach widać było współczucie i troskę.

Poczłła się z tego powodu jeszcze gorzej. – Albo sprzedamy dom teraz, tobie, albo później komuś innemu, bo musimy zapłacić podatki. Wychodzi na to samo, a teraz przynajmniej możemy to załatwić z odrobiną godności.

– Może mógłbym jakoś pomóc. Pożyczka... Catherine natychmiast wycofała się w głąb siebie.

– Nie możemy wziąć od ciebie pieniędzy.

– Gdy kupię dom, i tak weźmiecie ode mnie pieniądze.

– To co innego, umowa kupna–sprzedaży, czyli zwykły interes. Trent – powiedziała stanowczo – doceniam twoją propozycję, tym bardziej że wiem, iż kupno To wers to jedyny powód, dla którego tu przyjechałeś.

Owszem, tak było, lecz wszystko uległo zmianie.

– CC, gdy was poznałem, zacząłem czuć się tak, jakbym wysysał soki z sierot i wdów.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Moja rodzina składa się z pięciu silnych, samo dzielnych kobiet. Nie winimy cię... no, może ja cię winię, odrobinę, ale wiem, że to niesprawiedliwe.

– Moje uczucia do ciebie sprawiają, że trudno mi o chłodny punkt widzenia.

– A jakie są twoje uczucia do mnie?

Westchnęła lekko i poczekała, aż kelner zapalił świecę na stoliku.

– Skoro zabierasz dom, to możesz równie dobrze wziąć już wszystko. Jestem w tobie zakochana, ale z czasem to minie. Czy jeszcze coś chciałbyś wiedzieć? – zapytała, unosząc widelec.

Gdy znów wziął ją za rękę, tym razem nie próbowała jej uwalniać, lecz czekała.

– Nigdy nie chciałem cię zranić – powiedział ostrożnie. Dotyk jej palców sprawiał mu niezwykłą radość. – Tylko że nie mogę ani tobie, ani komukolwiek obiecać wiecznej miłości i wierności.

– To smutne – oświadczyła, potrząsając głową. – Widzisz, ja tracę tylko dom i na pewno znajdę sobie inny, ale ty tracisz całą resztę swojego życia, choć masz je tylko jedno. –

Zmusiła usta do uśmiechu i cofnęła rękę. – Chyba że podzielasz wierzenia Lili o nieustannym powrocie naszych dusz. Dobre to wino – dodała. – Jak się nazywa?

– Pouilly Fum.

– Będę musiała to zapamiętać.

Zaczęła jeść swoje danie, zupełnie nie czując smaku, i wciąż mówiła o nieistotnych sprawach. Gdy wreszcie dobrnęli do kawy, czuła się tak zmęczona, jakby przerzuciła wagon węgla. Wolałaby rozebrać silnik na części bez śrubokręta, niż przeżyć jeszcze jeden taki wieczór.

Miała ochotę zrobić mu karczemną awanturę, zwymyślać za to, że poruszył w niej wszystkie emocje, a potem najspokojniej w świecie wycofał się. Nie mogła jednak zrezygnować z zimnej pociechy niesionej przez dumę. To było jedyne, co jej pozostało.

– Opowiedz mi o swoim domu w Bostonie poprosiła.

Trenton nie był w stanie oderwać od niej oczu. Kolczyki rzucały snopy iskier, a płomienie świec odbijały się w jej oczach. Była porywająco piękna, on jednak przez cały wieczór nie mógł pozbyć się wrażenia, że zamknęła na cztery spusty najlepszą część siebie i że nigdy już nie zobaczy jej całej.

– O moim domu? – powtórzył, nie rozumiejąc.

– Tak, o tym miejscu, gdzie mieszkasz,

– To tylko... ściany i dach. – Wzruszył ramionami. Nagle uświadomił sobie, że ten budynek nic dla niego nie znaczył, po prostu był znakomitą inwestycją i to wszystko. – Mam stamtąd bardzo blisko do biura.

– To wygodne. Od jak dawna tam mieszkasz?

– Jakies pięć lat. Kupiłem dom od ojca, gdy rozwodził się z trzecią żoną i dzielili majątek. Zdecydowali się wtedy zlikwidować niektóre nieruchomości.

– Rozumiem – powiedziała powoli CC. – Czy twoja matka też mieszka w Bostonie?

– Nie, wciąż podróżuje. Nie lubi zbyt długo pozostawać w tym samym miejscu.

– Zupełnie jak cioteczna babcia Colleen – uśmiechnęła się CC. znad filiżanki. Ciotka mojego ojca, czyli najstarsza córka Bianki.

– Bianca – powtórzył Trent i znów przypomniał sobie chwilę, gdy poczuł ciepły dotyk na złączonych dłoniach jego i CC

– Mieszka na statkach pasażerskich i co jakiś czas dostajemy od niej pocztówki a to z Aruby, a to z Madagaskaru. Ma ponad osiemdziesiąt lat, obsesję na punkcie samotnego życia i charakter jak skacowany rekin. Przez cały czas drżymy, żeby przypadkiem nie przyszło jej do głowy wpaść do nas w odwiedziny.

– Nie wiedziałem, że macie jeszcze innych krewnych oprócz Coco – zdziwił się Trent, ściągając brwi. – Może ona wie coś o naszym dziadku?

– Ciocia Colleen? – CC. zastanowiła się i po chwili wydeła usta. – Wątpię, była jeszcze dzieckiem, gdy Bianca zmarła, a potem większość czasu spędzała w różnych szkołach z internatem. – Zdjęła kolczyki i rozmasowała płatki uszu. Na ten widok Trent znów poczuł, że krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach. – Nawet gdyby udało nam się ją znaleźć, co jest mało prawdopodobne, to gdyby usłyszała o tej całej historii, natychmiast by tu przyjechała i rozebrała dom na kawałki, cegła po cegle. Nie żywi żadnych uczuć do Towers, za to nad życie kocha pieniądze.

– To zupełnie nie pasuje do twojej rodziny – zdziwił się Trent.

– Och, mamy w kolekcji sporo różnych okazów – ożywiła się CC i oparła łokcie na stole. – Na przykład cioteczny dziadek Sean, czyli najmłodszy syn Bianki. Został postrzelony, gdy wychodził przez okno z sypialni swojej zamężnej kochanki. Zresztą, jednej z wielu.

Wyzdrowiał, a potem popłynął do Indii Zachodnich i nigdy więcej o nim nie słyszano. To było w latach trzydziestych. Z kolei Ethan, mój dziadek, przegrał większą część rodzinnego majątku w karty i na wyścigach. Miał słabość do hazardu i to go zabiło. Założył się, że przepłynie żaglówką z Bar Harbor do Newport i z powrotem w sześć dni. Dopłynął do Newport i wracał do domu ze sporym zapasem czasu, ale trafił na silny wiatr i zatonął. A tym samym również przegrał zakład.

– Całkiem niezła para poszukiwaczy przygód – zauważył Trent.

– Byli Calhounami – stwierdziła CC takim tonem, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Przykro mi, że w rodzinie St. Jamesów nie wydarzyło się nic, co mogłoby się równać z twoimi opowieściami.

– Zawsze się zastanawiałam, czy Bianca zrezygnowałaby ze skoku z wieży, gdyby wiedziała, jak poplątane stanie się życie jej dzieci. – CC zapatrzyła się w grę świateł na ciemnej wodzie. – Musiała bardzo kochać swojego artystę.

– Albo niestety była bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie.

– No właśnie. Chyba powinniśmy już wracać – poderwała się nagle CC, ale zastygła w pół ruchu i pochyliła się, szukając czegoś pod stołem.

– Co się stało? – zdziwił się Trent.

– Zgubiłam buty – wyznała,

Trent również zajrzał pod stół i jego wzrok zatrzymał się na długiej, zgrabnej nodze. Po chwili z wysiłkiem opuścił spojrzenie na podłogę.

– Są – stwierdził. – Pomogę ci.

Wsunął szpilki, na jej stopy i przypomniał sobie, jak kiedyś pomyślał, że CC zupełnie nie nadaje się do roli Kopciuszka.

– Czy już ci mówiłem, że masz niewiarygodnie piękne nogi?

– Nie – mruknęła CC, starając się opanować podniecenie. – Miło, że to zauważyłeś.

– Trudno to przeoczyć. To jedyne nogi na świecie, które dobrze wyglądają w kombinezonie roboczym.

CC pochyliła się nad stołem.

– Przypomniałeś mi o czymś – powiedziała.

– O czym? – zapytał Trent, obsesyjnie marząc o tym, by ją pocałować. Jej twarz była tak blisko, wystarczyłoby przysunąć się o kilka centymetrów...

– Twoje amortyzatory wytrzymają jeszcze najwyżej kilka tysięcy kilometrów. Zajmij się nimi, kiedy wrócisz do domu – zakończyła i wstała, zadowolona z siebie.

W samochodzie pogratulowała sobie w duchu. W sumie był to bardzo udany wieczór.

Może Trent nie cierpiał tak jak ona, ale mogłaby przysiąc, że kilka razy poczuł się bardzo niewyraźnie. I zapewne nie uda mu się zapomnieć jej szybko i bez wysiłku. Ostatnie wrażenie, jakie po sobie pozostawiła, to obraz bardzo atrakcyjnej kobiety w seksownej czerwonej sukience, a nie utyłanego smarami mechanika w roboczym kombinezonie.

A ponadto udowodniła sobie coś jeszcze. Że nie tylko potrafi kochać, lecz również potrafi wyrzec się miłości.

Zbliżali się do Towers. Na tle nieba zarysowały się dwie wieże. Trent zwolnił samochód.

– W wieży Bianki pali się światło – zauważył.

– To Lilah – wyjaśniła CC – Często tam siedzi. Nie rozbierzesz tej wieży, prawda?

– Nie – rzekł Trent, delikatnie kładąc rękę na jej dłoni. – Obiecuję, że nikt jej nie ruszy.

Gdy minęli zakręt, dom zniknął z horyzontu, ale po chwili znów się wyłonił w całej okazałości. Na tle szarych kamiennych ścian tu i ówdzie widać było oświetlone szyby, a jakiś cień zamajaczył w oknie na wieży, a potem zniknął.

Lilah zawołała:

– Już wrócili!

Cztery kobiety dopadły do okna.

– Nie powinnyśmy ich szpiegować – wymamrotała Suzanna, ale dla lepszego widoku odsunęła nieco zasłonę.

– Przecież nie szpiegujemy – zirytowała się Amanda, wytyżając wzrok – tylko kontrolujemy sytuację. Widzicie coś?

– Nadal siedzą w samochodzie – powiedziała Coco. – Skąd możemy wiedzieć, co tam robią?

– Użyjcie wyobraźni – podpowiedziała Lilah dobrotliwie. – Jeśli ten facet właśnie w tej chwili jej nie błaga, aby pojechała z nim do Bostonu, to jest zupełnym kretynem.

Zaalarmowana Suzanna podniosła na nią wzrok.

– Do Bostonu? Chyba nie myślisz, że CC. zgodziłaby się stąd wyjechać?

– Pojechałaby z nim nawet na Ukrainę, gdyby tylko starczyło mu rozumu, żeby ją o to poprosić – stwierdziła Amanda spokojnie. – Uwaga, wysiadają!

– Może gdybyśmy odrobinę uchyliły okno, to udałoby się usłyszeć...

– Ciociu, co ty wygadujesz! – obruszyła się Lilah. Coco zaczerwieniła się.

– No tak, masz rację – stwierdziła pokornie.

– Oczywiście, że mam rację. Gdybyśmy próbowały teraz otworzyć okno, to usłyszeliiby skrzywienie – uśmiechnęła się Lilah i przyłożyła twarz do szyby. – Możemy tylko czytać z ust.

– To był bardzo miły wieczór – powiedziała CC, wychodząc z samochodu. – Już od dawna nigdzie nie byłam.

– A kolacja u Finneya?

CC. spojrzała na niego ze zdumieniem, a potem roześmiała się.

– Och, Finney, jasne. Masz dobrą pamięć.

– Niektóre rzeczy jakoś w nią zapadają. Czy on nigdy nie zabiera cię do restauracji?

CC wyobraziła sobie, jak stary Albert Finney eskortuje ją do eleganckiego lokalu, i omal znów nie wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Nie, zawsze chodzę do niego.

Trent ze wściekłością wbił ręce w kieszenie spodni.

– Powinien był cię gdzieś zaprosić.

– Wspomnę mu o tym – odrzekła lekko i zwróciła się w stronę schodów.

– Catherine, nie idź jeszcze – poprosił Trent, biorąc ją za rękę. Cztery pary oczu za szybą zastygły w skupieniu.

– Jest już późno.

– Nie wiem, czy jeszcze cię zobaczę przed moim wyjazdem.

– W takim razie pożegnajmy się teraz – odrzekła bez wahania.

– Chcę cię jeszcze zobaczyć.

– Warsztat jest otwarty od wpół do ósmej. Możesz wstąpić po drodze.

– Dobrze wiesz, że nie to mam na myśli! – obruszył się Trent, przesuwając rękę na jej ramiona.

– A co? – zapytała spokojnie.

– Przyjedź do Bostonu wyrzucił z siebie bez zastanowienia.

– W jakim celu?

– Mógłbym... pokazać ci miasto – odrzekł Trent bezradnie. – Mówiłaś, że nigdy tam nie byłaś. Moglibyśmy spędzić trochę czasu razem.

CC drżała, ale jej głos był spokojny.

– Czy prosisz o to, żebym przyjechała do Bostonu i przeżyła z tobą romans?

– Nie. Tak. Och, Boże! Zaczekaj chwilę. – Trent odsunął się o kilka kroków, próbując odzyskać równowagę ducha i umysłu.

Lilah uśmiechnęła się szeroko.

– On też jest w niej zakochany, tylko za głupi, żeby się do tego przyznać.

Coco rozpaczliwie pomachała ręką.

– Cicho! Prawie udaje mi się usłyszeć, co oni mówią!

Stała z uchem przytkniętym do denka szklanki, opartej drugą stroną o szybę.

Na dole Trent spróbował jeszcze raz.

– Gdy jestem z tobą, nic nie dzieje się zgodnie z przewidywaniami. Wiem, że nie powinienem cię o to prosić, i wcześniej wcale nie miałem takiego zamiaru. Chciałem pożegnać się uprzejmie i dać ci spokój.

– A teraz?

– A teraz pragnę się z tobą kochać bardziej niż kiedykolwiek.

– Chcesz się ze mną kochać – powtórzyła CC. spokojnym tonem – ale mnie nie kochasz.

– Nic nie wiem o miłości. Zależy mi na tobie. – Podeszedł bliżej i dotknął jej twarzy. –

Może to by wystarczyło?

CC. przyglądała mu się uważnie.

– Może by wystarczyło. Na dzień, na tydzień albo na miesiąc... ale widzisz, Trent, ty miałeś całkowitą rację. Oczekuję czegoś więcej i wiem, że zasługuję na to. – Teraz ona położyła dłonie na jego ramionach. – Oferowałam ci siebie raz i to się więcej nie powtórzy.

Ani to.

Przycisnęła usta do jego ust, wkładając w ten pocałunek wszystkie emocje. Trent zachłannie otoczył ją ramionami. W myślach czuł zamęt.

– Catherine – wy dyszał, przyciskając usta do jej szyji. – Przez cały czas chciałbym cię mieć jeszcze bliżej... ale nie mogę.

– Owszem, mógłbyś – szepnęła, odsuwając się powoli, – I to właśnie jest najbardziej bolesne.

Odwróciła się i pobiegła po schodach.

– Catherine!

Zatrzymała się przy drzwiach i powoli spojrzała w jego stronę. Trenton już ruszał z miejsca, by do niej podejść, jednak powstrzymał go blask łez w jej oczach.

– Do widzenia, Trent. Mam nadzieję, że dziś w nocy nie będziesz mógł zasnąć.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi i był pewien, że CC się nie pomyliła.

Nie mogę dłużej tak żyć. Nie mogę już udawać, że jestem lojalna wobec mojego męża.

Moje życie, przez dwadzieścia cztery lata tak uporządkowane i spokojne, tego lata zmieniło się w kłamstwo. Kłamstwo, które będę musiała odkupić.

W miarę jak zbliża się jesień i zaczynamy planować powrót do Nowego Jorku, dziękuję Bogu, że wkrótce zostawię wyspę Mount Desert za sobą. Jakże niebezpiecznie zbliżyłam się tego lata do złamania małżeńskiej przysięgi!

Za tydzień on również wyjedzie i może nigdy już go nie zobaczę. Tak musi być. W głębi serca jednak wiem, że oddałabym duszę za jedną godzinę spędzoną w jego ramionach i wciąż obsesyjnie sobie to wyobrażam. Z Christianem poznałabym wreszcie miłość, radość i namiętność. Z nim nie byłby to tylko zimny i milczący, a teraz jakże mi wstrętny, obowiązek małżeński.

Modłę się, by Bóg wybaczył mi cudzołóstwo, które popełniam w sercu.

Siedzę teraz w wieży. Pod sobą mam skały, które maluje Christian. Tam chodzę, by się z nim spotkać, wymykając się z domu jak pensjonarka. To poniżające, a jednak tylko to pozwala mi przetrwać. Nawet teraz, gdy patrzę w dół, widzę tam jego. Stoi twarzą do morza i czeka na mnie.

Nigdy nie dotknęliśmy się, ani razu. Przekonałam się jednak, jak wiele namiętności można zawrzeć w milczeniu i w długich, bolesnych spojrzeniach.

Nie pójdę do niego dzisiaj. Pozostanę tutaj i będę na niego patrzeć. A gdy poczuję się wystarczająco silna, zejdę tylko po to, by się z nim pożegnać.

Przez całą długą zimę będę się zastanawiać, czy zobaczę go tu następnego lata.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Tu są dokumenty, o które pan prosił.

Trent nie zwrócił uwagi na wejście sekretarki, stał bowiem zamyślony przy oknie.

Nabrał takiego zwyczaju trzy tygodnie temu, gdy wrócił do Bostonu. Przez wielką szybę widział zatłoczone centrum miasta. Wieżowce z metalu i szkła lśniły drapieźnie obok eleganckich budynków z brązowego kamienia, ulicami płynęła rzeka samochodów, a wzdłuż prawdziwej rzeki w kolorowych strojach truchtali miłośnicy joggingu.

– Proszę pana?

Dopiero teraz Trent odwrócił głowę.

– Tak?

– Przyniosłam dokumenty, o które pan prosił.

– Dziękuję, Angelo – powiedział Trent i starym zwyczajem spojrzął na zegarek.

Przyszło mu do głowy, że gdy był na wyspie, zdarzało mu się zapominać o czasie, co tutaj, w Bostonie, było nie do pomyślenia.

– Jest już po piątej – zauważył. – Powinnaś iść do domu, do rodziny.

Angela zawahała się. Pracowała u Trentona od sześciu lat i dopiero w ostatnich tygodniach jej szef zaczął zwracać się do niej po imieniu i pytać o najbliższych, a poprzedniego dnia pochwalił jej sukienkę. Ta zmiana zdumiewała cały personel, zaś Angela, jako dobra sekretarka, czuła się w obowiązku wysledzić jej przyczyny.

– Czy mogę pana o coś zapytać?

– Proszę bardzo. Zechcesz usiąść?

– Nie, dziękuję. Mam nadzieję, że nie uzna pan tego za niewłaściwe, ale chciałam zapytać, czy dobrze się pan czuje.

Na twarzy Trenta pojawił się cień uśmiechu.

– Czyżbym źle wyglądał?

– Nie, ależ skąd, może tylko wydaje się pan odrobinę zmęczony. Odkąd jednak pan wrócił z Bar Harbor, jest pan jakby roztargniony i... jakiś inny.

– Owszem, jestem roztargniony, a także inny, a odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, nie, nie czuję się dobrze.

– Jeśli mogę coś dla pana zrobić...

Trent przysiadł na biurku i przyjrzał się swojej sekretarce. Zatrudnił ją, bo była kompetentna i szybka w działaniu. Przypomniał sobie teraz, że omal nie odrzucił jej kandydatury, bo miała dwoje małych dzieci. Nie był pewien, czy poradzi sobie ze wszystkimi obowiązkami, ale zaryzykował i decyzja okazała się słuszna.

– Angelo, od jak dawna jesteś mężatką? – zapytał teraz.

Na twarzy sekretarki odbiło się zdumienie.

– Od dziesięciu lat.

– Czy twoje małżeństwo jest udane?

– Tak, Joe i ja jesteśmy szczęśliwi – odparła. Joe, pomyślał Trent, i dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy nie zapytał Angeli, jak ma na imię jej mąż.

– Dlaczego?

– Co dlaczego, proszę pana?

– Dlaczego jesteście szczęśliwi?

– Bo... po prostu się kochamy.

Trent skinął głową, zachęcając ją, by mówiła dalej.

– I to wystarczy?

– Z pewnością pomagają w trudnych chwilach – uśmiechnęła się Angela. – Zdarzały się nam kryzysy, ale zawsze popychamy siebie nawzajem do przodu.

– Mówisz o małżeństwie jak o drużynie. Czy macie ze sobą wiele wspólnego?

– Tego bym nie powiedziała. Joe lubi futbol, a ja go nie cierpię, on uwielbia jazz, a ja zupełnie nie rozumiem takiej muzyki. – Angela zauważyła, że po raz pierwszy w życiu rozmawia ze swym szefem zupełnie swobodnie. – Czasami myślę, że powinnam sobie kupić zatyczki do uszu i nosić je przez cały weekend, ale gdy próbuję sobie wyobrazić życie bez męża, bardzo nie podoba mi się to, co widzę. – Angela postanowiła zaryzykować i dodała: –

Panie St. James, jeśli czuje się pan przygnębiony z powodu ślubu Marli Montblanc, to chciałabym powiedzieć, że lepiej będzie panu bez niej.

– To Marla wyszła za mąż?

Angela ze zdumieniem potrzęsnęła głową.

– Tak, proszę pana, w zeszłym tygodniu. Wyszła za jakiegoś golfistę. Pisano o tym w gazetach.

– Musiałem to przeoczyć – mruknął Trent.

– Wiem, że widywał się pan z nią od dłuższego czasu.

– Tak, to prawda – odrzekł Trent obojętnie.

– Nie jest pan... przygnębiony?

– Małżeństwem Marli? Nie. – Prawdę mówiąc, już od kilku tygodni ani razu o niej nie pomyślał... a dokładnie od chwili, gdy wszedł do pewnego warsztatu i zobaczył wystającą spod samochodu parę zniszczonych buciorów.

A więc chodzi o inną kobietę, pomyślała Angela. A skoro miała ona tak zbawienny wpływ na szefa, to sekretarka szczerze życzyła jej wszystkiego najlepszego.

– Proszę pana, jeśli ktoś... lub coś innego – po prawili się ostrożnie – zaprzęta pana umysł, to bardzo możliwe, że próbuje pan nadmiernie analizować sytuację.

Na twarzy Trenta pojawił się uśmiech.

– Angelo, czy ja za bardzo wszystko analizuję?

– Jest pan niezwykle dokładny i metodyczny, i ma pan wielką umiejętność analizowania szczegółów. To bardzo dobra cecha w biznesie, ale w sprawach osobistych logika czasami zawodzi.

– Ja też doszedłem do tego wniosku – westchnął Trenton i wstał. – Bardzo ci dziękuję, że zechciałaś mi poświęcić swój czas.

– Cała przyjemność po mojej stronie – uśmiechnęła się kobieta. – Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

– Nie, dziękuję – odrzekł Trenton i znów zwrócił Kię do okna. – Dobranoc, Angelo.

– Dobranoc – odrzekła sekretarka i z szerokim uśmiechem zamknęła za sobą drzwi.

Trenton przez dłuższą chwilę stał nieruchomo. Nie zauważył w gazetach informacji o ślubie Marli, ponieważ jego uwagę przyciągały inne nagłówki: „Osobliwość architektoniczna Bar Harbor ma się stać najnowszym hotelem sieci St. James,” przypomniał sobie. „Czy w plotkach o zaginionym skarbie jest ziarno prawdy?”.

Właściwie nie było wiadomo, skąd pochodził przeciek, chociaż Trentona specjalnie on nie zdziwił. Tak jak się spodziewał, prawnicy krzywili się na klauzulę zaproponowaną przez Lilah i wieści o szmaragdach krążyły po biurze. Było oczywiste, że prędzej czy później trafią również do gazet.

Pisma żyły spekulacjami na temat skarbu Calhounów przez mniej więcej tydzień.

Przypomniano postać Fergususa Calhouna, a także samobójstwo jego żony. Jakiś przedsiębiorczy reporter dotarł nawet do Colleen Calhoun, która właśnie odbywała rejs po Morzu Jońskim. Wielka dama skomentowała całą sprawę jednym słowem, które gazety cytowały wytłuszczonym drukiem:

– Bzdury.

Trent był ciekaw, czy CC. czytała te artykuły. Oczywiście, że tak, bo pewnie i za nią uganił się reporterzy. Ciekawe, jak to znosiła. Czy czuła się nieszczęśliwa i przygnębiona, gdy dziennikarze zmuszali ją do odpowiadania na wścibskie pytania? Trent lekko się uśmiechnął. Zmusić do czegoś Catherine? CC. byłaby w stanie własnoręcznie; wyrzucić z warsztatu tuzin reporterów i gotów by I się założyć, że poradziła sobie z nimi znakomicie.

Boże, jak strasznie za nią tęsknił! Każdego ranka po przebudzeniu zastanawiał się, co on tu właściwie robi, a wieczorami kładł się do łóżka tylko po to, by przez wiele godzin przewracać się z boku na bok. Myśli o CC. nie pozwalały mu zasnąć, a gdy wreszcie mu się to udawało, Catherine nawiedzała go w snach.

Trzy tygodnie minęły od jego powrotu z Bar Harbor. Powinien już się przyzwycząić, a tymczasem każdy dzień był gorszy od poprzedniego.

Na jego biurku leżała przejrzana i poprawiona umowa sprzedaży domu Calhounów.

Powinien ją podpisać już parę dni temu, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Nie potrafił się skupić nawet na tyle, by dokładnie ją przeczytać, bo jego wzrok bezustannie zatrzymywał się na trzech słowach: Catherine Colleen Calhoun. Wpatrywał się w nie bez końca.

Przetarł zmęczone oczy i znów podszedł do biurka. Jak zawsze, panował na nim idealny porządek, tak jak we wszystkich jego interesach... i w całym jego życiu.

Musiał jednak przyznać, że wiele się zmieniło. Przede wszystkim on sam stał się inny, choć może nie do końca. Jeszcze raz wziął do ręki umowę i postukał w nią długopisem. Przed kilkoma dniami przyszedł mu do głowy pewien pomysł, a teraz usiadł i zaczął się nad nim zastanawiać.

To byłoby niezwykle posunięcie, pomyślał, może nawet nieco ekscentryczne, ale... Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Jeśli dobrze rozegra swoje karty, wszystko powinno się udać. A wtedy będzie to najważniejszy kontrakt jego życia.

Podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer, powiedział kilka słów i w ten sposób poruszył pierwsze tryby maszyny.

Hank skończył polerowanie zderzaka mustanga z 1969 roku, a potem cofnął się o krok, podziwiając efekt swej pracy.

– Wygląda nieźle! – zawołał do CC. Spojrzała przez ramię, ale była właśnie zajęta wymianą klocków hamulcowych.

– To będzie prawdziwe cacko. Cieszę się, że udało nam się dostać tę robotę.

– Chcesz, żebym zajął się deską rozdzielczą? – Catherine zaklęła i otarła policzek z płynu hamulcowego.

– Nie, przecież mówiłeś mi trzy razy, że masz dzisiaj ważną randkę. Idź się przebrać.

– Dziękuję! – zawołał uradowany chłopak i zajął się sprzątnięciem narzędzi. – Znalazłaś już nowy dom?

– Nie – mruknęła CC, pochylając niżej głowę. – Jutro jedziemy całą rodziną na poszukiwania.

– Bez Calhounów Towers nie będzie już tym samym. Ciekawe jednak, co z tym naszym dziwnym. Gazety wciąż o nim piszą.

– Kiedyś przestaną.

– Gdybyście go znalazły, to miałybyście kłopot z głową. Podobno wart jest miliony.

Cała rodzina mogłaby się przenieść na Florydę.

CC. wbrew sobie musiała się roześmiać.

– Niestety, jeszcze go nie znalazłyśmy, więc Floryda musi poczekać, w przeciwieństwie do tych hamulców.

– To ja już pójdę. Czy mam zamknąć biuro?

– Nie zawracaj sobie tym głowy i baw się dobrze.

Chłopak wyszedł, pogwizdując, a CC. rozmasowała sobie kark. Nie lubiła teraz zostawać sama i nawet gadanina Hanka o szmaragdach była lepsza od ciszy. W każdym razie pozwalała oderwać myśli od innych spraw.

Umowa sprzedaży domu miała nadejść lada dzień. CC zastanawiała się, czy Trenton przyjedzie, by sfinalizować kontrakt. Na pewno nie, tylko przyśle przedstawiciela. No cóż, tak chyba będzie najlepiej.

Zresztą miała zbyt dużo spraw na głowie, by martwić się jeszcze i o to. Szukanie nowego domu, przeglądanie stert papierów, w których mogły się znajdować jakieś wiadomości o naszyjniku, oraz klasyczny mustang, nad którym teraz pracowała, by powrócił

do dawnej świetności. Naprawdę brakowało jej czasu, by złapać oddech, tym bardziej więc nie było sensu zastanawiać się, czy przy podpisywaniu kontraktu zobaczy Trenta.

Gdyby tylko myśli o nim nie były takie bolesne...

Z czasem będzie lepiej, powiedziała sobie, wracając do pracy nad hamulcami. Znajdą nowy dom, przeprowadzą się, gadanie o naszyjniku ucichnie i wszystko wróci do normy. Jeśli nawet ból całkiem nie zniknie, to w każdym razie ona w końcu nauczy się z nim żyć.

Miała przecież siostry i wspólnie mogły poradzić sobie ze wszystkim.

Gdy skończyła, ramiona miała całkiem zeszywniałe. Roztarła je i wychodząc spod samochodu, nagle uświadomiła sobie, że radio przestało grać. Rozejrzała się dokoła i zobaczyła Trenta stojącego obok skrzynki z narzędziami. Klucz, który CC. trzymała w ręku, z głośnym brzękiem upadł na posadzkę.

– Co ty tutaj robisz?

– Czekam, aż skończysz pracę. Co u ciebie słychać?

– Jestem zajęta. – Przepełniona cierpieniem, odwróciła się i przycisnęła guzik na ścianie. Podnośnik zazgrzytał i samochód powoli obniżył się. – Przypuszczam, że przyjechałeś w sprawie domu.

– Tak, można powiedzieć, że o to również chodzi. Między innymi.

– Spodziewaliśmy się, że skontaktuje się z nami twój prawnik.

– Wiem. Gdy samochód znalazł się na poziomie podłogi, CC. wytarła ręce w szmatę.

– Amanda zajmuje się szczegółami sprzedaży. Jeśli chcesz o tym porozmawiać, to znajdziesz ją w Bay Watch.

– To, o czym chcę porozmawiać, dotyczy ciebie, a raczej nas.

CC podniosła głowę i widząc, że Trent zbliża się do niej, szybko cofnęła się o krok.

– Ja naprawdę nie mam ci już nic więcej do powiedzenia.

– Dobrze, w takim razie będę mówił ja, i to teraz.

Poruszał się szybko, ale CC. dobrze wiedziała, że gdyby naprawdę chciała, to zdążyłaby się odsunąć. Widocznie jednak nie chciała.

Tak dobrze było znaleźć się znów w jego ramionach, poczuć jego usta i jego dłonie...

Duma gdzieś uleciała, pozostało tylko tęskne, bolesne pragnienie.

– Marzyłem o tym przez trzy i pół tygodnia – wymruczał Trenton z ustami przy jej twarzy.

CC. mocno zacisnęła powieki.

– Idź stąd!

– Catherine...

– Powiedziałam, idź sobie! – powtórzyła i wyrwała się z jego ramion. – Nienawidzę cię za to, że tu przyjechałeś i znów wyszłam na głupią.

– Nie jesteś ani nigdy nie byłaś głupia – powiedział łagodnie Trent i lekko dotknął jej ramienia. Catherine z furią pochwyciła młotek i obróciła się na pięcie.

– Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, rozwalę ci łeb!

Trent spojrzał prosto w jej płonące oczy i lekko się uśmiechnął.

– Bogu dzięki, to naprawdę ty! – zawołał i ostrożnie podniósł rękę. – Proszę, posłuchaj mnie przez chwilę. Najpierw interesy.

– Ja już skończyłam rozmowę z tobą.

– Lecz nastąpiła zmiana planów. – Trent wyciągnął kilka drobnych monet. – Czy mogę ci kupić coś do picia? – uśmiechnął się.

– Nie. Powiedz, co masz do powiedzenia, i wynoś się stąd.

Wzruszył ramionami i podszedł do automatu. Dopiero teraz CC. zauważyła jego buty, wysokie do kostek, z wytłaczanej skóry.

– A cóż to takiego? – zapytała ze zdziwieniem.

Trent uśmiechnął się do niej znad puszek z oranżadą.

– To? Moje nowe buty. Jak ci się podobają? – Gdy nic nie odpowiedziała, pociągnął

solidny łyk. – Wiem, że nie pasują do mojego dawnego stylu, ale niektóre rzeczy czasem się zmieniają. Wiele już się zresztą zmieniło. Czy mogłabyś odłożyć ten młotek?

– Co takiego? – zdziwiła się CC – Aha. Dobrze. – Położyła niedoszłe narzędzie zbrodni na ławce.

– Mówiłeś, że plany się zmieniły. Czy to znaczy, że nie chcesz już kupować naszego domu?

– Tak i nie. Może porozmawiamy o tym w twoim biurze?

– Do cholery, Trent, powiedz mi, o co ci właściwie chodzi.

– No dobrze. Propozycja jest taka: my weźmiemy jedno skrzydło, myślę, że zachodnie, tak, żeby wykluczyć wieżę Bianki, i przebudujemy je. Chciałbym zachować jak najwięcej z oryginalnych materiałów, a tam, gdzie okaże się to niemożliwe, zrobić rekonstrukcję na podstawie oryginalnych planów. Nie chcę zmieniać atmosfery domu. Wszystko ma pozostać w stylu przełomu stuleci. To będzie stanowiło o atrakcyjności tego miejsca.

– Jak to? – zapytała Catherine, nie nadążając za jego tokiem myślenia.

– Bez trudu można tam urządzić dziesięć apartamentów, nie burząc pierwotnej architektury. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, sala bilardowa powinna znakomicie nadawać się na jadalnię, a w zachodniej wieży po przebudowie można będzie urządzić mniejszą salę na prywatne przyjęcia.

– Dziesięć apartamentów?

– Tak, w zachodnim skrzydle – potwierdził Trent. – Z naciskiem na estetykę i intymny charakter wnętrz. Trzeba będzie na przykład wyremontować wszystkie kominki. Myślę, że z taką ofertą będziemy mieli klientów przez cały rok, nie tylko podczas sezonu.

– A co chcesz zrobić z resztą Towers?

– To będzie zależało od ciebie i twojej rodziny.

– Trent odstawił puszkę i podszedł do niej. – Z tego co widzę, bez trudu mieścicie się na pierwszych dwóch kondygnacjach wschodniego skrzydła. Tam i tak jest mnóstwo miejsca.

CC. poczuła zamęt w umyśle i przycisnęła palce do skroni.

- Czy to znaczy, że mamy to od ciebie wynajmować?
- Niezupełnie o to mi chodziło, myślałem raczej o partnerstwie. – Ujął jej rękę i przyjrzał się jej.
- Twoje skaleczenia już się zagoiły.
- O jakim partnerstwie?
- Korporacja St. James wykląda pieniądze na remonty, reklamę i tak dalej. Gdy już „ustronie” bo to słowo bardziej mi tu pasuje niż „hotel,” będzie działało, podzielimy zyski pół na pół.
- Nie rozumiem.
- CC, to naprawdę jest bardzo proste. – Podniósł jej dłoń do ust i po kolei całował palce.
- Zawrzemy kompromis. My będziemy mieli hotel, a wy dom, i nikt na tym nie traci.

Catherine ujrzała iskierkę nadziei, ale jeszcze bała się w nią uwierzyć.

- Nie rozumiem, na jakich zasadach to ma działać. Dlaczego ktokolwiek miałby płacić, żeby mieszkać w cudzym domu?
- W najbardziej charakterystycznej i nietypowej budowli w okolicy – poprawił ją. – W domu z legendą, z duchem i tajemnicą. Ludzie będą skorzy sporo zapłacić, żeby móc się tu zatrzymać. A gdy spróbują potraw Coco...
- Cioci Coco?
- Już zaproponowałem jej posadę szefa kuchni, a ona jest zachwycona. Potrzebny będzie jeszcze menedżer, ale myślę, że Amanda wypełni tę lukę, prawda? – zapytał z uśmiechem.
- Dlaczego to robisz?
- Jestem biznesmenem, a to jest bardzo dobry interes. Zacząłem już badania rynku... w każdym razie taką wersję usłyszała moja rada nadzorcza. Sądzę, że ty sama najlepiej wiesz, co o tym myśleć.
- Nic już nie wiem – stwierdziła. Cofnęła rękę i podeszła do otwartych drzwi warsztatu.
- Wiem tylko, że przyjechałeś tu z jakimś szalonym planem i chcesz...

– Bardzo solidnym planem – poprawił. – Nie jestem wariatem i nie podejmuję decyzji pod wpływem impulsu. W każdym razie nigdy dotąd tak nie było. – Znow podszedł do niej i ujął ją za ramiona. – Chcę, żebyś mogła zatrzymać swój dom, CC.

Mocno zacisnęła usta i przymknęła oczy.

– A więc robisz to dla mnie.

– Dla ciebie, dla twoich sióstr, dla Coco, a nawet dla Bianki – tłumaczył, obracając dziewczynę twarzą do siebie. – Również i dla siebie. Chciałaś, bym nie mógł spać w nocy, i tak było.

Dziewczyna zdobyła się na słaby uśmiech.

– Poczucie winy potrafi zdziałać cuda.

– Poczucie winy nie ma tu nic do rzeczy, bo chodzi o miłość. Nie odsuwaj się! –

zawołał, gdy próbowała wyszarpnąć się z jego uścisku. – Warsztat jest już dzisiaj nieczynny.

Teraz jesteśmy tu tylko we dwoje i jest to czysto osobista sprawa.

Catherine wojowniczo zwinęła dłonie w pięści. – Nie rozumiesz, że dla mnie to wszystko od początku było czysto osobiste? Przybyłeś tu i zmieniłeś całe moje życie, a potem spokojnie sobie wyjechałeś! A teraz znów przyjeżdżasz i mówisz mi, że zmieniłeś plany!

– Nie tylko dla ciebie wszystko się zmieniło. Odkąd cię poznałem, świat, i ja w nim, stał

się inny. –Zaczęła ogarniać go panika, bo CC. nie chciała mu dać jeszcze jednej szansy. – Nie prosiłem o to ani nie marzyłem o tym, po prostu stało się.

– Dobitnie wytłumaczyłeś mi, czego nie chcesz! – zawołała Catherine. – Nie masz prawa znów zaczynać wszystkiego od nowa!

Trenton mocno potrząsnął ją za ramiona.

– Do diabła z prawem! Chcę ci powiedzieć że cię kocham, robię to pierwszy raz w życiu i że pozwolę byś swoim zwyczajem zamieniła chwili w awanturę!

– Mogę ją zmienić, w co zechcę! – oburzyła się z wściekłością, – Nie pozwolę, byś mnie znowu ranił! Nie mam zamiaru... – Naraz urwała i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – Trent ty naprawdę powiedziałeś, że mnie kochasz?

– Wreszcie mnie wysłuchaj! Przez trzy i pół tygodnia czułem się pusty i nieszczęśliwy Wyjechałem stąd, bo wydawało mi się, że jestem w stanie to zrobić. Bo sądziłem, że tak będzie ucziwie i że tak będzie dla nas najlepiej. Logicznie rzecz biorąc, miałem rację, bo zupełnie nie jesteśmy do siebie podobni. Nie chciałem ryzykować twojego i mojego życia, bo z pewnością lepiej by ci było z kimś innym, na przykład z Finneyem.

CC. zaśmiała się krótko.

– Finney? A to dobre! Wiesz co? – Postukała go palcem w pierś. – Zabieraj swoje wykresy z

procentowymi wyliczeniami szans do Bostonu i wyrysuj sobie kolorowy grafik, a mnie zostaw w spokoju, mam jeszcze dzisiaj coś do zrobienia.

– CC, ja jeszcze nie skończyłem – rzekł Trent i widząc, że dziewczyna szykuje się do groźnej riposty, zrobił to, co najlepsze, a mianowicie zaczął ją całować, aż wreszcie ucichła.

Po chwili bez tchu oparła głowę o jego pierś.

– To nie ma nic wspólnego z logiką ani z procentami. – Odchylił się do tyłu, by lepiej widzieć jej twarz. – Catherine, za każdym razem, gdy powtarzałem sobie, że nie wierzę w małżeństwo ani w miłość do grobowej deski, przypominałem sobie, jak się czułem, będąc z tobą.

– A jak się wtedy czułeś?

– Pełen życia i szczęśliwy. I jestem pewien, że jeśli nie uda mi się ciebie odzyskać, to już nigdy więcej nie zaznam tego uczucia. Kiedyś powiedziałaś mi, że to, co nas łączy, może stać się najlepszą częścią naszego życia, i miałaś rację. Nie wiem, czy nam się uda, ale muszę spróbować, bo nie potrafię żyć bez ciebie.

Catherine zrozumiała, że on też się boi, chybi jeszcze bardziej niż ona.

– Trent, mogę ci dać gwarancję na tłumik, ale nie na uczucie.

– Wystarczy, jeśli powiesz, że nadal mnie kochasz i że zgadzasz się dać mi drugą szansę.

– Nadal cię kocham, lecz nie mogę ci dać drugiej szansy.

– Catherine...

– Bo jeszcze nie wykorzystałeś pierwszej, ty durny facecie! – zaśmiała się i dotknęła jego ust. – Może więc zrobimy to razem?

Gdy Trent znów ją do siebie przyciągnął, spojrzała na niego i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Teraz już załatwiłeś się na amen. Cały jesteś w smarze!

– Będę się musiał do tego przyzwyczaić – mruknął Trent, patrząc jej w oczy. Wszystkie jej uczucia były tam wypisane. – Kocham cię, Catherine. Bardzo cię kocham.

Przytuliła policzek do jego dłoni.

– A ja będę musiała przyzwyczaić się do tych słów. Może mi się to uda, jeśli powtórzysz je kilkaset razy.

Powtórzył je wielokrotnie, całując jej twarz i usta.

– To chyba jednak działa – wymruczała Catherine. – Może powinniśmy zaniknąć te drzwi?

– Niech będą otwarte. W końcu nazywam się St. James i to zobowiązuje, by zachowywać we wszystkim właściwą kolejność, chociaż i tak zdaje się, że sytuacja wymyka mi się z rąk.

– A jaka jest ta właściwa kolejność? – zapytała Catherine z zaciekawieniem, wsuwając palec między guziki jego koszuli.

Trenton szybko przytrzymał jej rękę.

– Zaczekaj. Myślałem o tym przez całą drogę z Bostonu i rozważałem całą masę różnych wariantów. Chciałem jeszcze raz zaprosić cię na kolację, wiesz, dobre wino, świece.

Albo zrobić to na wieczornym spacerze w ogrodzie.

Rozejrzał się po garażu. Glicynia i olej silnikowy, pomyślał. Doskonałe zestawienie.

– Wydaje mi się jednak, że właściwy czas i miejsce jest teraz i tutaj – podjął. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej małe pudełeczko, otworzył je i podał Catherine. – Powiedziałaś kiedyś, że gdybym podarował ci brylant, to roześmiałaśbyś mi się prosto w twarz, dlatego pomyślałem, że może szmaragd będzie szczęśliwszy.

W gardle Catherine zebrały się łzy. Bez słowa wpatrywała się w ciemnozielony kamień w prostej, złotej oprawie. Jego lśnienie pełne było nadziei i obietnic na przyszłość.

– Jeśli to mają być oświadczyzny, to nie potrzebowałeś żadnych dodatkowych talizmanów. – Podniosła na niego wilgotne oczy. – Odpowiedź zawsze brzmiała: tak.

Trenton włożył pierścionek na jej palec.

– Jedźmy do domu.

– Tak – zgodziła się, wsuwając dłoń w jego dłoń. – Jedźmy do domu.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)